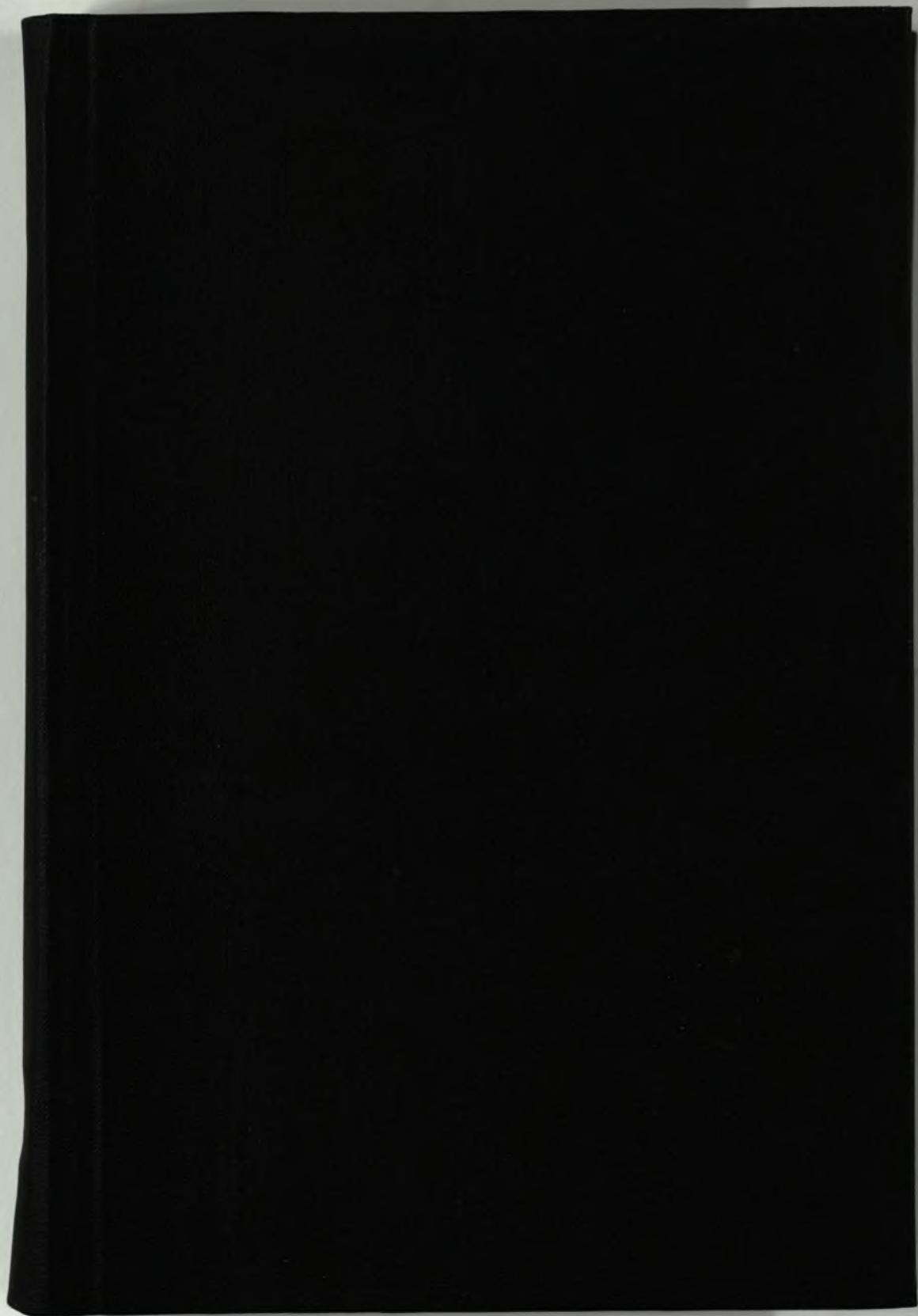




CZYTANKI SZKOLNE.

Pierwsza
książka do czytania.

Ułożyli:

Profesor **Władysław Komischke**

I

Stefan Sikorski, doktor filozofji.

Wydanie czwarte.

13

Nakładem księgarni Priebatscha w Wrocławiu i Opolu.

Drukiem zakładu wydawnictw katolickich Reinharda Meyera w Raciborzu.



884-8

~~13345~~

1889 S

ZBIORY SŁĄSKIE

kc U $\frac{54}{9}$ / 64 / C

ROZDZIAŁ I.

Szkoła, praca i t. p.

1. Do szkoły.

Już dzieci wstały. Czeszą i ubierają się starannie. Następnie odmawiają pacierze. Modlą się gorąco, żeby im Pan Bóg użył siły do pracy. Teraz pozdrawiają ojca, matkę i wszystkich domowników. Układają książki, zjadają śniadanie i idą do szkoły. W drodze kłaniają się grzecznie znajomym i witają kolegów i koleżanki. Nie zatrzymują się nigdzie. Spieszą do nauki.

2. Modlitwa przed nauką.

Przyjdź, Duchu Święty! napelnij serca i umysły nasze, abyśmy, korzystając z wykładanych nam nauk, wzrosli Bogu na chwałę, a ludziom i Ojczyźnie na pożytek. O to Cię prosimy przez zasługi Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Amen.

3. Modlitwa po nauce.

Dziękujemy Ci, Panie Boże, za światło i naukę, którejś nam dziś udzielić raczył. Pobłogosław naszym rodzicom, którzy nas prowadzą do dobrego, a daj nam wytrwałość do dalszej nauki. O to Cię prosimy przez zasługi Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Amen.

4. Krakowiaczek.

Po zielonem polu	Śpiewa ptaszek, śpiewa,
Płynie srebrna rzeczka,	Echo piosnkę niesie,
Lépsza od zabawek	Od małej ptaszyny,
Rozumna książeczka.	Jak wesoło w lesie!

I moja książeczka
Chociaż niby mała,
Dużo mi nauki
I uciechy dała.

5. Co kto lubi.

Szedł chłopiec na naukę w bardzo mroźny ranek:
— Szczęście, żem ja nie chłopak! — zabeczał baranek,
Patrząc z ciepłej owczarni na niego zdaleka
I tuląc się do matki, co go z mleczkiem czeka...
Chłopak nacisnął czapkę, zaśmiał się i rzecze:
— Tobie ciepło w owczarni, ja temu nie przeczę;
Lecz wolę drżeć od zimna wieczorem i ranem,
Byłem się czegoś uczył i nie był... baranem.

6. Śpiewka.

Dalej wraz! dalej wraz!
Ile tylko jest tu nas,
Zróbmy przyjacielskie koło
I zanućmy pieśń wesołą.
Niemasz to jak w szkole być,
W zgodzie żyć! bratnio żyć!
Każdy zuch, każdy zuch!
Który lubi pracę, ruch.
Łupu, cupu na leniucha!
Niechaj rady starszych słucha.
A że pędził darmo czas:
Precz od nas, precz od nas!

7. Oczy.

Mam dwoje oczu. Patrzę niemi i widzę: mam wzrok. Oczami widzę ojca i matkę, braci i sio-

stry, drzewa i kwiaty, ptaki i motyle, słońce i gwiazdy. Widzę przedmioty bliskie i dalekie, wielkie i małe. Oczami poznaję, że śnieg jest biały, a węgiel czarny; że liście drzew są zielone, kwiat bławatu niebieski, a kwiat maku czerwony. Oczami poznaję więc barwy. Oczami widzę, że koło jest okrągłe, a tablica czworoboczna. Oczami poznaję więc także kształt każdej rzeczy.

Ślepy nic nie widzi. Nie widzi ani słońca, ani drzew, ani kwiatów; nie może się cieszyć widokiem świata Bożego. Dziecko ciemne nie widzi swych rodziców. Jakże nieszczęśliwymi są niewidomi! Dla nich panuje wieczna noc.

8. Uszy.

Mam dwoje uszu. Uszami słucham i słyszę. Mam słuch. Słyszę miły głos ojca, matki i rodzeństwa. Słyszę piękny śpiew słowika i nieprzyjemne krakanie wrony. Słyszę miłe dźwięki organów i nabożne pieśni w kościele. Słyszę też przykre skrzypienie drzwi i turkot wozów.

Uszami poznaję, że huk grzmotu jest o wiele silniejszy, niż tykotanie zegarka. Gdy mnie mama woła, poznaję jej głos, choć jej nie widzę. Poznaję więc ludzi po głosie.

W szkole słucham uważnie, abym dobrze zrozumiał wszystko, co mówi pan nauczyciel. Słucham zawsze chętnie rozkazu rodziców i robię, co mi każą; jestem im posłuszny.

Głuchy człowiek nic nie słyszy. Dziecko, głuche od urodzenia, nie słyszało nigdy mowy ludzkiej i dla tego nie nauczyło się mówić — jest głuchonieme.

9. Złamana gałąź.

Był śliczny dzień. Rzeczutka płynęła wesoło przez łąkę. Kwiaty przebrały już się w kolorowe sukienki. W powietrzu było cicho, ciepło i wonnie. Motyle i osy kąpały się w promieniach słońca.

Każde stworzenie cieszyło się życiem własnem i cudzem.

Wtem dmuchnął wietrzyk. Przeleciał nad wodą, nad łąką i wpadł do lasu.

Poruszyły się wierzchołki drzew, rozległ się cichy szept: Jak nam dobrze... jak nam dobrze...

Naraz posłyszano jakiś jęk w lesie.

— Co to jest? — pyta sosna.

— Ktoś płacze — powiada olszyna.

Ten głos żałosny wydawała brzoza, która stała na brzegu lasu.

— Czemu skrzypisz? — pytały rośliny — gdy wszystkim tak wesoło.

— Ach, moje drogie, jakże mam nie skrzypieć, nie jęczeć, gdy cierpię! Czy nie widzicie mojej gałęzi opadłej? Jakiś chłopiec, przechodząc, złamał ją. Jeszcze mam świeże rany. Czyż mogę wydać inny głos prócz jęku? Bawcie się, jeżeli wam dobrze, a mnie pozwólcie od czasu do czasu jęknąć z bólu.

Znowu drzewa zaczęły ruszać swemi wierzchołkami, kwiatki nadal kiwały główkami, i strumyk szumiał jak dawniej — ale już nie było tej wesołości i już nie tak ładnym był dzień i łąki i pola.

W powietrzu unosił się smutny jęk brzozy.

10. Nie wstydź się pracy.

Mały Jezus, Zbawca świata.
Wasz rówieśnik dziatki,
Własną rączką codzień zmiatał
Pył z progów swej chatki.

I świętemu Józefowi,
Strudzonemu wielce,
Własną rączką dopomagał
W pracy przy ciesielce.

A wam czyżby każda praca
Miała iść niesporo?
Na kolana padnij dziatwo,
Przed Jego pokorą!

Módl się szczerze i gorąco
Do Jezusa w niebie,
By tę świętą chęć do pracy
Przelał także w ciebie!

11. Prawdziwe bogactwo.

Pewien młodzieniec przyszedł w odwiedzin
do swego dawnego nauczyciela. Podczas rozmowy
uskarżał się na swoją biedę.

— Czy doprawdy jesteś tak biednym? — za-
pytał nauczyciel. — Powiedz mi, czy czujesz się
zdrowym? Czy widzisz dobrze? Czy ręce twoje
zdolne są do pracy, a umysł do myślenia?

— Tak — odpowiedział młodzieniec: — dzięki
Bogu, zdrowie mi służy; oczy i ręce mam zupeł-
nie zdrowe!

— Czy oddałbyś swe oczy, które patrzą na
świat Boży, gdyby ci dano za nie choćby całą
wioskę? A może oddałbyś swoje ręce za dobre
pieniądze?

— Nie — odrzekł młodzieniec, — za żadne skarby świata nie sprzedałbym ani ócz, ani rąk swoich!

— Widzisz więc, jakim cię Bóg bogactwem obdarzył i ty jeszcze nie jesteś Mu za to wdzięczny.

Młodzieniec uznał słuszność uwag nauczyciela i przestał narzekać na swój los.

12. Co jeszcze posiada człowiek?

Prócz pięciu zmysłów człowiek posiada jeszcze rozum, którym pojmuje to, co się dokoła niego dzieje.

Posiada też pamięć do zatrzymania w myśli tego, co raz poznał i zrozumiał.

Posiada prócz tego uczucie, to znaczy, że może kochać lub nie lubić, smucić się lub cieszyć, gniewać się lub litować.

Ma także człowiek wolę, to jest może chcieć coś zrobić, lub nie chcieć tego robić.

Wreszcie ma człowiek mowę, zapomocą której innym ludziom swoje własne myśli i uczucia wyjawia; wzamian może dowiadywać się od nich, co oni myślą i czują.

Rozum, pamięć, uczucie, wola i mowa są to najważniejsze zdolności duszy ludzkiej.

Dzieci mają mało rozumu; żeby mieć go więcej, muszą się uczyć. Im kto więcej i lepiej się uczy, tym rozumniejszym się staje. Wstyd to wielki być człowiekiem dorosłym, a ciemnym.

Tylko człowiek rozumny i uczciwy może pracować dla kraju, czyli Ojczyzny.

13. Z księgi przysłów.

Wszystko róbcie w swoim czasie!
Wszystko czyńcie w swojej porze!
Ten kto ładu się pilnuje,
Tylko na czas zdążyć może.

Nie wtedy pora się uczyć,
Kiedy czas już iść do szkoły;
Bo i spóźnisz się na lekcję,
I daremne Twe mokoły.

Nie wtedy czas szukać pióra,
Gdyśmy je mieć w ręku winni:
Bo zanim je odnajdziemy,
Dawno skończą pisać inni.

I nie dzisiaj czynić pora
To, co miałeś zrobić wczora...
Bo ten wpierw u mety stanie:
»Kto latem naprawia sanie«.

14. Dwie prawdziwe historyjki.

Każde z dzieci ma często z kredą i gąbką do czynienia, ale nie każde wie, skąd się ta kreda i gąbka w domu wzięły.

Powiecie może: „kupiono je w sklepie“. Tak jest, ale jakim sposobem w sklepie się znalazły?

Chcecie to wam opowiem. Będą to dwie historyjki, każda zupełnie prawdziwa.

14a. K r e d a.

W morzu żyły i żyją rozmaite stworzenia, jedne wielkie, drugie małe.

Tych ostatnich jest daleko więcej. Między niemi są ślimaczki tak drobne, jak łąpek od szpilki, a nawet mniejsze. Skoro stworzonka te żyć przestają, skorupki ich opadają na dno morza. —

Opada ich wiele, bardzo wiele. Opadając, gniotą się, mieszają razem i powstaje warstwa, czyli pokład tego, co nazywamy kredą.

W naszym kraju takich pokładów kredy jest dużo. Ale skąd się wzięły, kiedy u nas morza niema? Teraz niema, ale kiedyś — kiedyś było. Jak dawno, tego nikt na świecie nie mógłby obliczyć. Było, zginęło, czy przelało się gdzieindziej, a pokłady kredy zostały i ludzie mają z nich teraz pożytek. A jaki? Powiedzcie sami.

14b. Gąbka.

Gąbka jest również mieszkanką morza. Rosta tam sobie na skałach podmorskich niby krzew, czy krzaczek. To, co my nazywamy gąbką, było mieszkaniem zwierzątka. Wszystkie otworki, a jest ich przecie w gąbce niemało, pełne były lepkiej galarety. Ta właśnie stanowiła ciało zwierzątka.

Spuścili się ludzie na dno morza, oderwali gąbki ostrym nożem, na brzegu złożyli. Zaraz też galareta wypłynęła. Gąbka żyć przestała.

Czyścili potem gąbki, myli, bielili, aż zrobili się takie, jak je teraz widzimy.

15. Nauka.

Nauką Duch święty oświecać się radzi,
Nauka do szczęścia człowieka prowadzi.
Nauka przysparza rozumu do głowy,
Naucza paciorka, a broni złej mowy.
Nauka cnót wzniosłych prawdziwa mistrzyni;
Ze złych nawet dziełek pocziwe uczyni.
Nauki (gdy dziecko pokocha ją szczerze)
Ogień nie zapali, woda nie zabierze.
Dziecko, które pracy do nauki żałuje,
Już sobie niedolę na przyszłość gotuje.

Pobłogosław Boże mistrze i te matki,
Które oświecają nauką swe dziatki;
Pobłogosław, Boże, i drukarnie one,
Gdzie dla nas drukują książeczki uczone.

16. Piosnka dzieci.

Już minęło ciepłe lato,
Coraz króciej słońko świeci,
Przed kominkiem cieplej zato —
Więc do izby śpieszmy, dzieci!
Bo to wrzesień, bo to wrzesień,
Bo nadchodzi chłodna jesień!

Siedem latek nam zleciało
W ciągłych figlach i zabawie,
Dziś pracować już przystało
I na szkolnej zasiąść ławie —
Bo już czas, bo już czas,
Długa praca czeka nas!

17. Jutro.

Jutro wykończę moje zadanie,
Jutro przepiszę, jutro przeczytam;
Jutro grać będę na fortepianie,
Jutro o lekcję moją zapytam.
Jutro, o jutro ja wszystko zrobię,
Lecz dzisiaj jeszcze odpocznę sobie.
Tak mówią zwykle leniwe dzieci,
Nie pamiętając, jak dni tych mało,
Jak prędko zawsze czas ludziom leci,
I jak niewiele chwil im zostało.
Jutro i jutro... czemuż odkładać?
Dziś Twoje! jutro trudno ci zbadać
Na każdy dzionek Bóg trud wydziela:
Dni te się znaczą pracą, móżolem;
Do odpoczynku tylko niedziela,
Lub jakie święto czczone Kościołem,

Jutro o! jutro... tak dni przechodzą
A z dni miesiące, lata się rodzą.
Wreszcie, o jutro! krzykniesz ze drzeniem
A jutro wiecznym skryje się cieniem.

18. Dwie rozmowy.

— Dzień dobry, Franku! Dokąd idziesz?

— Do szkoły.

— E . . . chodź lepiej ze mną do lasu — powiedział Mikołaj. — W lesie chłodno, ptaki ślicznie śpiewają, a w szkole duszno, gorąco i nudno.

— Po obiedzie pójde z tobą, teraz nie mogę...

— Ot! na co ci ta szkoła! Ja jestem szczęśliwy, że już do niej nie potrzebuję chodzić.

— Pan nauczyciel mówi, że kto się uczy, może się stać pożytecznym człowiekiem, a próżniakowi źle na świecie.

— To siedź sobie w książkach, ty molu . . .

To powiedziawszy, Mikołaj zaczął świstać i skreślił na drogę do lasu, a Franek poszedł do szkoły

* * *

W dwadzieścia lat później.

Stuk, stuk!

— Proszę wejść — odrzekł pan Franciszek Zawadzki, nauczyciel wiejski, człowiek przez całą wieś szanowany.

— Nie poznajesz mię pan — odezwał się nieśmiało nędzarz, stojący u proga.

— Nie. Kim jesteście i czego żądacie?

— Jestem Mikołaj Domański — rzekł przybyły. Umieram z zimna i głodu . . .

— Mikołaj! — zawołał zdziwiony Franciszek. I tyżeś to, mój dawny towarzysz, przyszedł do takiej biedy?

— Próżniakowi źle na świecie — rzekł cichym głosem Mikołaj — powiedziałeś mi to przed dwudziestu laty, ale wtedy nie chciałem cię słuchać.

I. Wernkówna.

19. Dobre rady.

Wstawaj rano, sypiaj twardo,
Hartuj duszę, jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.
Ucz się słuchać, abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy, byś zrozumiał
Co tam leży w życiu na dnie;
Ucz się milczeć, byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić, byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.
Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliznie,
Nic nie pocznij, bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy,
To nie zbraknie ci odwagi
Ani we dnie, ani w nocy.

20. Nagroda grzeczności i pilności.

Daleko od nas, we Włoszech, w okolicy Rzymu, żyli w małej wiosce ubodzy ludzie, którzy mieli syna imieniem Feliks. Od dzieciństwa do grzeczności przyzwyczajony, był Feliks do każdego uprzejmym i uczynnym, chociaż inni niegrzeczni chłopcy często go za to wyśmiewali, mówiąc:

„I cóż ci przyjdzie z twojej grzeczności, jednak świnie paść musisz“.

Pewnego dnia, gdy Feliks jak zwykle past trzodę, zbliżył się do niego niespodziewanie przechodzący tamtędy zakonnik i zapytał:

— Mój chłopcze, wiesz może, którądy najbliższej do miasta?

Usłużny Feliks, choć było i powietrze zimne i zła droga, grzecznie pozdrowił zakonnika i odpowiedział z uszanowaniem:

— Wiem i zaprowadzę was, Wielebny Ojcze, bo, idąc sami, moglibyście zabłądzić i wpaść w jaką przepaść. Trzodę popasie tymczasem moja siostra, która tam siedzi przy strumyku.

Zakonnik, ujęty grzecznością chłopca, rozpoczął z nim w drodze rozmowę. Poznaawszy z roztropnych odpowiedzi, że Feliks jest rozumny i bystry, zapytał go, czyby nie miał ochoty z nim pójść do klasztoru?

— Ale cóżbym tam robił? — Czytać nawet nie umiem, — odpowiedział chłopczyna zawstydzony.

— Nauczymy cię wszystkiego, co ci będzie potrzeba, jeżeli zechcesz — rzekł z dobrocią zakonnik.

— I owszem — wykrzyknął Feliks, klaszcząc w ręce, — zgoda!

— No, kiedy tak, to zaprowadź mnie do rodziców, poproszę ich o pozwolenie zabrania cię na wychowanie do klasztoru.

Na przedstawienie kapłana i prośby Feliksa rodzice zgodzili się chętnie. W ten sposób chłopiec, co dotąd dla ubóstwa nie mógł chodzić do szkoły, tylko pasał świnie, poszedł na nauki do klasztoru.

Feliks uczył się pilnie, a że był zdatny, a przytem uważny, robił w naukach wielkie postępy.

Jego pokora, a przytem zdolność i głęboka nauka, zjednały mu względy i przychyłność starszych. Feliks z jednego stopnia posuwał się szybko na wyższy: został kapłanem, biskupem, kardynałem, a w końcu obrano go papieżem, pod imieniem Sykstusa Piątego.

Prawdziwa ta historia jest przykładem moim kochani, że grzeczność zjednywa przychyłność i że mała rzecz może się stać nieraz przyczyną szczęścia człowieka.

21. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Często narzekają dzieci, a nawet i dorośli ludzie, że nigdy swej pracy ukończyć nie mogą. Przyczyną tego pospolicie jest to, że albo rano śpią za długo, albo nie śpiąc, za długo w łóżku leżą. A wszakże doświadczenie uczy, że rano się wszystko najlepiej robi, i że wczesne wstawanie pomocne jest zdrowiu, kiedy przeciwnie wyleganie w łóżku osłabia ciało.

„Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, a kto długo śpi, tylko mu się śni — niesie przysłowie. Zrozumiał tę prawdę pewien królewicz, gdy więc zaczął swoje panowanie, dał słudze rozkaz, ażeby go jaknajraniej budził i pozwolił mu wszelkich używać sposobów do wydostania go z łóżka, jeżeliby mu się czasem wstać nie chciało.

Sługa pełnił wiernie otrzymany rozkaz, a gdy król wstać nie chciał, wziął chustkę, zmoczył ją w zimnej wodzie i położył mu na twarz.

Każdy początek jest trudny, lecz po kilku dniach srodek ten pomógł i już odtąd nigdy nie potrzebował go używać. Król, przyzwyczajwszy się do rychłego wstawania, sam się potem budził i wstawał, a słudze swemu wdzięczny był całe życie. Czas, który dawniej na gnuśnem leżeniu spędzał, obracał teraz pożytecznie, czuł się przytem czerstwym, żwawym i wesołym.

22. Przy pracy.

Siedzi chłopiec nad książeczką,
Biedzi główkę małą —
Aż do niego przez okienko
Słoneczko zajrzało...
I mrugnęło okiem złotem,
I wabi chłopczynę:
»Potem się nauczysz, potem
Pobaw się godzinę!«
»Nie słoneczko jasne, złote!
Moje ty kochanie
Lepiej ty poczekaj na mnie,
Aż skończę czytanie!«

*

Pilnie uczy się chłopczyzna,
Główkę swoją biedzi,
A pod oknem na gałązce,
Mały ptaszek siedzi . . .
Oj wesoło wyśpiewuje
I wabi chłopczynę:
»Potem się nauczysz, potem . . .
Pobaw się godzinę!«
»Nie, nie mogę, ptaszku miły,
Moje ty kochanie!
Musisz ty poczekać na mnie,
Aż skończę pisanie!«

•

Mały chłopak nad książkami
Wciąż jeszcze pracuje,
A na dworze rzą koniki,
Piesek poszczekuje,
Kogut pieje, kury gdaczą
I wabią chłopczyń:
»Potem się nauczysz, potem;
Pobaw się godzinę!«
»Poczekajcie, poczekajcie!
Już kończę zadanie,
Już za chwilę z moich lekcji
Nic nie pozostanie.«

Chłopiec skończył — wiwat, wiwat!
Wywija czapeczką;
Wybiegł z domu — a do niego
Śmieje się słoneczko;
Kary konik rżeniem wita,
Ptaszek wyśpiewuje,
Nawet każda trawka drobna
Jemu się raduje.

23. Kto najlepszy?

Pewna bogata pani, która bardzo lubiła dzieci, postanowiła sobie wziąć ubogą dziewczynkę na wychowanie. Razu jednego, idąc przez wieś, pomyślała, że wybierze sobie na wychowankę tę z dziewczynek, która wyda się jej najlepszą ze spotkanych.

— Dzień dobry, moje dziecko — rzekła do dziewczynki, siedzącej z robotą na ławeczce przed domem. — Co szyjesz tak pilnie?

— Przypinam kokardy do kapelusza — odrzekła zagadnięta — bardzo mi będzie ładnie w tym kolorze.

— To jest próżna dziewczyna! — pomyślała pani i poszła dalej.

Potem spotkała dziewczynkę, która niosła dużą konewkę wody.

— Czy nie za ciężko dla ciebie tak dźwigać? — zapytała.

— O! nie, pani; poradzę temu, dzięki Bogu, a gdy wrócę, dostanę pięć groszy za fatygę.

Pani poszła dalej myśląc: — Niema zasługi, gdy robimy to, za co nam płacą.

— Czemu biegniesz tak prędko? — spytała następnej, mijającej ją dziewczynki.

— Boję się spóźnić na obiad, już jest po dwunastej.

— Nie lepsza od tamtej — pomyślała pani.

— Czego się tak śmiejesz, moja droga? — spytała znów inną dziewczynkę.

— A z Wacka proszę pani; pomagał mi przejść przez płot i sam upadł tak zabawnie.

— To bardzo brzydko wyśmiewać się z tych, którzy są dla nas życzliwi i uprzejmi — rzekła pani surowo.

— Wydajesz się zmęczoną, moja droga — rzekła pani do dziewczynki, która stała przed furtką.

— Niebardzo, proszę pani, choć odbyłam długą drogę. W tym domu mieszka biedna, niewidoma staruszka; przyszłam umyślnie, aby jej posprzątać, rozpalić ogień, ugotować obiad i zrobić co tylko będę mogła; potem muszę wracać prędko do domu, bo jeszcze trzeba pomóc matce.

— Jesteś dobrem dzieckiem — powiedziała pani — należy zawsze pomagać tym którzy sami sobie pomóc nie mogą.

PRZEDMOWA.

Pierwsza książka przeznaczona jest do czytania po elementarzu. Czytanki tak są podzielone podług treści na 8 rozdziałów, żeby rozszerzały zakres pojęć dziecięcych, poczynawszy od szkoły i bliższego otoczenia aż do przyrody wogóle i Boga. Przy wyborze nie rozstrzygały wyłącznie względy praktyczne t. j. powiększenie wiedzy, lecz także wyższe cele wychowawcze: uszlachetnienie dusz dziecięcych. Dla tego przeważa ilość wierszy i opowiadań w porównaniu do artykułików opisowych, które wogóle mniej są przystępne dla umysłów dziatwy w tym wieku. Pierwszy rozdział zawiera przedewszystkiem czytanki łatwe pod względem języka i treści, które także i w następujących rozdziałach mia nowicie dla ułatwienia początkowego czytania uwyda tnione są grubsze czcionkami.

Wrocław, w listopadzie 1918.

Prof. Władysław Komlschke, radca studjów.



Pani zasięgnęła bliższych wiadomości o tej dziewczynie i jej rodzinie, a później wzięła dobrą dziewczkę do swego domu i wychowywała jak własną córkę. Zajęła się także losem jej biednych rodziców, bo wiedziała, że dobre dziecko nie byłoby szczęśliwem, gdyby nie podzieliło swej szczęścia z tymi, których kocha.

24. Podkowa.

Ojciec, idąc ze synem swoim, Jankiem, do miasteczka, spostrzegł na ziemi podkowę.

— Chłopcze, podnieś ją i schowaj, — rzekł do syna.

— Eh! — mruknął Janek, — na cóż się ona przydać może, niema po co się schylać.

Ojciec, milcząc, podniósł podkowę i schował do kieszeni, w najbliższej wsi sprzedał ją kowalowi za kilka groszy i kupił za nie wisien.

Dzień był bardzo gorący, a droga piaszczysta, żadnem drzewkiem nie zacieniona. Skwar słońca dopiekał im bardzo, a w okolicy nie było ani strumyka, ani innej jakiej wody. Pragnienie straszliwie dokuczało Jankowi i ciężko mu było za ojcem podążyć. Wtedy ojciec, niby przez nieostrożność, upuścił jedną wiśnię. Janek podniósł ją natychmiast i zjadł z chciwością. Po chwili ojciec upuścił drugą, trzecią i czwartą, a Janek podnosił je z pospiechem i zjadał, gasząc pragnienie.

Tym sposobem ojciec upuszczał wiśnie, póki ich starczyło, a Janek po każdą schylał się z osobna.

Gdy ostatnią połykał, obrócił się ojciec do niego i rzekł:

— A widzisz leniuchu! gdybyś był mnie usłuchał i po podkowę się schylił, nie byłbyś potrzebował schylać się po wiśnie tyle razy.

25. Pilna Terenia i leniwa Julcia.

Żyły kiedyś dwie dziewczynki: Julcia i Terenia. Obiedwie razem się wychowywały, ale kiedy leniwa Julcia myślała tylko o zabawie i o nauce mniej dbała, Terenia w domu pilnie się uczyła i w szkole była uważną. Książki jej wyglądały jakby nowe, a sukienki były zawsze czyściutkie.

Idąc do szkoły przechodziły obok różnych składów zabawek, strojów lub cukierków. Terenia nie zwracała na nie uwagi, ale Julcia zawsze się przed oknami składów zatrzymywała.

Raz, późno już było, kiedy dziewczynki wyszły z domu. Żwawa Terenia, aby się nie spóźnić, biegnie co prędzej, tymczasem niebaczna Julcia swoim zwyczajem zatrzymała się przed oknem wystawnem zabawek. Coż się stało? Spóźniła się do szkoły. Nauczycielka zganiała jej to, ale Julcia, zamiast przynajmniej teraz uważać pilnie na wykład nauczycielki, była wciąż roztargnioną, myślała tylko o strojach i zabawkach, które widziała w swem oknie. Wezwana przez nauczycielkę, lekcji powtórzyć nie umiała. Zarumieniona od wstydu, stała teraz przed nauczycielką i na nową naganę zasłużyła, tymczasem pilna Terenia otrzymała pochwałę.

26. Psy.

Pies próżniak, co przeleżał przez noc i dzień cały,
Rzekł do tych, które pilnie noc całą czuwały:

„Wszyscyśmy sobie równi, wszak od ojca, dziada,
Ten sam ród wiem, i to ród nielada,”
„Prawda,” jeden z nich rzecze, „jest jednak różnica,
Bo nie ród, lecz cnota i praca zaszczyca.”

27. Najpewniejszy majątek.

Ogień może dom i sprzęty obrócić w perzynę.
Woda może zepsuć rolę, zatopić jarzynę.
Wicher może zniszczyć sady, a grad wybić zboże,
Zaraza wydusi bydło najzdrowsze w oborze,
Złodzieje się dobrać mogą do twoich pieniędzy.
Wojna może przyprowadzić do największej nędzy.

Czego ci nikt nie odbierze?

Co zbawi od głodu?

Tylko to, czegoś się dobrze nauczył za młodu.

28. Troje dzieci.

Troje dzieci szło razu jednego do szkoły.

— Będę się uczył i uważał bardzo pilnie —
mówił Józio, — bo ojciec obiecał mi dać dziesiątkę,
jeżeli mnie nauczyciel pochwali.

— I ja także będę pilną i uważną — mówiła Ka-
sia — bo mi za to matusia chusteczkę czerwoną kupi!

— A ja nie mam ani ojca, ani matki — rzekł
Waluś — nikt mi za dobrą naukę nie obiecał na-
grody; ale i ja także będę uważał i pilnie pra-
cował, żeby się nauczyć czego dobrego i potem
pomagać siostrze, która teraz na mnie pracuje.

Które z tych dzieci podoba się wam najwię-
cej i dla czego?

29. Ucz się, dziecińco.

Ucz się, dziecińco,
Bo lata płyną,
Bo rok po roku
Przepada w mroku.

Ci, co pracują,
Przyszłość budują,
Oni nie zginą —
Ucz się, dziecińco!

Śpią w grobach woje,	Żeś Polski synem,
Spękały zbroje	Trza dowieść czynem,
I miecz nie siecze —	Niech w swym zakresie
Dziś — w księgach miecze!	Każdy jej niesie
W nich mądrość wszelka,	Myśl swą i siły,
Moc — wskrzesicielka,	Aż do mogiły.
Z nią troski miną —	Za swoją chatkę,
Ucz się, dzieciно!	Za ziemię — matkę.

Dziś kto próżnuje —	Ucz się, dzieciно,
Kraj swój rujnuje	Nim lata spłyną,
I zdradza godło,	Byś dodał chwały
Co w przyszłość wiodło.	Ojczyźnie lubej.
On nie wart, dziecię,	Zysk niezawodny
Życ na tym świecie,	Da praca taka —
Wspomnień świątyni	I będziesz godny
Wstyd jeno czyni.	Nazwy Polaka!

Or-Ok

30. Najmilsza mowa.

Ty, ojczysta, piękna mowo,
Mowo przodków naszych droga!
Słodko brzmi twe każde słowo —
Tyś skarb, dany nam przez Boga.

Drogie mi modlitwy słowa,
Których matka mnie uczyła;
Miła sercu piosnka owa,
Którą do snu mi nuciła.

Miły śpiew, co polem płynie,
Kiedy dzwonią sierpy, kosy;
Jakże pięknie przy kominie
Gwarzy dziadus siwowłasy.

Niechaj będzie pochwalony
Po naszymu kto mnie wita,
Choćbym w obce poszedł strony,
Zaraz mnie za serce chwyta.

Ojcze, matko, siostro, bracie!
Ileż w słowach tych słodkości!
Wciąż je słyszysz w naszej chacie,
One uczą nas miłości.

Ojców naszych droga mowo,
Tyś jak słońce nam na niebie:
Słodko brzmi twe każde słowo —
Któżby mógł nie kochać ciebie?

31. Książka.

Mały chłopczyk, imieniem Józio, często siadał koło swej matki, a ona opowiadała mu o Bogu, o dawnych czasach, sławnych mężach i różnych stworzeniach na ziemi. Któregoś dnia mówiła mu o świętym Janie Kantym, który był tak miłosierdnym, że nie przeszedł koło żebraka, żeby go nie wspomóc. Raz nawet zdjął płaszcz ze siebie i oddał drżącemu od zimna nędzarzowi.

— Mamo, czyś ty znała świętego Jana Kantego? — zapytał chłopczyk.

— Nie, moje dziecko, święty Jan Kanty umarł już dawno temu.

— A skądże wiesz o tem, mammo?

— Czytałam to w książce.

Innego dnia matka opowiadała mu o królu Janie Sobieskim, jak z garstką mężnych Polaków pokonał pod Wiedniem Turków i obronił nie tylko własny kraj, lecz i sąsiadów od strasznych nieprzyjaciół. Gdy matka skończyła, Józio zapytał:

— Czyś ty, mammo widziała króla Jana Sobieskiego?

— Nie mój Józiu, już przeszło dwieście lat jak umarł.

— A skąd wiesz, że on Turków pobił?



— Czytałam to w książce — odpowiedziała matka.

Innym znowu razem opowiadała mu o ciepłych krajach, dokąd bociany, jaskółki, skowronki i inne ptaki odlatują od nas na zimę. Mówiła, jak tam nigdy ani śniegu, ani mrozu niema, jakie tam dziwne zwierzęta żyją, jacy ludzie tam mieszkają.

Józio słuchał uważnie, potem zapytał:

— Czy mama była w ciepłych krajach?

— Nie mój Józiu, ciepłe kraje leżą od nas bardzo, bardzo daleko.

— A skąd mama wie o tem, co się tam znajduje?

— W książce o tem czytałam.

Józio zamyślił się, w końcu rzekł:

— I wiele jeszcze ciekawych rzeczy czytałaś mammo w książce?

— Wiele mój synu! — bo niezliczona jest ilość książek na świecie, i gdy kto ma chęć i ciekawość, to może z nich wiele się dowiedzieć.

— I cóż trzeba robić mammo, aby zrozumieć historie, które są w książkach?

— Trzeba ci, synku w szkole uczyć się pilnie.

— Kochana mammo, proszę cię, zawołaj uradowany chłopczyk, posyłaj mnie tedy do szkoły!

Poszedł więc Józio do szkoły, był pilnym uczniem, a gdy pokończył zadania, chętnie i z uwagą czytał książki, które mu matka dawała. Jeżeli nie rozumiał treści, poprosił matkę o wytłumaczenie. Czyńcie i wy podobnie, moi kochani, a będziecie mieli z czytania pożytek i przyjemność.

32. O życiu języka.

Pomówimy sobie o języku, ale nie o tym czerwonym, co go macie w ustach, tylko o mowie ludzkiej.

Zdziwicie się bardzo, jak się dowiecie, że język ludzki, czyli mowa ludzka żyje, karmi się, choruje, może być bardzo biedna albo bogata.

Różni mądrzy podróżnicy jeździli do dalekich krajów i zauważyli, że są tacy dzicy ludzie, którzy mają w swojej mowie bardzo mało wyrazów, że ich język jest bardzo biedny. Ma ten biedny język trochę rzeczowników, bo przecież trzeba jakoś nazywać swoje stoły, garnki i inne rzeczy, ma tam jakąś kupkę przymiotników, bo jedne stolki są duże, a inne małe, jedne garnki — jakie? — czyste, a inne jakie? — brudne, ma tam jeszcze trochę tego i owego i już koniec. — Taki to sam biedny język, jak naszych małych dzieci.

A im mądrzejszy jest jakiś naród, im więcej wie i więcej umie, tem więcej ma rozmaitych wyrazów, i z każdym rokiem rodzą mu się nowe wyrazy, jak wam rodzą się bracia i siostry.

A może mi tak powiecie, jaki to wyraz niedawno się urodził? — Ano: samochód. Ktoś wymyślił brykę, która jeździ bez konia; trzeba to było jakoś nazwać — i nazwali samochód.

Tak samo dopóki Gutenberg nie wymyślił druku, nie było wyrazów: druk, czcionki, zecer, książka. Ale nie myślcie, że tylko rzeczowniki się rodzą. Nie: i przymiotniki także i inne części mowy. Są naprzykład w języku polskim dwa wyrazy: lubić i kochać. Kocha się Boga, ojca, matkę, a lubi się owoce, kolegę, psa, wodę z sokiem

Byłoby lepiej, żeby dla wody z sokiem był inny wyraz, niż dla kolegi, i pewnie on się kiedyś urodzi: wymyślą go ludzie, może nawet który z was wymyśli — co? — A weźcie teraz rosyjski język: tam jest tylko jedno — lubit'! — i mówi się: lublu otca i lublu prianik.

A teraz inny przykład: wiecie, co to jest ciekawość? Ciekawość to zaglądać do cudzych garnków, i mówi się, że taka ciekawość prowadzi do piekła.

Ale jest i inna ciekawość: co się dzieje na świecie, skąd powstają różne choroby, co było za dawnych czasów, o czym mówią książki — i taka ciekawość to pierwszy stopień do rozumu, do wiedzy, do doskonałości. I patrzcie: i dobra, i zła nazywają się jednakowo: ciekawość. — Tu znowu język rosyjski jest bogatszy, bo ma dwa wyrazy: lubopytstwo i luboznatielnost'! — Może za dwa lata, a może za dwadzieścia język urodzi nowy wyraz dla tej dobrej ciekawości, i będzie wszystko w porządku.

Wiecie, że są wyrazy: zamożny i bogaty. Zamożny to taki, który ma, czego mu potrzeba, a bogaty ma więcej, niż mu potrzeba, i nie wie, co z pieniędzmi robić. Tak samo ubogi to taki, który ma mniej, niż potrzeba: biedny już ma znacznie mniej, niż potrzeba: ani się leczyć nie może, jak należy, ani dzieci dobrze uczyć, ani często zjeść tyle, ile potrzeba, aby być silnym i zdrowym. A nędzarz nic już nie ma. — Wiedzicie, co za bogactwo wyrazów.

Jeżeli język sam sobie na razie nowego wyrazu wymyślić nie potrafi, to go sobie pożycza tymczasem od innego języka. Każdy język ma

dużo takich pożyczonych wyrazów. Mówicie „amator kwaśnych jabłek“, a amator to łaciński wyraz. Adie — to znowu pożyczone od Francuzów, a kucharz — od Niemców.

Kto pożycza, ten powinien oddać — i język oddaje pożyczone wyrazy. Weźcie sobie, panowie Francuzi, z powrotem swój wyraz: kontent, bo my już mamy swój wyraz — no jaki? — A, zadowolony. Weźcie sobie, panowie Niemcy swoje: spacerować, briefträger, bahnhof, bo my mamy: przechadzka, listowy, dworzec. — A już sensu niema mówić: powiestka z sądu, bo jest wezwanie z sądu.

Widzicie więc, że rodzą się w języku nowe wyrazy, że on rośnie, pożycza i oddaje, kiedy sobie na własny wyraz zapracuje, że jest coraz bogatszy, że coraz łatwiej nim ludziom myśleć i mówić.

J. Korczak.

33. Niepiśmienny.

Ja nie zazdroszczę, uchwaj mię, Boże,
Nic i nikomu na Bożym świecie,
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy, panowie, pisać umiecie.
Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie,
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po jasnym niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
Dumkę po dumce, słowo po słowie,
Spisałbym widok Bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny.
A teraz wszystko marnie ulata:
Bom nieuczony, bom niepiśmienny!

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, pióro wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie rozumieją, serce ci zranią,
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym poprostu, jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie:
Pukania serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki - gołąbki, bywajcie zdrowe,
Ja was nie schwyce — jam niepiśmienny!

L. Kondratowicz

34. Na co się przyda czytanie?

— Na co się dla mnie przyda czytanie?
Mała Anulka mamy spytała.
— Na to — odrzekła — moje kochanie,
By się córeczka ma dowiedziała,
Czemu to we dnie przyświeca słońce,
I gdzie się na noc ono podziewa;
Gdzie się znajdują kraje gorące,
Gdzie jakie rosną kwiaty i drzewa,
I dokąd ptaszek pod koniec lata
Z całą drużyną swoją odlata.
Dalej się dowiesz, córeczko droga,
Jak to Bóg stworzył niebo i ziemię,
Jak wielbić, kochać należy Boga,
I z wiarą w niego nieść życia brzemię.
A przytem poznasz historję świata,
Która wyraźnie tobie opowie,
Jakie to były minione lata,
I jacy dawniej wielcy mężowie
Milej ojczyźnie naszej służyli,
I czem się w dziejach naszych wstawili;

Ucz się więc, córko, moje kochanie,
Ile sił twoich i chęci stanie.

35. Jak ludzie nauczyli się pisać?

Dziś, gdy kto wiąże supełek na chustce, ani się domyśla, że podobne supełki, wiązane na sznurkach, stanowiły dawniej pismo. Pewien uczony przekonał się, że w kraju Peru, w Ameryce, za dawnych czasów ludzie układali całe historie z podobnych węzełków. Znalazł on tam splot sznurków, a na każdym coraz to inaczej wiązane supełki. Jedne sznurki były koloru czerwonego, inne zielone, białe, a każdy sznurek i każdy supełek miał swoje znaczenie. I tak: czerwony oznaczał wojnę, zielone — żniwa; sznurki dwa razy wiązane oznaczały mężczyzn, inne kobiety i dzieci. Z takich sznurków czytali dawniej dzicy, jak my dziś z książki, a nawet i teraz są jeszcze w Australji plemiona, które w ten sposób zapisują zdarzenia.

U innych znów narodów znane były całkiem odmienne znaki.

Na bardzo starych pomnikach w Ameryce, Afryce i Azji znaleziono rozmaite rysunki, wyrznięte niezgrabnie na kamieniach. Rysunki te przedstawiały zwierzęta, ptaki, broń, ludzi i różne przedmioty. Zaczęto odgadywać, coby one mogły znaczyć i w końcu przekonali się uczeni, że te rysunki są także próbą ludzkiego pisma, które już było znacznie lepsze od supełkowego, bo supełki wymagały wielkiej pamięci, a każdy rysunek mówił już sam za siebie. I tak: na jednym ze znalezionych pomników narysowany jest jeleni, przewrócony do góry nogami; to miało oznaczać, że

tu pochowany jest człowiek, nazwiskiem Jeleń. Pod nim jest głowa jelenia, co znaczy, że zmarły był dobrym myśliwym. Dalej różne ozdoby i toporek: to miało oznaczać, że Jeleń zasiadał w radzie swego plemienia. Dziewięć kresek z prawej strony oznaczają liczbę wojen, w których zmarły brał udział.

Wiele narodów używało takiego obrazkowego pisma, ale najbardziej zasłynęli z niego Egipcjanie, ci sami, o których opowiada stary testament.

Pismo to swoje nazywali Egipcjanie hieroglifami, a każdy znak oznaczał wyraz, albo też część jakiego wyrazu. Jeżeli na przykład na rysunku było zrobione niebo, a później rak, możnaby ułożyć z tego słowa nieborak. Egipcjanie mieli 900 takich rysunków, czyli znaków; pismo to więc było trudne i stąd niedogodne.

Niedaleko Egipcjan żył inny naród — Fenicjanie. Kupcy feniccy często odwiedzali Egipt, poznali tam hieroglify i przerobili je do swego użytku. Fenicjanie pierwsi zauważyli, że w mowie jest niewiele stosunkowo dźwięków i że się te same dźwięki powtarzają w rozmaitych wyrazach. Przyszli więc do tego wniosku, że najlepiej pismo, to jest znaki obmyślić według pojedynczych dźwięków. Zliczyli więc, ile sami różnych dźwięków wymawiają, i oznaczyli każdy dźwięk osobnym znakiem. Z tych znaków, wyrażających na piśmie dźwięki mowy ludzkiej, powstało abecadło.

Od Fenicjan wzięli abecadło Grecy, a znowu łacińskie abecadło powstało z greckiego.

Nasze abecadło ułożone jest na wzór łacińskiego; dodano do niego tylko rozmaite dźwięki,

których niema język łaciński, a które są właściwe językowi polskiemu. — (Zaczęto pisać na ziemi polskiej z wprowadzeniem chrześcijaństwa za Mieczysława I-go).

36. Na co się przyda pisanie?

Obok czytania uczymy się pisać. Kto umie pisać ten może rozmawiać z innymi, choćby o kilka set mil i więcej, weźmie bowiem kawał papieru i napisze na nim, co chce drugiemu powiedzieć i pośle mu to pismo. Ten skoro list odbierze i przeczyta, już wie, jakby słyszał, i znowu listem lub na karcie od siebie odpowiedzieć może. Listy posyłamy przez posłańców lub pocztą.

Ważną więc i użyteczną jest nauka pisania, bo z pomocą jej możemy drugim w oddaleniu donieść to, co myślimy i czego chcemy.

Gdyby ludzie nie byli wynaleźli sztuki pisania, a następnie drukowania, nie mielibyśmy także, moi kochani, rozlicznych książek, które nas pouczają i rozweselają.

37. Chłopczyk i kotek.

Siedzi nad wodą mały kocina,
Patrzy na rybki, idzie mu ślina:
Radby ich dostać, radby w bród skoczyć,
Lecz mu się nie chce nóżek zamoczyć.

Siedzi nad książką mały chłopczyzna,
Potrzebę nauk czuć już zaczyna:
Radby się uczyć, radby coś wiedzieć,
Lecz mu się nie chce główki pobiedzić.

Darmo, kocino, darmo chłopczyño!
Gołąbki same do ust nie płyną;
Kto leniuch, ten się o nic nie kusi:
Kto chce coś umieć — uczyć się musi.

38. Skrzypce.

Ojciec małego Władzia często grywał na skrzypcach. Chłopczyk lubił bardzo muzykę i prosił raz ojca by mu zagrał piosenkę: „Hej tam na górze stoją rycerze“.

Władysław śpiewał, a ojciec przygrywał mu leciuchno żeby nie zagłuszyć słabego głosu chłopczyny.

Ojciec opierał skrzypce o piersi i przytrzymywał je brodą, lewą ręką brał za rączkę instrumentu i przebiegał palcami po strunach, w prawej miał smyczek i ciągnął nim to w jedną, to w drugą stronę, z góry na dół i z dołu do góry. Chłopcowi zdawało się to tak łatwą rzeczą, że chciał zagrać sam.

— Niech mi ojczulek da skrzypeczki — prosił Władzio — zagram sobie: „Krakowiaczek ci ja!“

Ojciec dał mu skrzypce. Chłopczyk wziął je zrecznie, trzymał zupełnie tak samo jak ojciec i dalejże: raz! dwa! Zaczął grać.

Ale cóż to była za muzyka! Zamiast ładnej melodji, jakiś pisk, zgrzyt, skrzypienie nieznośne. Władzio przekonał się, że niedość smyczkiem po strunach ciągnąć, aby miła była muzyka, oddał więc ojcu skrzypce copędzej, mówiąc:

— Co trzeba robić, ojczulku, żeby skrzypeczki ładnie grały?

— Kto chce grać, musi się wprzód nauczyć; mój synku. Gdy widzimy, że coś robią inni, zdaje się nam, że i my to potrafimy, a gdy spróbujemy, przekonywamy się, że to, co nam się tak łatwem zdawało, niemało wymagało pracy.

39. Zamiary chłopca.

Nieraz sobie myślę o tem,
Czem ja będę, jak urosnę,
Czy kuć będę w kuźni młotem,
Czy obrabiać pilą sosnę?
Czy też może własną grzędę
Orać przyjdzie sochą krzywą,
Czy na tratwach flisem będę
Wisłą spławiać złote żniwo?
Lub, zapadłszy w puszcze, w knieje,
Dzielnym stanę się leśnikiem,
Co to nigdy nie błędnieje,
Choć się spotka z wilkiem, z dzikiem.

Albo może będę badał
Het na niebie księżyc złoty,
Ludziom dziwy opowiadał
I tłómaczył gwiazd obroty.

Może w księgi się zagrzebię
Aż po uszy, aż do brody
I, jak pszczoła, zgubię siebie,
Słodkie braciom niosąc miody.

O to jedno proszę Boga,
Niech mnie darzy szczęściem takim,
Jakbądź pójdzie moja droga,
Abym nie był złym próżniakiem.

M. Konopnicka.

40. Praca odkładana.

Przy wiejskim ogrodzie był spory kawał ziemi,
zupełnie zaniedbany; pośród mnóstwa kamieni wyrastały gdzieśniedzie kępy ostu i innego zielska.

— Ojciec my, ten kawał ziemi oczyścimy! — powiedzieli dnia jednego trzej bracia do właściciela — daj go nam na rok jeden!

— Chętnie! — odpowiedział ojciec i kawał ziemi na trzy równe podzielił części.

Było to na końcu marca. Już do gruntu puściło, dnie bywały piękne i najzdadniejsze do podobnej roboty. Trzej bracia wzięli się do pracy i dwaj starsi w przeciągu tygodnia oczyścili dział swój prawie zupełnie. Młodszy więcej się bawił niż robił i tamtych skończona była praca, kiedy on swoją zaledwie zaczął. Gdy mu Ojciec tę opieszałość wymawiał, Franuś odpowiedział: „O! dopiero początek wiosny, dosyć czasu będzie!”

Tymczasem dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał nadal pracę. Nadeszło lato, a z nim upały; ile razy wzięł się do roboty, pot lał mu się z czoła i przestawać musiał. „Nadejdzie chłodna jesień, mówił sam do siebie, to będzie pora najlepsza!” Nadeszła jesień. Ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego deszcz pokrapiał. „Przyjdzie zima, mówił, bywają i w zimie dni piękne i jasne, ja to w mgnieniu oka zrobię!” Przyszła zima. Franuś wzięł się do kamieni i do zeschłych łodyk, ale cóż? przymarzły zupełnie i nic zrobić nie mógł.

Jak niebaczny Franuś błdził tak brądzi każdy, kto pracę na dalszy czas odkłada, a w obecnej chwili próżnuje. Co masz do czynienia, dopełnij jak najprędzej. Teraźniejsza godzina sprzyja twojej pracy, a któż ci za dalsze zaręczyć może? Jeżeli zawsze pomyślniejszej pory czekać będziesz, może cię śmierć zimna zaskoczy, zanim dzieło rozpoczniesz.

Kl. Hofmanowa.

41. Polewka.

— Jakaś dzisiaj niesmaczna polewka — rzekł Kazio do matki i położył łyżkę — nie będę jej jadł.

— Nie mam teraz czasu ugotować ci innej — rzecze matka — ale wieczorem dam ci lepszą.

Po obiedzie wzięła matka Kazia do ogrodu i sama kopala ziemniaki aż do zmierzchu, a jemu kazała je nosić do piwnicy.

Po ukończonej pracy, gdy wrócili do domu, przyniosła mu matka polewkę na wieczercę. Kazio skosztował i zawołał: „To mi polewka! to nie taka jaka była na obiad“ i zjadł pełen talerz.

Matka rozśmiała się na to i rzekła: „Wszak to ta sama polewka, której na obiad jeść nie chciałeś. Teraz ci smakowała, boś przez całe poobiedzie pracował. Pamiętaj: praca zaostrza apetyt.

42. Orzech.

Dwaj chłopcy wracając ze szkoły, znaleźli na drodze orzech.

— To mój orzech — zawołał pierwszy — ja go wpierw zobaczyłem!

— Nie, bo mój orzech — rzekł drugi — ja go podniosłem!

Usłyszał ten spór starszy chłopiec, zbliżył się do sprzeczekających i rzekł:

— Dajcie orzech! — ja rozstrzygnę wasz spór. — Przegryzł orzech na dwie części, jedną połowę skorupki dał jednemu, a drugą drugiemu chłopcu.

— Otóż podzieliłem was równo; ziarnko zaś zatrzymuję dla siebie, jako wynagrodzenie za to, że was pogodził.

43. Dziecię i ojciec.

Bił ojciec różgą dziecię, że się nie uczyło;

Gdy odszedł, dziecię różgę ze złości spaliło.

Wkrótce znowu Jaś krnąbrny na plagi zarobił,

Ojciec różgi nie znalazł i kijem go obił. *Ig. Krasicki.*

54. Plama.

Staś na sukni zrobił plamę,
Płacze i przeprasza mamę.
— Nie gniewam się — rzekła mama —
Łatwo się wypierze plama,
Ale strzeż się, moje dziecię,
Brzydkim czynem splamić życie;
Bo ci, Stasiu, mówię szczerze,
Ta się plama nie wypierze.

45. Pasek.

Dwaj chłopcy, Florek i Wojtek, szli drogą do kościoła i znaleźli na moście pasek rzemienny.

— To mój pasek, — wołał Wojtek, — ja go pierwszy zobaczyłem.

— Nie, to mój, — odpowiedział Florek, — ja go pierwszy podniosłem z ziemi.

Zaczęli się kłócić. Florek za jeden koniec ciągnie pasek do siebie, Wojtek za drugi koniec do siebie. Pasek zerwał się i obaj spadają z mostu do wody: ten na lewo, a tamten na prawo. I tak, skutkiem kłótni, żaden z nich paska nie miał, a obaj za karę skapali się w wodzie.

46. Dwa wróbelki i kogut.

Biły się raz na ulicy
Dwa młode wróbelki:
Szło im o ziarnko pszenicy,
Skarb wcale niewielki.

Ten chce sobie i ten sobie,
A oba uparte:
„Nie dam tobie! nie dam tobie!”
Czubią się zażarte.

Przybiegł kogut na te krzyki,
Pyta: „O co chodzi?
A, zuchwalcy, a złoŃniki!
CzyŹto bić się godzi?”

I wokoło z gniewem w dzióbie
Zgorszony tą sprzeczką:
Obu wróblom dał po czubie,
A sam zjadł ziarneczko.

Stąd wypływa jak najjaśniej
Prawda oczywista:
Źe tam, gdzie się dwóch poważni,
Ktoś trzeci korzysta.

* * *

Jeśli chcesz towarzystwa i żyć z kaŹdym zgodnie,
ObchóŹ się ze wszystkimi uprzejmie, łagodnie.

47. Nasionko.

W waszem sercu, w waszem łonie,
Boska iskra, dzieci, płonie;
Lecz wam prawdę wyznać muszę:
Jeszcze drzemią wasze dusze.
W waszem sercu, dzieci drogie,
Jest nasionko święte, błogie;
Ono w sercu jeszcze drzemie,
Jak rzucone ziarnko w ziemię.
Ziarnko pszenne nie zaginie,
Bo zaledwo zima minie
I wiosenne błysnie słońko,
JuŹ przebudza się nasionko,
A gdy ziemię deszczyk zrośi,
Głowę w niebo zaraz wznosi,
Zwolna rośnie i wnet potem
Obdarza nas kłosem złotym.
Drogie dzieci! i wam trzeba
Strzedz w serduszku iskrę nieba.

A dojrzeje ziarno Boże —
Nauka wam w tem pomoże —
I ozdobi serce w cnoty . . .
I plon wyda cudny, złoty.

48. Pracowita pszczołka.

— Powiedz-że mi pszczołko mała,
Po coś dziś tak rano wstała?
— Ha do pracy, moje dziecię!
Kwitną już kwiateczki przecie,
To też lecę do ogrodu,
Aby zebrać trochę miodu.
— Wiem ja o tem, chłopiec rzeknie,
Że pracować bardzo pięknie,
Próżniakami wszyscy gardzą.
I ja pracę cenię bardzo . . .
Lecz nie mieści mi się w głowie —
Znów po chwili chłopiec powie —
Na co ci miodu tak wiele? . . .
— Bo się z ludźmi nim podzielę:
Pragnę im się przydać na co,
I przysłużyć moją pracą.
Myślę nie tylko o sobie,
Nie dla siebie wszystko robię . .
Lubią mię też za to ludzie,
Pomagają często w trudzie.
Zrobią domek, sieją kwiecie,
Ot i dobrze mi na świecie.

Stoi chłopiec, kręci główką
Rozważając każde słówko,
A tymczasem pszczołka mała
Do swej pracy poleciała.

49. Marzenie chłopca.

A jak ja urosnę,
Sprzęgnę wołki siwe,
Będę orał, zaorywał
Tę pszeniczną niwę.

A jak ja urosnę,
Wezmę złote ziarno,
Będę siewał wczesną wiosną
Ziemie naszą czarną.

A jak ja urosnę,
Nie poskapię ręki
Będę kosił bujną niwę
I śpiewał piosenki,

Oj! ty, bujna niwo,
Ty, pszeniczne pole,
Nie żał tobie pracy naszej
Ni potu na czole.

Konopnicka.

50. Nowy rok szkolny.

Znów w szkolnej ławce schylone pilnie,
Z książką, co światło w główce wam nieci
I co wam korzyść da nieomylnie,

Witajcie dzieci!

Czas na wakacjach zbiegł wam tak chyży,
Jak ptak, co szybko w oczach przeleci,
I znów o stopień poszłyście wyżej;

To pięknie dzieci!

I tak co roku z stopni na stopnie,
Tam, gdzie wam gwiazda przewodnia świeci,
Póki się celu swego nie dopnie,

Trzeba iść dzieci!

I niczem zrażać się nie należy!
Przejdzie rok jeden, drugi i trzeci,
I wielcy ludzie, niech dziatwa wierzy,

Urosną z dzieci.

Lecz nie dość urosć, to każdy umie,
A człek nie wzrostem, lecz głową świeci;
Więc trza się starać, aby w rozumie

Rosły wciąż dzieci.

Oto rok szkolny znów się otwiera:

Dalej do książki! czas szybko leci!

Gorliwość w pracy Bóg zawsze wspiera,
Pomnijcie dzieci.

Wł. Bełza.

51. Jałmużna myśli.

Mój Piotrusiu! Nie mam grosza,
Bom i mały, i ubogi.
Ale siadźmy sobie razem
Na tym wzgórk, koło drogi!

Ja z książeczki mojej nowej
Przeczytam ci powieść sławną,
Sławną powieść o tych czasach,
Co minęły, przeszły dawno!

Pokażę ci na obrazku
Takich mężów i rycerzy,
Aż ci w główkę najdzie blasku,
Aż serduszko ci uderzy!

Opowiem ci różne rzeczy
O tych polach, o tem niebie,
O tych naszych żytnich kłosach,
Co tu rosną wedle ciebie.

Opowiem ci o tych lasach,
Co na straży, szumiąc, stoją,
O tych rzekach modrych, bystrych,
Co nam łąki nasze poją.

Potem sobie zaśpiewamy,
Aż głos pójdzie na pół mili!
I będzie nam w sercu błogo,
Żeśmy taki dzień przeżyli!

Marja Konopnicka



ROZDZIAŁ II.

Dom, rodzina, zwierzęta domowe.

52. Domek.

Krakowiak.

Ptaszek gniazdo wije,
Zwierz się w jamy kryje;
Ja biedny człowieczek,
Zbuduję domeczek.

Sosny wybujały,
A jam jeszcze mały;
Jak jeno urosnę,
Zetnę w boru sosnę.

Narzę z niej deseczek,
Postawię domeczek
Mały maluteńki,
Cały nowiuteńki.

Dam w nim okieneczka
Od wschodu słoneczka,
Żeby nas budziło
Jak będzie wschodziło.

Dam w domu i drzwiczki
Prosto od uliczki,
Żeby i ubogi
Miał wejście od drogi.

A prosto w okienka
Będzie Boża Męka,
Żeby Bóg łaskawy,
Patrzył w nasze sprawy.

53. Chata.

Śliczna nasza chata, śliczna i nowiutka! Zbudował ją ojciec kilka latek temu. Nie pamiętam tego, bo byłem maleńki; ale za to Maryś, starsza siostra moja, mówi, że pamięta wszystko doskonale. Jak to tam zwozili wielkie kłody drzewa, cegły czerwoniutkie, wapno, piasek, glinę. Jak najpierw zrobili podmurówkę z cegły, potem z drzewa ściany, podlogę i pułap; potem dach ze słomy, komin murowany, drzwi z gładziutkich desek, okna, okiennice.

Oj, żałuję bardzo, żem nie widział tego; bo gdybym się jeno był dobrze przypatrzył, a pomógł w robocie, coś podał, coś przyniósł, — tobym pewno umiał już chaty budować!

54. Domek rodzinny.

Mile gniazdko jest ptaszynie
Przy ojcu i matce;
Milej stokroć jest dziecinie
Przy rodzicach w chatce.
Wszędzie pięknie słońce świeci,
Mile kraje inne;
Milsze stokroć dla nas, dzieci,
Są strony rodzinne.

55. Mój domek rodzinny.

Mój domek rodzinny znajduje się na wsi. Jest on drewniany, kryty gontami z murowanym kominem.

Przed domem jest ganek o sześciu słupkach. Dokoła ganku zasadził ojciec wino dzikie, które ocienia ganek i osłania od gorących promieni słonecznych. Gdy jeszcze nie rośło wino, było na ganku bardzo gorąco, gdyż ganek i cały front domu zwrócone są na południe.

Z ganku prowadzą dwoje drzwi do sieni, gdzie wiszą strzelby ojca, rogi jelenie, a nawet kły dzika, którego ojciec zastrzelił.

Pierwszy pokój na prawo jest kancelarią; tam ma ojciec szafy z książkami, biurko, przed którym stoi skórzany fotel. Za kancelarią jest pokój jadalny, potem rodziców sypialny. Do tych pokoi zimą i latem zagląda słońce, bo okna ich są zwrócone na wschód. Latem skoro słońce wej-

dzie i ptaki zbudzone zaczęły świergotać, rodzice także zrywają się z posłania i dążą do swoich zajęć.

Z sypialnego pokoju rodziców, a także i z sieni można przejść na lewą stronę domu. Tam jest pokój dziecięcy, gościnny i bawialny. Dwa pierwsze pokoje mają okna na zachód i latem pod wieczór słońce w nich przygrzewa bardzo.

Z drugiej strony domu jest osobna sień z kuchnią, spiżarnią i izbą czeladnią. Ta strona domu zwrócona jest na północ.

Przed domem jest ogród kwiatowy, za domem chlewki i kurniki, na zachód stajnie, obory, stodoły, słowem, całe gospodarstwo, a na wschód rozciąga się sad i ogród warzywny. Za podwórzem, na polu krzyżują się cztery drogi, prowadzące przez las, łąkę i pola w cztery strony świata.

56. W wieśniaczej chacie.

Blisko wejścia komin stoi
Na nim garnek duży,
Stół przy ścianie izbę stroi
I do jadła służy.
Ponad stołem dwa obrazki
Popstrzone przez muchy,
Komin słabe rzuca blaski,
Chróst w nim trzeszczy suchy.
Nieco dalej wielka skrzynia
Oparta o ścianę.
Obok szafka, gdzie naczynia
I łyżki schowane.
Kołowrotek stoi w środku,
Na nim kądziel przęda.
Zabrzmi pieśń przy kołowrotku,
Gdy dni zimne będą.

Gdy nastaną długie noce
Z zimą w śnieżnej szacie,
I kaganek zamigoce
W biednej, wiejskiej chacie.

57. Dworek wiejski.

Wśród żyznych pól przed laty, nad brzegiem ruczaju
Na pagórku niewielkim we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany,
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go strzegą od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi;
I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi
Użątka, co pod strzechą zmieścić się nie może,
Widać, że okolica obfita we zboże.
I widać z liczby kopiec, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów
Orzących wcześniej łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, nakszałt ogrodowych grządek;
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.

Adam Mickiewicz.

58. Dom.

Dom tworzą cztery ściany zewnętrzne, mianowicie: ściana frontowa, tylna, i dwie ściany boczne. Ściana frontowa jest zwrócona ku ulicy, ma kilka lub kilkanaście okien i zwykle jedno drzwi lub bramę. Ściana tylna jest zwrócona na podwórze i ma również drzwi i okna. W ścianach bocznych też mogą być okna. Nad czterema ścianami domu znajduje się dach pochyły, chroniący dom od wilgoci. Wewnątrz domu są sienie, schody, pokoje, kuchnie, piwnice, i góra, czyli strych. Domy mogą być murowane, czyli kamienice, i drewniane;

mogą też być parterowe i piętrowe. W wielkich miastach budują domy dwupiętrowe, trzypiętrowe, czteropiętrowe i jeszcze wyższe. Przy budowie domu pracują różni rzemieślnicy, jak: mularze, cieśle, stolarze, malarze, szklarze, ślusarze i inni.

59. Dawne mieszkania.

W dzisiejszych czasach, w dużych miastach widzieć można piękne kamienice, wspaniałe pałace, a w nich ludzie nagromadzili mnóstwo wygod, które się przyczyniają do uprzyjemnienia życia. Po wsiach rzadko się widzi pałace; zwykle jest jeden większy dwór na całą wieś. Ale i chaty dzisiejsze są dość wygodne: widno w nich jest, przestronno i wysoko, i zawierają one w swem wnętrzu niezbędne sprzęty do siedzenia, spoczynku i gotowania strawy.

Do takich wygodnych mieszkań nie doszli ludzie od razu. Pierwotnie szukali oni schroniska w norach, jaskiniach, — a powoli dopiero, gdy doszli do wynalazku niezbędnych do budowni narzędzi, zaczęli stawiać szałas, a potem chaty i domy.

Uczeni ludzie wykazali, że w dzisiejszej Szkocji, która należy do Anglii i jest krajem bardzo oświeconym, budowali sobie ludzie w najdawniejszych czasach mieszkania podziemne. Były to jaskinie, wyłożone kamieniami nieobrobionymi. Podobne nory przygotowywali sobie Germanowie, czyli Niemcy; tam chowali zboże, chronili się przed zimą, a w czasie wojny przed nieprzyjacielem. Przodkowie dzisiejszych Francuzów, którzy się nazywali Gallowie, budowali sobie mieszkania w ten

sposób, że wtykali w ziemię drągi, oplatali chróstem i gałęzmi, a potem z wierzchu pomazywali je tłustem błotem lub gliną, dach zaś przykrywali liśćmi. Za najwspanialszą ozdobę tych mieszkań uważali Gallowie głowy zabitych na wojnie nieprzyjaciół, zawieszone ze dworu na ścianie. Tak było u Gallów, krótko przed narodzeniem Chrystusa, a więc około 2000 lat temu.

W Anglii wykopywali ludzie dół, na dwie stopy głęboki; nad nim stawiali dach, i to było całe domostwo. W późniejszym jednakże czasie na lato podnosili trochę dachy i opierali je na czterech słupach, a wreszcie na zimę zaprzestano spuszczać dach, wbijano słupki gęściej, przeplatano je gałęzmi i smarowano gliną.

W Szwajcarii jest wiele jezior, a na wzgórzach lasów. Ludzie więc tamtejsi budowali dawniej swe domostwa na jeziorach; wbijali pale, a na nich dość wysoko nad wodą z chróstu pleciono chaty, których ściany grubo oblepiano gliną.

Takie chaty nadwodne stawiali niegdyś i nasi praojcowie, aby się zabezpieczyć od wroga i dzikiego zwierza. Dachy podobnych domów były kryte liśćmi, a podłogę zaścielano plecionkami ze słomy. Ponieważ nie znano wtedy jeszcze narzędzi żelaznych, a więc słupy do mieszkań nadwodnych przepalano, dotykając do nich zapalone główne. Ze zaś tak starodawni ludzie robili, świadczą o tem różne wykopaliska; w Szwajcarii znaleziono w ziemi skamieniałe słupy dębowe, na których były ślady przepalenia. Udoskonalenie budowlu zależało od innych wynalazków, bo, dopóki ludzie nie znali żelaza, nie mieli pił i siekier, do-

póty nie było można myśleć o ciosaniu drzewa i o budowaniu z niego domów pięknych i wygodnych.

60. Podwórze wiejskie.

Z domu wychodzimy na ulicę lub na podwórze. Podwórze jest otoczone parkanem, sztachetami, płotem, lub murem. Na podwórzu znajduje się zwykle stajnia na konie i krowy, chlewek na świnie, kurnik dla drobiu, i buda dla psa. Jest tu także drwalnia, w której składają drwa na opał.

Czasem bywa na podwórzu także studnia, a przy studni koryto, w którym poją bydło. — W wielkich gospodarstwach bywa nieraz kilka dziedzińców; osobnym dziedzińcem zajężdża się przed dom; inne podwórze przeznaczone jest do rąbania drzewa i dla kuchni, inne dla drobiu; na osobnym dziedzińcu stoją stajnie dla koni i wozownie.

Inaczej wyglądają dziedzińce w miastach, w których są wielkie kamienice.

61. Piesek leniuszek.

Służyć trzeba: no, Azorku,
Bo ci nie dam podwieczorku,
Cóż to znowu mości panie,
Na nic takie próżnowanie,
Przez dzień cały śpi niebożę,
O, tak dłużej być nie może,
Trzeba uczyć się warować,
Służyć ładnie, aportować.

Pieski znają różne sztuki,
Lecz nie przecież bez nauki.
No służ teraz tak jak trzeba,
A dostaniesz kawał chleba.

I coś więcej dam ci jeszcze
I pogłaszczę i popieszczę.
Azor patrzy, oczy mruży,
Wznosi się, ale nie służy.

A to leniuch! nic dobrego!
Janek gniewa się na niego,
Różne prawi mu morały,
Bo on sam, choć chłopczyk mały
Ale wie już o tem przecie,
Że pracować trzeba w świecie.
Uczy się też doskonale
I leniuszkiem nie jest wcale.

Helena Bojarska.

62. Dwa pieski.

Dwa młode pieski razem się chowały,
W jednej sypiały budzie, domu pilnowały.
Byłyby zawsze w przyjaźni i zgodzie,
Ale im chciwość była na przeszkodzie.
O lada strawę, o marne kosteczki,
Zaraz warczały, miały z sobą sprzeczeki,
Aż na koniec psim zwyczajem,
Pogryzły siebie nawzajem.
I nie dziw; między psami często się to zdarza,
Lecz chciwość szpeci ludzi i Boga obraża.

Radziszewski

63. Gościnność.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nieludno,
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył:
Dom niewielki, — wtem gość wchodzi;
Ot, i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno już nikomu;

Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu;
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież blizka
Dla obcego i dla swego,
I od Boga, aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.
A dopieroż to przyjęcie
Jakie bywa w polskim domu!
Jest tam każdy poczczon święcie,
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto;
Czeladź syta i okryta;
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
I do tego dzban nie pusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.
Choć przyjęcie najlaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla „Zagórskich panów!”

W. Pot.

64 Lis i kurka.

Do podwórka pode dworem
Podszedł lisek sobie:
— Chodź, kureczko, kochaneczko,
Ja ci nic nie zrobię
 Jam przyjaciół twój najszczerzy
 Na spacer pójdz ze mną...
— Mój ty lisku — rzekła kurka —
 Prosisz nadaremno.

Mówiła mi nieraz mama,
Bym się lisów strzegła...
I czempredzej mądra kurka
Do matki pobiegła.

A lis chytry zwiesił kite,
Powłókł się do lasu.
Szkoda było, panie lisie,
Czasu i atlasu.

Or-Or.

65. Nasza dziewczyna.

Nasza dziewczyna
Niby malina,
Szczerza w ochocie,
Pilna w robocie.
W okienku chaty
Ustawia kwiaty,
Tatarakami
Uściela sionkę,
Przed obrazami
Wiesza koronkę;
W niedzielę chusty
Krasne przywdzieje,
Wdzięcznemi usta

Wszystkim się śmieje.
U niej ze dzbana
Woda źródłana,
I chleb ubogim,
I cień przed progiem.
Gdy w sianokosy
Słyszysz piosneczki,
To pewnie głosy
Naszej dziewczynki;
Fura się toczy
I skrzypią koła,
A przy niej kroczy
Dziewka wesola.

66. Porządek w chacie.

U jednych dziewczek
Pachnie porządeczek:
W każdym się tam statku
Przejrzysz, jak w zwierciadłku.

Czyściutko, jak z płatka
Umieciona chatka,
A dokoła ścianek
Ogródek jak wianek.

U drugich dziewczek
Inny porządeczek
Wieprzki w sieni ryją,
Psy naczynia myją,

A łyżki pod ławą
Zarośły murawą...
Krowy nie wydoi,
Ogona się boi;

Izby nie wymiecie —
Kupą leży śmiecie,
A twarz też się zdarza
Jak u kominiarza...

67. Pranie.

Pucu, pucu, chlastu, chlastu,
Nie mam rączek jedenastu
Tylko dwie mam rączki małe;
Lecz do prania doskonałe!

Umiem w cebrzyk wody nalać,
Umiem wyprać no... i zwalać;
Z mydła zrobię tyle piany,
Co i kucharz ze śmietany.

I wypłuczę i wykręcę,
Choć mnie dobrze bolą ręce;
Umię także krochmalić,
Tylko nie chcę się już chwalić.

Tak to praca zawsze nowa
Gdy kto lalek się dochowa.
„A u pani jakie dziatki,
Czy też brudzą swe manatki?”

„U mnie? Ach to jeszcze gorzej,
Zaraz zdejmuj, co się włoży!
Ja i praczki już nie biorę
Tylko co dzień sama piorę“.

Marja Konopnicka.

68. O mydle.

Niemiły, wstrętny jest widok brudasa! Im człowiek jest porządniejszy, tem jest czystszy. Im naród bardziej jest oświecony, tem więcej zużywa mydła.

Bo każdy rozsądny i oświecony człowiek wie, że lepiej jest wydać nieco pieniędzy na mydło, niż narażać się na choroby, które często z nieczystości powstają.

Kurz, który się ciągle unosi w powietrzu, osiada na ciele naszym, przeciska się przez ubranie i bie-

liznę, miesza się z potem i tłuszczem, które wydziela skóra, i tworzy brud.

Brud ten zakleja miliony otworków, znajdujących się w skórze, i skutkiem tego przeszkadza oczyszczaniu krwi, z potem bowiem wychodzą ze krwi naszej różne nieczystości. Prócz tego na ciele naszym, na rękach i odzieży osiada mnóstwo zarodków, które przyczyniają się do powstawania chorób, na które zapadają ci, co nie myją się sumiennie, nie zmieniają bielizny i nie czyszczą odzieży.

Ażeby utrzymać czystość ciała, niezbędne jest prócz wody używanie mydła. Ma ono tę własność, że zabija zarazki chorobotwórcze, miesza się łatwo z brudem, łączy się i wtedy z brudem spływa z ciała. Sama woda często nie może wystarczyć. Wiedzieli o tem dawniejsi ludzie, bo jeszcze przed paru tysiącami lat mydła używali. Wyrabiano je wtedy tak samo prawie, jak teraz: z tłuszczu zwierzęcego, popiołu, wapna i soli.

St. Okołowiczówna.

69. Do zdrowia.

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tak człowiek prawie
Widzi na jawie
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie,
Ani lepszego,
Ani droższego.
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,

Także wiek młody
I dar urody,
Miejsca wysokie,
Władze szerokie,
Dobre są, ale
Gdy zdrowie wcale.
Gdzie nie masz siły,
I świat niemiły.
Klejnocie drogi!
Mój dom ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie!

Jan Kochanowski.

70. Matka.

Dziecię! jest mnóstwo aniołów w niebie,
Co każdy krok twój śledzą z obłoku,
Lecz tu na ziemi, tak blisko ciebie,
Czuwa twój anioł z tezką na oku.
On cię osłania skrzydły swojemi,
A więc go kochać i czcić potrzeba,
Bo kto zasmuci anioła ziemi,
To jakby smucił aniołów z nieba.
Czcij więc i kochaj matkę jedyną,
Bo to twój anioł, droga dziecińo!

W. Belza.

71. Dla mamy.

Są tam na łące
Kwiatki pachnące,
Z nich uzbieramy
Bukiet dla mamy.

O, gdy w niedzielę
Będziem w kościele
Za mamę szczerze,
Zmówim pacierze.

Są w naszym borze
Jagódki może,
Gdy co znajdziemy,
Jej zaniesiemy.

Bóg wielki z nieba
Da co potrzeba,
Gdy dobre dziatki
Proszą dla matki.

72. Wzrok matki.

We Florencji we Włoszech przed paru set laty zdarzył się następujący wypadek. Z menażerji wielkiego księcia wylamał się lew i biegał po mieście. Wszyscy przechodnie przełękli się i uciekali przed strasznem zwierzęciem, kryjąc się w sklepach i sieniach.

Uciekała i kobieta z dzieckiem na ręku. Była słaba, sił jej brakowało. Wszyscy ją wyprzedzili, popychając. Znalazła się sama z dzieckiem na środku pustej ulicy. Spojrzała za siebie: straszliwy zwierz był już tylko o kilka kroków od niej.

Zdrętwiała z przerażenia: zdawało się, że przestach przykuł ją do ziemi. Wyteża ostatnie siły, rzuca się naprzód ku bocznej uliczce; wtem dziecko wysuwa się z drżących jej rąk na ziemię. Lew skoczył: pochwycił dziecko.

Nieszczęśliwa matka rzuca się na kolana przed drapieżnikiem i, z bólem niezmiernym patrząc mu w ślepią błaga go, by dziecko oddał. Lew wstrzymał się, utkwiał wzrok w matce — i złożył dziecko nietknięte na ziemi, a sam, zwolna, z dumą jakby, oddalił się.

Zrozumiał wzrok matki.

73. Piękny przykład czci dla rodziców.

Franciszek Karpiński, ukończywszy szkoły, przyjechał do rodziców. U nas w Polsce, dzieci, chociaż najstarsze, zawsze uważały się za dzieci pod władzą rodzicielską. Miał i Franciszek dla rodziców największe uszanowanie, w ich obecności nigdy prędzej nie usiadł, dopóki na to nie zezwolili, a stojąc przed nimi, nie śmiał oprzeć się plecami o ścianę.

Ojciec Franciszka, aby się przekonać, czy syn, który teraz już był dorosłym, nie zmienił się, chodząc raz po izbie, przystąpił do niego i nic nie mówiąc w twarz go uderzył, poczem znowu przechadzał się jak przedtem.

Franciszek nie wiedział co to ma znaczyć, ale skromny, z oczyma w ziemię spuszczone, milczał i czekał końca z pokorą.

Ojciec rozrzuwniony tem spokojnem zachowaniem się syna, rzucił się wtedy Franciszkowi na szyję i mówił ze łzami: „Synu mój, doświadczałem

cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca swego. Teraz widzę, żeś prawdziwej mądrości się nauczył i umiesz uszanować ojca i jako dziecko mnie się poddajesz“. Potem ukląkł w pośrodku izby i zawołał: „O Boże pobłogosław to dziecko moje, niech żyje długo, zdrowe i szczęśliwe!“

Franciszek, wzruszony tą mową, padł do nóg ojcu, a on klęczący do klęczącego mówił jeszcze: „Synu mój, szanuj ludzi, a będziesz szanowany, ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatnim!“

Pan Bóg pobłogosławił Franciszkowi i spełnił słowa jego ojca.

Franciszek Karpiński był mężem uczonym i szanowanym, ułożył wiele pięknych pieśni, a między niemi znana do dziś i powszechnie śpiewaną pieśń nabożną: „Kiedy ranne wstają zorze“.

74. Dobry syn.

Mały chłopiec przechodził przez ulicę. Nagle nadjechały dwa wozy: koń obalił chłopca i koło zламаło mu nogę. Przyniesiono biedaka do domu, bladego, jęczącego z bólu. Matka jego chora, o mało nie zemdliała z przestachu.

Widząc to, chłopiec przestał jęczeć. Nawet gdy felczer opatrywał mu nogę, gdy ją ciągnął, obwijał, chłopiec nie krzyknął ani razu, tylko zęby zacisnął.

— Czy cię nie boli? — zapytał felczer.

— O, bardzo boli! — odpowiedział chłopiec.

— Czemu więc leżysz tak spokojnie, nie jękniesz, nie zapłaczesz?

— Bo nie chcę martwić mateczki . . . — odparł chłopczyzna.

75. Dzwony.

A gdy skołał w czarnej chacie
Jasieńko miły,
Poszła matka prosić dzwonów,
By mu dzwoniły.
— Mój synaczek, mój rodzony
W trumience leży,
O zagrajcież wy mu, dzwony,
Z tej białej wieży!
Niechaj idzie głos bijący
O jasne słońce,
Przez te pola, przez te lasy,
Z wiatrem szumiące . . .
Ale dzwony twarde serca,
Zimną pierś miały.
— Bedziem jemu dzwonić, matko,
Za talar biały.
I wróciła, narzekając,
Do pustej chaty,
I strząsnęła wszystkie kąty
I zgrzebne szmaty . . .
I nic więcej nie znalazła
Prócz onej świty,
Którą syna trup szerniały
Leżał zakryty.
— Nieszczęśliważ moja dola,
Jasieńku miły!
Chybaż tobie lzy te moje
Będą dzwoniły . . .
Chyba moje narzekanie
Bić będzie z rosą,
Kiedy ciebie na mogiłki
Z chaty wyniosą! —
I wynieśli za próg chaty
Trumienkę lichą,

A za synem poszła matka
Ścieżyną cichą...
I nie grały jemu dzwony
Z wysokiej wieży,
Jeno szumiał las zielony
I wietrzyk świeży...
Jeno dzwonki te liliowe,
Co w borze rosna,
Żeby dzwonić chłopskim trumnom
W drogę żalosną...

Marja Konopnicka.

76. Dwa szczury.

Czcic i kochać rodziców powinność jest święta,
Którą Bóg między pierwsze przykazania stawił,
A że ją zachowują nawet i zwierzęta,
To wam przykład następny najlepiej objawi.

* * *

Raz wybiegł młody szczurek za żerem z swej jamy,
A właśnie zastawiono śniadanie w altance,
I nie widząc z za okna, że go uważamy,
Wlaźł aż na stół, przyjrzał się sucharkom, śmietance,
Widocznie, że już sobie na nie ząbki suszył,
Ale wtem... zbiegł z stołu, niczego nie ruszył
I wrócił do swej jamy. Zdziwieni tym czynem
Poczekaliśmy chwilę i nagle ujrzeli
Zamiast jednego szczurka dwóch, bo ojca z synem,
Jak cicho w naszą stronę skradać się zaczęli.
Gdy już byli w altance i przy stole blisko,
Zobaczyliśmy bardzo dziwne widowisko:
Obaj w mordkach trzymali kawałek gałązki,
Bo stary szczur był ślepy, wiódł go zatem młody
A szanując synowskie święte obowiązki,
Przyprowadził do jadła i bronił od szkody.
Tak samo jak i przedtem wdrapał się do góry,
Stary za nim... dopieroż uczta wyśmienita,
My zaś w nich podziwiając święty głos natury,
Dozwoliliśmy obu najeść się do syta.

O tak! jeżeli nawet i nieme stworzenie
Kocha swych życiodawców, wdzięcznością im płaci,
W jakże nierównie wyższej ci winni być cenie
U tych, co są w naukę i rozum bogaci.

J. Mitkowski.

77. Wilk i koźlę.

Troskliwa o los dziecięcia,
Rzekła koza do koźlęcia:
„Wychodzę teraz na paszę,
Siedźże tu spokojnie wasze.
Póki nie wrócę do domu,
Nie otwieraj tu nikomu,
Chyba, że białą pokażę ci łapkę.”

Wilk, co od dawna na koźlę miał chrapkę,
Myśląc, że zręcznie uda mu się sztuka,
Ledwie matka odeszła do koźlęcia puka:

„Białą łapkę masz nieboże“?
Pyta koźlę „nie otworzę,
Bo mi matka zakazała...
Pokaż, czy twa łapka biała“?
„Masz szczęście“, wilk odpowiada,
„Biadaby ci była biada“!

Słuchajcie dzieci starszych napomnienia,
Bo więcej od was mają doświadczenia.

Jachowicz.

78. Dzbanuszek łez.

Była raz matka, co miała dziecię, a kochała
swoją jedynaczkę z całej duszy; zdawało się, że
bez niej ani żyć, ani istniećby nie mogła. Wtem
podobalo się Panu Bogu zesać śmiertelną choro-
bę, która zabierała dużo dzieci; przyszła kolej i na
dziecko tej matki; dziewczynka położyła się w łó-
żeczko i więcej nie wstała. Trzy dni i trzy noce
czuwała, płakała i modliła się biedna matka przy

chorej dziecinie; lecz darmo, Bóg ją wziął do swojej chwały.

Natenczas nieszczęśliwą matkę, samotną, jedną na całym świecie, zdjęła tak gwałtowna i nieopisana boleść, że nic nie jadła, nie piła, tylko wciąż płakała i płakała znowu trzy dni i trzy noce, ciągle łamiąc ręce i wzywając dziecka. Kiedy tak pograżona w smutku, na trzecią noc siedziała w tem miejscu, gdzie jej dziecko skonało, po cichu otworzyły się drzwi, coś zaszeleściło, i matka przestraszona padła na kolana, albowiem przed nią stała nieboszczka jej dziecina.

Był to sobie prześliczny aniołek, uśmiechający się słodko, cały w bieli, z promienistemi skrzydłkami. W rękę trzymał dzbanuszek pełny po sam wierzch. W te słowa przemówił aniołek:

— Kochana mammo! nie płacz już więcej za mną! Patrzaj! w tym dzbanuszku są łzy twoje, któreś napłakała po mojej śmierci; anioł smutku zebrał je tutaj co do jednej. Niechbyś tylko jedną łezkę więcej uroniła, natenczas dzbanuszek się przeleje i dla mnie nie będzie już spokoju w grobie, ani zbawienia w niebie. Dlatego nie płacz, mammo, dziecięcia, bo dziecko twoje szczęśliwe, bawi się z aniołkami!

To powiedziawszy zniknęło widziadło i matka odtąd ani jednej nie wypłakała łezki. Dla spokoju dziewczęcia w grobie, dla jego zbawienia w niebiesiech, ani jednej łzy nie uroniła, zwyciężając nieograniczony ból matczynego serca. O! taka to potęga miłości macierzyńskiej, że ze wszystkiego umie uczynić ofiarę!

79. Dobre dziecię.

Mamusia rzekła do dziecka:

— Jestem chora. Nie mogę wychodzić. Masz pieniądze. Przynieś sobie śniadanie.

Dziecko poszło i kupiło sobie śniadanie. Już wracało do domu, gdy spotkało ubogiego dziadka.

— Daj mi co chłopczyku! Od wczoraj nie jadłem.

Chłopczyk darował mu swoje śniadanie.

Nagle staje przed nim zamiast dziadka anioł i rzecze:

— Pan Bóg wynagradza cię przezemnie. Którę chorego się dotkniesz ręką, ten wyzdrowieje.

Dziecko pobiegło do domu, rzuciło się mamusi na szyję, uściskało ją serdecznie.

— Jak mi dobrze! — mówi mamusia — Jestem zupełnie zdrowa.

I wyzdrowiała. Chłopczyk został sławnym doktorem, który leczył i uzdrawiał bogatych i ubogich. Wszyscy go szanowali i kochali.

80. Snopki.

W pewnej wiosce było dwóch braci. Starszy miał liczną rodzinę, młodszemu umarła żona i dziecko. Bracia ci bardzo się kochali, razem pracowali i całym majątkiem dzielili się po połowie.

Razu jednego, po żniwach, kiedy już zboże stało w kopach, młodszy obudził się w nocy i myśli sobie:

— Mój Boże, jakże niesprawiedliwie dzielimy się z bratem! Brat ma tyle dzieci, żonę, potrzebuje wiele, żeby ich nakarmić i przyodziać; a ja sam jeden jestem, niewiele mi potrzeba — chętnie

oddalbym mu część tego, co posiadam. Ale znam brata, on nie zechce brać większego działu, pójdę więc sam w pole i dołożę mu do każdej kopy po parę snopków.

Nie namyślając się wstał i poszedł w pole.

* * *

Kiedy powrócił i usnął, obudził się starszy brat i rzekł do żony:

— Moja Magdziu, żal mi serce ściska, gdy myślę o bracie. Biedny on! sam jeden, jak palec, został na świecie: niema ani żony, ani dzieci. Kiedy my się cieszymy, on wychodzi z chaty smutny i zamyślony. Jakżebym chciał pocieszyć go czemkolwiek!... Wiesz, droga żono, jeżeli on nie może być tak szczęśliwy, jak my, niech będzie przynajmniej bogatszy od nas. Jeżeli się zgodzisz, pójdę i dołożę mu parę snopków do każdej kopy.

Pocziwa kobieta przystała na to chętnie.

* * *

Jakże się jednak zdziwili nazajutrz obaj bracia, kiedy spostrzegli, że kopy ich są równe.

Robili tak przez parę nocy, a widząc, że kopy zawsze są jednakowe, postanowili podpatrzyć i dopilnować, coby to było takiego.

Jednej jasnej nocy czuwali dość długo, każdy na swoim polu, a gdy nie doczekali się nikogo, wziął każdy po parę snopków i szedł na pole brata. W połowie drogi spotkali się.

— To ty, Jasiu! — zawołał jeden.

— To ty, Wojtku! — zawołał drugi.

I obydwaj bracia rzucili snopki na ziemię i uściskali się serdecznie, ze łzami w oczach.

81. Jakie mamy zwierzęta?

Od stajenki krówka ryczy,
Koza beczy niespokojna;
Tu owieczka biega dojna,
A koniczek wytknął głowę,
Bo usłyszał pana mowę.
Kwoka gdacze, w ziemi grzebie,
I kurczęta zwie do siebie;
Kogut pieje na pogodę.
Tam pies wybiegł przed zagrodę,
Niespokojnie głośno szczeka,
Bo obcego poczuł człeka.
Kot na słońcu się wygrzewa;
Po sadzawce kaczką pływa.
Z chaty bocian „kleku, kleku“,
Przymila się tobie, człeku.

82. Gniazdo rodzinne.

Nasza czarna jaskółeczka
Przyleciała do gniazdeczka
Przez daleki kraj.
Bo w tym gniazdku się rodziła,
Bo tu jest jej strzecha miła,
Bo tu jest jej raj!
A ty, czarna jaskółeczko,
Nosisz piórka na gniazdeczko,
Ścielesz dziatkom je!
Ścielże sobie, ściel niebogo,
Chłopcy pójdą swoją drogą,
Nie ruszą go, nie!

83. Jaskółka.

Grają żórawie, śnieg w górach taje;
Dołem spieniona brzmi rzeka!
Ściela się kwieciami pola i gaje
Ku gościom miłym z daleka.

Gwar skowronkowy częściej się wszczyna;
Nad stawem w zygzak, to w kółko
Pławi się gibko czarna ptaszyna,
Tyżeś to, sielska jaskółko?

Witajcie zdrowo, mile jaskółki!
Lećcie na wody pod słońce!
Jeszcze czekają wieszczej kukułki
Kosy i gile i dzwońce.

Bohdan Zaleski.

84 Jaskółka

Przyleciała jaskółeczka,
Szczebiocąc o wiośnie,
A dziewczątko ucieszone
Wita ją radośnie.
— Jak się miewasz gościu miły,
Niesiesz nam nadzieję,
Że już wkrótce od południa
Ciepły wiatr zawieje.
O ptaszyno! tve przybycie
Jest dla nas pociechą,
Ścielże sobie, ściel gniazdeczko
Pod słomianą strzechą.
Ucieszona z powitania
Mała jaskółeczka,
Wciąż szczebioce, wciąż się krząta
Okolo gniazdeczka.
Zbiera grudki czarnej ziemi,
Listki, piórka, włosy,
Lepi domek zgrabnie szybko,
Dzięki śląc w niebiosy.
Ot! i lata za żywnością,
A choć się utrudzi,
Szczęśliwą jest, gdy się znajdzie
W pośród dobrych ludzi.

Helena Bojarska.

85. Jaskółka.

Jaskółeczka do nas wraca
Z oddalonej drogi.
Śpiewem wita wioskę miłą,
Milej chaty progi.

Przez trzy morza, przez trzy góry,
Światem przeleciała,
Przecież drogie gniazdo swoje
Od razu poznała.

Jaskółeczka do nas leci
Z wesolą nowiną,
Już niedługo liczne kwiaty
Z pęków się rozwina.

Już niedługo brzoza biała
Gałązki rozchwieje,
A ten czarny, pusty ugór
Zbożem zarunieje.

Jaskółeczka w niebo leci
Wysoko, daleko,
Wie zawczasu, kiedy rzeki
Do morza pocieką.

Wie zawczasu, kiedy strumyk
Brzegi swe zakwieci,
Wypatruje złotą zorzę
Czy w okienku świeci.

Jaskółeczko, drogie ptasze,
Bądź nam powitana,
Budźże ze snu wioskę naszą
Piosenką od rana.

Marja Konopnicka.

86. Gołębie.

Gospodarzowi na szczupłej zagrodzie,
W domku przy starym dębie
Kuny wyjadły gołębie.
Chcąc zapobiec takiej szkodzie,

(Szkoda to bowiem nielada),
 Idzie do chłopu sąsiada,
 Kupuje gołębie młode,
 Niesie do siebie, daje im wodę,
 Każdego ziarnka po trochu:
 Gryki, pszenicy i grochu,
 Wsadza gołębnik wśród miłego gaju,
 Słowem, ptaszęta jak w raju.
 Lecz każdy powab przybyłcom niemily;
 Zawsze gruchały, tęskniły;
 Stokroć je wsadzał i stokroć odeszły.
 „Cóż się wam dzieje?“ — pyta pan zagrody, —
 „Nie macie dosyć i ziarna i wody?
 Nie lepszyż wasz byt dzisiejszy niż przeszły?
 Czyliż nie lepiej siedzieć w gołębniku,
 Niżli w dymniku?“
 „Ach, nie chcesz, panie, uważać w tem winy!“
 Odpowiedzą mu ptaszyny,
 „Dymnik to wprowadzie, ale dymnik miły,
 Bośmy się w nim urodziły“.

Juljan Ursyn Niemcewicz.

87. Koń.

W stajni mieszka,
 Nóżką grzebie
 Owies jada,
 A w potrzebie
 Nosi człowieka na grzbiecie,
 Co to za zwierzę?
 Zgadnij dziecię.

Zagadka nie trudna. Każde dziecko wie dobrze, że to o koniu mowa. Każde prawie konia lubi.

Dobre, pocziwe zwierzę! Ciągnie pługi, ciężkie wozy, nosi człowieka na grzbiecie. Myśliwemu na polowanie, żołnierzowi na wojnę towarzyszy.

Uczone konie różne sztuki umieją wykonywać, tańczyć, skakać przez obręcze, nawet poznawać godzinę na zegarku, i wybijać ją kopytem.

Coprawda te sztuki nie na wiele się przydadzą. Nawet po śmierci, koń jest użyteczny człowiekowi. Ze skóry szyją obuwie, włosiem końskim czy włosieniem wypychają materace, robią z niego smyczki i wędki. Są też kraje gdzie jedzą mięso końskie, a z mleka przyrządzają napój, zwany kumysem.

Ale cóż człowiek daje koniowi za to wszystko? Daje mu stajnię za mieszkanie. Zasiewa i sprząta dla niego owies, wykę, koniczynę, siano i różne inne rośliny.

Ale, czy to dosyć? O nie, to za mało. Ludzie powinni koniowi i innym zwierzętom zapewnić opiekę w starości i pomoc w chorobie, powinni nie przeciążać ich pracą i być dla nich dobrymi.

Zwierzęta skarżyć się nie mogą, ale tak samo jak my czują.

88. Konik.

Kary konik, kary,
Gwiazdkę ma na czole,
Jak mi się wypasie,
Pojadę na pole.

Kary konik, kary,
Pięknie osiodłany,
Pojadę ja na nim
Do mamy kochanej.

Pojadę na pole,
Pojadę na błonie,
A jak się rozhulam,
To wiatry przegonię.

Pojadę do mamy,
Do ojca pojadę,
A choć konik bryka,
Przecie dam mu radę.

89. Spotkali się.

W upalny dzień lipcowy szedł ulicą miejską ubogi i samotny człowiek. Wprawne oko mogło w nim poznać odrazu dawnego żołnierza.

Nie był on jeszcze bardzo stary, ale dziwne zmęczenie widniało w całej jego postaci. Trudy przebyte i niemałe cierpienia pooraly jego czoło zmarszczkami, twarz uczyniło zastyglą i obojętną. Plecy miał zgarbione, wytarte, choć czyste ubranie i chód bardzo powolny. Zdawało się, że człowiek ten nie ma już do kogo się śpieszyć, że jest samotny na świecie i opuszczony. Przesuwał się, jak cień, po ulicach, patrząc sennie przed siebie.

Wtem drgnął i stanął.

Wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili. Znikła nagle obojętność, zbudzone oczy zaczęły się wpatrywać z natężeniem w coś po drugiej stronie ulicy. Jakby niewidzialne światło rozjaśniło mu twarz i patrzył . . . patrzył . . .

Nie było tam jednak nic godnego uwagi. Po prostu stała obok chodnika jednokonna dorożka, której woźnica zszedł z kozła i, przyklękawszy koło budy, poprawiał coś przy resorach. Powozik był nieświeży, a koń, stary i chudy, zwiesił głowę i miał wyraz zmęczony, spracowany i smutny.

W tego to konia wpatrywał się tak stary żołnierz. Nagle przeszedł szybko ulicę, stanął obok niego i położył mu rękę na karku.

— Karuś! — rzekł z cicha głosem tak wzruszonym, że słyhać było ledwie szept.

— Karuś! — powtórzył głośniejszym głosem. — Tyżeś to? . . . tyżeś, mój stary? . . .

Głaskał, klepał, pieścił z czułością chudy kark i wyciągniętą szyję zwierzęcia. Mówił do niego. Zaglądał mu w oczy.

— Kochany stary! — szeptał mu do ucha — kochany koniku, pamiętasz. jak pracowaliśmy ra-

zem i znosili trudy wojenne? Jak śmierć zaglądała nam w oczy? ... Wówczas nie byłem sam jeden na świecie ... i miałem ciebie... przyjacielu... Karuś, pamiętasz ty mnie? pamiętasz? ...

W głosie człowieka była tkliwość niewymowna i gorące pragnienie, aby był poznanym. Koń drgnął pod dotknięciem ręki. Odzwyczał się widać od łagodnego obejścia, może myślał narazie, że dostanie batem. Po chwili, pod wpływem głosu i pieszczot żołnierza, na dźwięk swego imienia zaczął strzyc uszami, patrzył na przybysza. Wyraz inteligencji niezwykle odbił się w jego oczach.

Wtem podniósł głowę, spojrzał w górę i zarżał. Żołnierz zarzucił obie ręce na szyję konia, przytulił głowę do jego głowy i zaczął szlochać, jak dziecko.

* * *

Dorożkarz, usłyszawszy to niezwykle rzenie, wyszedł z za budy i spojrzał ze zdziwieniem na swego konia. Nie chciał uwierzyć, że to jego własny koń rżał tak rozgłośnie. Nie podejrzывał nigdy, nie wiedział wcale, że to stare, drzemiące zwierzę może wydać z piersi głos, tak przepojony uczuciem i szczęściem.

— Co to takiego? Kto pan jesteś? — spytał, podchodząc do nieznanomego sobie człowieka, który się tulił do konia.

Kilkoro dzieci zeszło się na chodniku i z ciekawością przyglądało się tej scenie.

— To mój koń, to mój dawny koń żołnierski — tłómaczył się biedak, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem. — Przepraszam pana, ja zaraz

odejdę. Ale... on był mi przyjacielem... zaraz... zaraz odejdę... — bąkał.

Woźnica miał widocznie dobre serce, bo rzekł przyjaźnie:

— Proszę pana, niech go pan głaszcze, bardzo proszę, to mnie nie przeszkadza.

A dzieci wołały w gromadce:

— Patrzcie, patrzcie, jak on podnosi uszy, jak obwąchuje swego dawnego pana. Ach, a teraz złapał go wargami za rękaw! a teraz tuli do niego głowę! . . .

Istotnie, koń, poznawszy już raz pana, nie posiadał się ze szczęścia i robił wszystko, co mógł, aby mu okazać swą miłość i pamięć.

Pieszcząc się ze zwierzęciem, stary żołnierz wypytywał dorożkarza, gdzie go kupił, gdzie mieszka, czy mu pozwoli przyjść czasem i popieścić się z przyjacielem. A gdy otrzymał zezwolenie, uściśnął obie ręce dorożkarza, dziękując mu serdecznie.

— O czym ja myślę! — zawołał po chwili. — Muszę go przecież poczęstować, starego druha. Poczekaj, koniku, zaraz wrócę.

Wyciągnął z kieszeni kilka monet, a po oczach jego widać było, że to suma dlań ogromna. Nie zawahał się jednak ani na chwilę.

— Wielka rzecz — szepnął — nie kupię sobie dziś obiadu. — I za cenę własnego posiłku przyniósł niebawem w torbie papierowej owsa dla towarzysza młodości.

Gdy biegł po owies, niktby w nim nie poznał zgwałconego i przybitego przechodnia. Twarz jaśniała mu pogodą, plecy wyprostowały się, nogi

biegły z młodzieńczą żywością. Dwadzieścia lat mu ubyło.

I niewiem, co się dalej stało. Straciłem z oczu obu przyjaciół i nie mogłem jakoś, pomimo starań, dowiedzieć się ich adresu. Ale mógłbym chyba przysiąc, że żołnierz codziennie odwiedzał swego konia-druha, że częstował go i żywił kosztowno niedojedzonych obiadów, od ust sobie odejmując, i że czuł się daleko mniej samotnym na świecie, że czuł się daleko szczęśliwszym.

Według „Małego Świata”.

90. Krówka.

Nasza krówka, chociaż mała,
Dziś dwa garnce mleka dała,
Będzie masło i śmietana
Danać moja, dana, dana.

Krówkę za to ja pogonię,
Hen na trawę, hen na błonie,
Pognam na rosę od rana,
Oj danaż moja, oj dana.

Napije się wody w zdroju,
Odpocznie sobie w spokoju,
Potem znów pójdzie na paszę,
Na to błonie na to nasze.

91. Głosy zwierząt.

Kiedy kur zapieje
W najgłębszym zaraniu,
Choć zaledwie dnieje,
Myślę o wstawaniu;

Kiedy pies zaszczeka,
Myślę sobie wtedy,
Jakto stróż człowieka
Broni go od biedy;

Gdy beknie owieczka,
Zaraz w myśli stanie,
Że te zwierzęteczka
Dają nam ubranie.

Gdy zarzy wierzchowiec,
Ja myślą na koniu
Przez step i manowiec
Harcuję po błoniu.

I tak każde zwierzę,	Czyliż w złości swojej
Dla nas wciąż się trudi:	Człek ma pamięć tracić,
I cóż w zamian bierze?	Czyliż mu przystoi
Niewdzięczność złych ludzi.	Złem za dobre placić?

L. Niemojowski.

92. Bociany.

Od sinego morza bociany leciały, do naszej chateczki drogi nie wiedziały . . . A nad sinem morzem jasna zorza stała, tym białym bocianom drogę pokazała.

A moje bociany, wędrowniki Boże, lećcież, gdzie się błyszczą pługi na ugorze . . . Gdzie na każdej miedzy polne grusze stoją, gdzie się po pasiekach pszczelne ule roją.

Lećcież, gdzie się rzeki, jak srebro, wiją, gdzie żóraw po łące chodzi z długą szyją . . . Gdzie te lasów smugi czernią się pod niebem, gdzie len modro kwitnie, ziemia pachnie chlebem.

A moje bociany, wy białe pielgrzymy! lećcież, gdzie się ścielą jałowcowe dymy. Lećcież, gdzie się złoci ta słomiana strzecha, gdzie słyhać po błoni tęsknej pieśni echa . . . Gdzie skowronek dzwoni w kwietniową pogodę, gdzie białem wia-derkiem Kasia czerpie wodę! . . .

A moje bociany, wy Boże pątniki, lećcież tam, gdzie grają echowe muzyki.

Ni to dzwonów bicia, ni organów głosy, tylko szumy gajów pod perlami rosy . . .

Lećcież, gdzie najmilej, gdzie najjaśniej w świecie, tam pewnie tę drogą chateczkę znajdziecie.

Marja Konopnicka.

93. O bocianie.

I.

Jak wiadomo wszystkim, i Litwini wyznawali dawniej religję bałwochwalską, to jest: wierzyli w różnych bożków. Opowiadają więc Litwini po dziś dzień takie o bocianie podanie.

Kiedy największy bożek stworzył świat i potem mu się przypatrywał, spostrzegł omyłkę, że niepotrzebnie umieścił wiele szkodliwych gadów: zebrał je więc we worek, związał mocno i dał jednemu człowiekowi, ażeby zatopił w blizkiem jeziorze. Ale człowiek ten był ciekawy: otworzył worek, i gady się rozbiegły. Wrócił winowajca do bożka i opowiedział co się stało. Bożek właśnie stał wtenczas przy ogniu; rozgniewany, uderzył ciekawego człowieka dłonią w plecy i zamienił w bociana.

Odtąd bocian nosi czarne plamy na piórach od tej dłoni i zbiera gady, które rozpuścił.

II.

Inne znowu jest cygańskie podanie o tym ptaku. Kiedy Noe uchodził do arki przed potopem, wtedy był żal wielki, bo wszystkie zwierzęta wchodząc do arki płakały, że muszą opuścić swoje strony, których już nigdy nie zobaczą . . .

Tylko jeden bocian wszedł do arki wesoło; miał żabę w dziobie i nie żałował stron rodzinnych; nie myślał, dokąd go fale zanoszą. Pan Bóg go skazał za to i nie dał mu ojczyzny, na wieczną tęsknotę skazując, — bo gdy bocian jest w ciepłych krajach, to tęskni za naszymi stronami, za gniazdem swoim, a gdy tu przyleci, to znowu tęskni za tamtą krainą.

94. Miłość macierzyńska u bocianów.

Straszny pożar wybuchł raz we wsi. Już spłonęło mnóstwo domów. O ratunku nie można było myśleć, bo od chat słomą krytych niepodobna było powstrzymać płomieni. Nieszczęśliwi wieśniacy chwyтали tylko dzieci i uciekali w pole.

Wkrótce ogień dostał się do stodoły, na której bocian miał gniazdo, a w gnieździe — pisklęta ... Biedny ptak chciał koniecznie ratować swe dzieci. Brał je w dziób, próbował wzlecieć z nimi i przenieść je na inne miejsce, lecz daremnie — małe za ciężkie były na jego siły!

Tymczasem płomienie zaczęły ogarniać szybko cały dach. W końcu zajęło się i gniazdo ... Cóż robi bocian? Rzuca się na gniazdo, zakrywa je skrzydłami i ginie razem z dziećmi w płomieniach.

Tak to nawet zwierzęta kochają swoje dzieci!

95. Bocian.

Okazały ten ptak, upierzony biało, z wyjątkiem skrzydeł czarnych, należy do brodzących. Głos, czyli tak zwane klekotanie, wydaje za pomocą uderzania szczęk jednej o drugą. Lot jego jest piękny: zdaje się płynąć w powietrzu, wyciągając głowę przed siebie, a nogi w tył. Dziób ma długi, prosty, czerwony, nogi wysokie, czerwone, palce u nasady spięte błoną, ogon krótki, wachlarzowaty.

Bocian zakłada gniazdo na wierzchołkach drzew lub na szczytach dachów i wyściela je chróstem. Jest to ptak przelotny; za nadejściem dżdżystej i chłodnej jesieni odlatuje na południe, do gorących krain północnej Afryki i zachodniej Azji. Na

wiosnę wraca nietylko w okolice rodzinne, ale nawet do tego samego gniazda. Gdy pod jesień ptaki te mają opuszczać swe siedziby, gromadzą się setkami na polu i tu, klekocąc, niby się naradzają, niby wielkie odbywają sejmy; często zdarza się, że wtedy z pośród siebie zabijają kilka bocianów, uważając, iż są zbyt słabe do odbycia dalekiej podróży.

Powrót bocianów zwiastuje wiosnę i daje hasło do robót w polu, bo z ukazaniem się tego ptaka lud łączy wróżbę rychłego ciepła i pogody.

Bociany okazują sobie wzajem wielkie przywiązanie. Gdy samica wysiaduje jaja, samiec z największą troskliwością znosi jej pożywienie. Pisklęta doznają także rodzicielskiej pieczołowitości, zwłaszcza, gdy się wprawiają do lotu. Bociany gnieźdzą się zwykle w bliskości miejsc bagnistych, ponieważ polują na płazy, ryby, owady, myszy i krety. Podczas lata ptak ten niemałe okolicy oddaje przysługi, tępiąc szkodliwe zwierzęta — ale jest też szkodnikiem, gdyż zjada dużo piskląt i młodych zajęczków.

Człowiek lubi bociana, zachęca go do osiedlania się w sąsiedztwie swoim; przygotowuje mu na szczytach drzew lub dachów miejsce na gniazdo, kładąc starą bronę lub koło od wozu. Przyjaźń ludzi do bociana stąd pewnie pochodzi, że powrót bociana zwiastuje wiosnę.



ROZDZIAŁ III.

Wieś i miasto: mieszkańcy i ich zajęcia.

96. Nasza wioska.

Nasza wioska taka śliczna,
Że piękniejszej niema w świecie!
Każdy kącik nam tu znany,
Każda chatka, każde dziecko.

Na pagórku dworek stoi,
Srebrna rzeka płynie w dole,
A za dworkiem sad zielony,
I przed dworkiem dwie topole.

Pod wrotami w swojej budzie
Siedzi Burek, stróż domowy,
A w stajence rzą koniki,
I w oborze stoją krowy.

Na dziedzińcu ptactwo chodzi:
Kaczki, kury i kurczęta,
Dwa koguty i pan indyk,
Sztuka dumna i nadęta.

U stóp dworku, wśród doliny,
Jak na dłoni wioska leży,
Z poza drzewin krzyż połyska
Na kościółku starej wieży.

Co niedziela, kiedy rankiem
Na modlitwę dzwonek woła
Jedziem parą dziarskich siwków
Z rodzicami do kościoła.

Bór sosnowy duma w dali
Jak staruszek siwobrody,
Tam chodzimy z naszą mamą
Na orzechy, na jagody.

W łąkach rosną barwne kwiaty,
Chabry, maki i sasanki.
Hej! zrywajmy je, zrywajmy
Na bukiety, na równianki.

A gdy przyjdzie letnią porą
Dożynkowy czas wesoły,
Żytem, owsem i pszenica
Napelniają się stodoły.

W naszej wiosce dni nam błogo
Pod opieką płyną Boską.
Ach! kochamy cię serdecznie
Ty rodzinna nasza wiosko!

M. Konopnicka

97. Wieś rodzinna.

Wieś rodzinna jest najmilszą, bo w niej najpierw ujrzeliśmy świat; w niej pierwszy raz widzieliśmy kwitnące drzewa, zielone łąki, płynącą wodę, wesołe zwierzęta, jasne słońce i pogodne niebo.

We wsi rodzinnej znamy każde drzewo, krzewinę i każdą miedzę na roli. Nieraz staliśmy i bawiliśmy się nad strugą, pluskaliśmy się w wodzie, która wciąż płynie, i płynie, przypatrywaliśmy się rybkom w niej migającym i żabkom skaczącym po trawie nad brzegiem.

W wiosce rodzinnej codzień latem patrzymy, jak pod wieczór owce z pola wracają, a owczarek im przygrywa; jak najedzone bydło ciągnie z pastwiska do domu; jak rolnicy śpieszą po pracy do zagród; jak żniwiarze w sierpy dzwonią i wesoło wyśpiewują; jak

słońce spuszcza się z góry za wieś i za lasy; jak zorza pięknie płonie, jakby na niebie ogień się palił, chrząszcze brzęczą, komary latają, a słowik w ogródku śle głosy pod niebiosą.

Wszystko we wsi rodzinnej jest miłe, bo dobrze mi znajome, bo swoje. — Miły mi kościół rodzinny, w którym rodzice moi, wszyscy znajomi i ja sam modlimy się tak często; miły mi domek rodzinny, w którym pierwsze pobieram nauki; miły mi dźwięczny dzwonek, zwołujący ludzi do pracy i do modlitwy; miłe mi te sady zielone, ustrojone na wiosnę kwiatem prześlicznym; miłe te łąki, te pola rodzinne, na których lud nasz w znoju pracuje; miła mi nasza jaskółka przy domu, co z każdą wiosną powraca, gniazdko naprawia, szczebiocze i ugania się za muszkami w powietrzu.

Tak, tu mi wszystko drogie, bo to rodzinne, bo to znam i kocham od dzieciństwa.

To też i siwemu staruszkowi najmilej w wiosce rodzinnej; tu, a nie gdzieindziej pragnie oczy zamknąć i kości w grobie złożyć, bo tu także spoczywają prochy ojca, dziada i pradziada jego.

98. Pożegnanie wioski.

Żegnam cię, wsi ulubiona,
I was, gaje, łąki i niwy;
Ludzie, wśród waszego grona
O! jakże byłem szczęśliwy!
Tu mi moje dni płynęły,
Jak ciche wody potoku;
Już one wiecznie minęły,
Czas swego nie cofnie kroku:
Jak ta rzeczka z biegiem swoim,
Tak wszystko przejdzie, przeminie!
Jedna tylko w sercu mojem
Pamięć twoja nie zaginie.

99. Powrót do rodzinnej chaty.

Oj! chato rodzinna,	Ciebiem ja porzucił,
Tyś moja matula,	Ciebie ma jedyna,
Do ciebie jam tęsknił,	Tyś jednak przyjęła
Jak pszczołka do ula!	Niewdzięcznego syna.

Już cię nie opuszczę,
Bo pod ojców strzechą,
Serce bije rażniej,
Tyś moją pociechą!

100. Co dzieci widziały w drodze?

Jadą, jadą dzieci drogą...	Tu się kryje biała chata
Siostrzyczka i brat,	Pod słomiany dach,
I nadziwić się nie mogą,	Przy niej wierzbą rosochata
Jaki piękny świat!	A w konopiach... strach.

Od łąk mokrych bocian leci,

Żabkę w dziobie ma...

— Bociuś! bociuś! — krzyczą dzieci,

A on: kła!.. kła!.. kła!..

Tam zagania owce siwe,	Idą żeńcy, niosą kłosy,
Brysio, kundys zły...	Fujareczka gra,
Konik wstrząsa bujną grzywę	A pastuszek mały, bosy,
I do stajni rzy...	Chudą krówkę gna.

Młyn na rzece huczy z dala,

Białe ciągną mgły,

A tam w kuźni od kowala,

Lecą złote skry.

W polu, w sędzie brzmi piosenka,	Jadą wioską, jadą drogą,
Wskroś srebrzystych ros,	Siostrzyczka i brat,
Siwy dziad pod krzyżem klęka,	I nadziwić się nie mogą.
Pacierz mówi w głos...	Jaki piękny świat.

Marja Konopnicka.

101. Pory roku.

Wiosna, wiosna! śliczne czasy!	Lato! lato w nim upały!
Zielenią się gęste lasy,	Kwiatki główki pospuszczały
Kwiateczek się ze snu budzi,	I róża się pochyliła,
Słychać śpiewy ptasząt, ludzi.	Ale Pan Bóg deszczyk zsyła.

J e s i e ń.

Ciepłe lato uleciało, Wszystko się przy zbiorach krząta
Owoc wszędzie się rumieni; Wóz za wozem jedzie w pole,
To co w lecie nie dojrzało Resztki zboża rolnik sprząta
Wyda jeszcze plon w jesieni. I znów ziarno rzuca w rolę.
Zima, zima! ciężkie czasy!
Okryły się śniegiem lasy,
W białem futrze ziemia chodzi,
Już jej zimno nie zaszkodzi.

102. Pory roku na wsi i w mieście.

Wiosna na wsi. Słońce przygrzewa. Śnieg topnieje. Woda już płynie swobodnie. Niema już lodu. Trawka zielenieje. Znajdujemy fiołki i inne kwiatki. Przylatują jaskółki i bociany. Skowronek śpiewa wesoło. Wypędzamy bydło na pastwisko. W polu orzą i bronują, sieją i sadzą. W ogrodzie kopią, sieją, grabią i sadzą. Wiśnia, jabłoń i grusza kwitną.

Wiosna w mieście. Już cieplej na dworze. Dzieci wybiegają na podwórko i na ulicę. Nie potrzebują już ciepłego ubrania. W ogrodzie miejskim spaceruje i bawi się dużo dzieci. Jak tam ładnie! Kasztany i inne drzewa już mają liście. Ścieżki i drogi wygracowane. Trawniki zielone. Kwitną kwiatki. — Dużo dzieci sprzedaje kwiatki na ulicy. Straganiarka sprzedaje rzodkiewki i salate.

Lato na wsi. Koszą trawę. Zwożą siano. — Żółkły już zboża. Żniwo się zaczyna. Żną żyto i pszenicę. Sprzątają i zwożą zboża. Mamy już wiśnie. Zrywamy też śliwki. Jabłka i gruszki dojrzewają. Dzieci pomagają rodzicom w polu, na łące i w domu.

Lato w mieście. Gorąco i duszno. Pada niekiedy deszcz. Wtedy chłodniej. Czasem za dużo deszczu. Musimy pozostać w domu. To bardzo smu-

tnie. W ogrodzie tak wesoło. Mamy tam różne gry i zabawy. Wyjeżdżamy niekiedy za miasto. Dużo dzieci wyjechało z rodzicami na wieś. Jakie one szczęśliwe. Dobrzy ludzie wysyłają ubogie dzieci na wieś. Nie mogą jednak wysłać wszystkich. Dużo dzieci zostaje w mieście i bawi się jak może. Są dzieci bardzo biedne. Nie mogą się bawić, bo muszą pracować. Niektóre dzieci nie mogą iść do ogrodu, bo nie mają dobrego ubrania, albo też nie mają z kim chodzić. Bawią się więc na podwórku. Bywa tam bardzo wesoło, choć ciasno i brudno.

Jesień na wsi. Sprzątają i zwożą owies. Dzieci zbierają grzyby w lesie. Zrywają i zbierają gruszki i jabłka w sadzie. Kopią kartofle i buraki. Orzą i sieją. Liście żółkną i opadają. Bociany i jaskółki opuszczają nas. Mało już kwiatków. Często są deszcze i wichury. Dzieci zaczynają chodzić do szkoły.

Jesień w mieście. Letnicy wracają. Zaczynają się lekcje w szkołach. Jeszcze bywają dni pogodne. Jeszcze chodzimy do ogrodu lub bawimy się nad podwórku. Ale już coraz to chłodniej. Coraz to więcej trzeba przesiadywać w mieszkaniu. W ogrodzie już opadły liście. Smutno.

Zima na wsi. Śnieg pada. Wody pokrywają się lodem. Dzieci chodzą pilnie do szkoły. Ślizgają się, jeżdżą saneczkami lub lepią bałwana ze śniegu. W stodole młócą. Bydło pozostaje w oborze. Trzeba je paść. Bartek jeździ często z ojcem do lasu po drzewo.

Zima w mieście. Mamy mróz lub snotę. Chodzimy do ogrodu tylko na ślizgawkę. Miła to zabawa! Są ślizgawki i w innych miejscach. Rzadko jednak gdzie jest ślizgawka bez opłaty. A nie wszyst-

kie dzieci mogą płacić za zabawę. Rzadko bawimy się na podwórku. Dużo młodszych dzieci pozostaje prawie przez całą zimę w mieszkaniu. Dużo dzieci starszych mimo zimna musi zarabiać. Biegają z gazetami, chodzą z posyłkami, sprzedają drobiazgi, jako to: zapalki, obsadki, zabawki. W wielu mieszkaniach bardzo zimno, bo węgiel drogi, a zimą trudno o zarobek. Wielu ludzi głód cierpi, bo nie ma za co kupić kawałka chleba.

Wiosna, lato, jesień, zima nazywają się porami roku.

Rok ma 12 miesięcy. Miesiące te nazywają się: styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad i grudzień.

103. Jesień na wsi.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.
Na polu omglonem, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza w okolo, a gąsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty . . .
Po drodze — to wózek podróży zadudni
To bydlę się przemknie u rowu;
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.
Brat w małym ogródku motyką wciąż kopie.
Dziadulo jak struże, tak struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie.
A klekot odbija podwórze.
Mnie wszystko to cieszy, co swojskie, co nasze —
I ludzie mi drodzy i mili;
I nie wiem, co miłsze nad ludzkie poddasze?
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?

I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?

Co czystsze nad wodę przeczystą?

Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?

Co droższe nad ziemię ojczystą? *Teofil Lenartowicz*

104. W zimie.

1. Julek siedział w ciepłym pokoju przy oknie i spoglądał na ulicę, pokrytą warstwą śniegu. Wtem zbliżył się do okna Kazio i powiedział: chodź pójdziemy ślizgać się na stawie. Julek włożył na ręce ciepłe rękawiczki, na głowę czapkę barankową, wziął łyżwy i udał się na ślizgawkę. Śnieg padał, drzewa lśniły się od szronu, zgłodniałe wróble i wrony szukały na ulicy pożywienia.

Kiedy tak spoglądali ciekawie na ptaki, o mało nie przejechały ich ślicznie zaprzężone sanki. Obłok pary unosił się nad dzielnymi końmi, a szron pokrywał ich głowy, uszy i całe ciało.

2. Wkrótce chłopcy stanęli nad wielkim stawem, na którym ślizgało się już wiele osób. Założyli natychmiast łyżwy i zniknęli w tłumie. Jakież tu był zgiełk, jakie życie! Jedni ślizgali się, trzymając się za ręce, drudzy pojedynczo, a najzręczniejsi zataczali w biegu koła. Niektórzy upadali na lód, ale czempredziej się podnosili i śmiejąc się dalej się ślizgali.

Pod wieczór znów śnieg zaczął padać, a niebawem cała ślizgawka pokryła się śniegiem. Nabawiwszy się do woli, Julek z Kaziem powrócili do domu weseli i zadowoleni.

105. Podział pracy.

I.

Ludzie na świecie żyją z sobą, porozumiewają się, rozdzielają między siebie pracę i pomagają sobie wzajemnie.

Człowiek nie dałby sobie rady, gdyby musiał sam żyć: dopiero wtedy mu dobrze, gdy żyje z innymi ludźmi, razem z nimi tworzy jakby jedną rodzinę. Jeden człowiek nie byłby dziś w stanie zbudować sobie domu, sporządzić sprzętów, uszyć sukni, obuwia, uprawić roli, uczyć dzieci. Zanimby się dobrze tego nauczył, zestarzałby się i nie doszedł do końca. To też ludzie zajmują się wyłącznie jedną robotą. Szewc np. sporządza buty dla piekarza, rzeźnika, stolarza, krawca i innych, a od nich bierze chleb, mięso, sprzęty i inne przedmioty których mu potrzeba. Zamiast dawać i brać to wszystko z ręki do ręki, czyli zamieniać, używa pieniędzy, za które można różne przedmioty sprzedawać i kupować. Szewc nie idzie z butami do rzeźnika, lub piekarza, aby od nich dostać chleba i mięsa, lecz sprzedaje buty za pieniądze, za które dopiero kupuje chleb i mięso.

II.

Rolnicy, kupcy, rzemieślnicy i t. d. pracują, aby każdy z nich i wszyscy mieli to, co im do życia potrzebne. Rolnik umie uprawiać ziemię, nie potrzebuje zajmować się rzemiosłem; szewc szyje buty, nie potrzebuje więc uczyć się stolarstwa, piekarstwa i t. p.

Ludzie, połączeni we wspólnej pracy, dostarczają sobie więcej i lepszych środków do życia, niż gdyby każdy pracował dla siebie. Wszyscy też powinni pracować. Próżniak, który używa owoców pracy innych, a sam nic za to nie daje, lub daje mniej, niż otrzymuje, jest złym członkiem społeczeństwa, jest ciężarem dla tych, którzy pracują.

16. Piosenka rolnika.

Chłopiek ci ja chłopiek, wesół w polu orzę,
Wszystko mi się dobrze dzieje, chwala Tobie Boże!

Mam parę koników, cztery wołki w plugu
I domeczek malusienki bez żadnego długu.
Z pracy nie choruję, lenistwem się brzydzę,
Żadnej się roboty, żadnej nie powstydzę.
Rozlega się w polu śpiewanie oraczy:
Co niema, to niema bez pracy kołaczy.

107. Rzemiosła.

Każdy człowiek, co pracuje,
Skarbi sobie łaskę Bożą;
Więc niech kowal w kuźni kuje,
Niech rolnicy w polu orzą,
Niechaj stolarz stoły robi,
Krawiec szyje sukieneczki.
Niech szewc buty przysposobi,
Bednarz niech pobija beczki;
Niechaj mularz domy stawia,
Ślusarz robi zamki, kłódki!
Pan Bóg im pobłogosławi
I odpędzi wszystkie smutki;
Bo kto tylko robi szczerze,
Tego Bóg w opiekę bierze.

108. Uczciwy stolarz.

Bogaty pan dał do odnowienia stolarzowi stare biurko (stolik z szufladkami). W biurku tem była skrytka, o której nikt nie wiedział.

Stolarz, rozbierając całe biurko, odkrył wypadkiem skrytkę. Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył w niej różne papiery i pieniądze w złocie.

Natychmiast zebrał to wszystko i odniósł swemu panu. Ten, widząc, że stolarz ów jest bardzo ubogi, chciał wynagrodzić go pieniędzmi za uczciwość.

Stolarz pieniędzy nie przyjął. Chcąc przyjść mu z pomocą, pan postanowił polecać go wszystkim swoim znajomym.

Odtąd stolarz miał wiele roboty, a że był pracowity, sumienny i uczciwy, powoli wyszedł z biedy.

109. Warsztat szewski.

Przyjrzyj się, jak szewc robi buty. — Z czego szewc robi buty? — Nietylko ze skóry: do zrobienia buta potrzebne jest także żelazo, drzewo, konopie, szczecina, słoma, czernidło. Do czego te wszystkie materiały są potrzebne? — Prócz butów szewc umie robić: trzewiki, kamasze, pantofle. — Jakie znasz narzędzia szewskie? Czy szewc jest pożytecznym rzemieślnikiem? A stolarz? kowal? krawiec? Wszyscy rzemieślnicy są bardzo pożytecznymi ludźmi.

110. Pieśń kominiarza.

Choć-em brzydki, choć-em czarny,
Alem chłopak grzeczny,
Nie dbam wcale o wdzięk marny,
Dość, żem pożyteczny.

Coby to na świecie było,
Gdyby nas nie stało?
Dla tej myśli wszystko miło,
Ruszam w komin śmiało.

Zawsze mnie ta myśl ożywia:
Świat ma korzyść ze mnie.
Jak to serce uszczęśliwia,
Jakże to przyjemnie!

Nie gardźcie mną lube dziatki,
Że ubiór nieładny,
Nie straszcie mną dobre matki,
To zwyczaj szkaradny.

Za cóż ja wam tak nie miły?
Za cóż tak obrzydłem?
Kogo zbrodnie oszpeciły,
Ten tylko straszylem.

Kto pracuje w czoła pocie,
Zawsze godzien chwały:
Cała wartość człeka w cnocie,
W pracy zaszczyt cały.

111. Wierszyk o młynie.

Tam na gorze dębina,	Młyn się kręci i miele;
Przy dębinie dolina,	Mąki, kaszy da wiele.
Przy dolinie staweczek,	A z tej mąki bielutkiej
Przy staweczku młyneczek;	Będzie chlebek pulchniutki;
Szumi woda i płynie,	A za chleb ten, mój Boże!
Kręcąc koła przy młynie.	Sercem dzięki Ci złożę.

112. Batożki Kościuszki.

Dziwną miał Kościuszko słodycz w obejściu, uczynność dla każdego i miłosierdzie wielkie. — Przy jednej małej uliczce w Warszawie żył rymarz bardzo biedny, a miał sporo dzieci i chorą żonę. Żle mu było na świecie, bo nie mógł tyle zarobić, żeby starczyło na chleb i lekarstwa. Rozpacz go wzięła grzeszna i szedł ku Wiśle, żeby się utopić. Aliści na drodze spotyka Kościuszkę z oficerami. Spojrzał na Naczelnika w krakowskiej sukmanie i minęła go rozpacz, i otucha weszła mu do serca. Taką to twarz spokojną, pogodną, a przyjacielską miał Kościuszko, że kto nań spojrzał, to tak, jakby po deszczu promień słońca ujrzał!

Rymarz z uciechą wpatrywał się w Naczelnika. Spostrzegł go Kościuszko, przystąpił do rymarza i zaczął przyjacielsko z nim rozmawiać. Biedak opowiedział o swem nieszczęściu, przyznał się, że już szedł się topić. Kościuszko, zdjęty litością, dał mu dwa talary i kazał za to narobić biczyków na konie.

Po upływie kilka dni zabrał Naczelnik z sobą wielu oficerów i pojechali obejrzeć szanice. Po drodze Naczelnik skręcił na ową uliczkę ku rymarzowi, zatrzy-

mał się przed domem, a rymarz wyniósł biczyki. — Kościuszko obejrzał, pochwalił, kupił jeden i rzekł do oficerów: Bardzo dobry biczyk; warto abyście sobie kupili. Oficerowie w lot rozchwycili biczyki, płacąc dobrze. Gdy dowiedziano się w Warszawie o owym rymarzu, zaraz wszyscy kupować zaczęli na wyścigi owe biczyki.

Wkrótce rymarz tak się zбогаcił, że kupił sobie domek i dzieci wyposażył.

113. Przy pracy.

W ulicy pokazał się tłum ludzi, a wśród nich dwóch mężczyzn, dźwigających nosze. Na noszach leżał człowiek, wyciągnięty jak trup, z głową zwieszoną na ramię, z zakrwawionymi włosami. Przy noszach szła kobieta z dzieckiem na ręku. Wyglądała ona jak obłąkana, i od czasu do czasu wołała:

— Nie żyje, nie żyje, nie żyje!

Za kobietą biegł mały chłopczyzna i głośno płakał.

— Co się stało? — pytano wkoło.

— To mularz spadł z czwartego piętra przy budowie domu — objaśnił ktoś.

Ludzie, idący z noszami, stanęli. Wiele osób odwracało oczy, nie mogąc znieść strasznego widoku.

Tłum poruszył się znowu, znowu nosze dźwignięto, a nieszczęśliwa kobieta wołała rozdzierającym głosem:

— Umarł, nie żyje!

— Ale żyje, żyje! nie umarł! Nie, — mówili ludzie, pocieszając ją.

Jakiś przechodzień zdjął czapkę przed noszami i zawołał:

— Odkrycie głowy! cześć robotnikowi ranionemu przy pracy!

Wszystkie głowy się odkryły.

Tłum oddalił się, widać było tylko na ulicy długą, krwawą smugę.

114. Glina.

I. Kopiać ziemię, znajdujemy w niej najczęściej piasek, kamienie i glinę.

Glina, jest to kopalina, złożona z drobnego pyłu barwy zwykle jasno-brunatnej, bywa jednak także glina jasno-żółta, czerwona, niebieska, zielonawa, szara, czyli siwa i biała.

Wysuszona glina jest twarda i krucha. Gdy ją rozrobimy z wodą, staje się miękką, lepką i, jak ciasto, spoistą. Posiada także właściwy sobie zapach. W ogniu wypala się na twardy kamień, zachowuje przytem tę postać, jaką miała przed wypaleniem. Prócz tego glina ma własność łatwego nasiąkania wodą, tłuszczami i innemi płynami. Niektóre gatunki gliny z trudnością topią się w ogniu, stanowiąc glinę ogniotrwałą. Od gatunku gliny zależy jej użytek. Używamy jej też:

- 1) W sukiennictwie do oczyszczania sukna od tłuszczów, oraz do wywabiania plam suchych. —
- 2) W strycharstwie do wyrobu cegieł zwyczajnych i ogniotrwałych.
- 3) W garncarstwie prostem na garnki, dzbanki, miski i t. p.
- 4) Na wyroby fajansowe i porcelanowe.
- 5) Na lepienie modeli rzeźbiarskich i figury.
- 6) Do wyrabiania glinianych fajeczek i zabawek dzieciennych, kafli do pieców i t. p.
- 7) Do wylepiania ścian, chat, robienia polewy.
- 8) Do bielenia i malowania domów.
- 9) Na kredki barwne.
- 10) Dodawszy do tego, że glina, pomieszana z piaskiem i trochę wapna z dodatkiem przegniłych cząstek roślinnych lub zwierzęcych, stanowi wyborną ziemię urodzajną, widzimy, jak ta niepozorna kopalina jest dla człowieka pożyteczna.

II. Jak się z gliny robią cegły.

Cegły są niejako sztucznymi, przez człowieka zrobionymi kamieniami. Wyrabiamy je z gliny, najczęściej brunatnej, lepkiej, ciastowatej. W tym celu glina rozrabia się najpierw dobrze z wodą, a potem nakłada się w formy drewniane, mające postać czworokątnych pudełek bez dna i pokrywy. Ostateczny kształt nadaje się cegle zapomocą deseczki, zwanej strychulcem. Po wyjęciu z formy, cegły suszą się najpierw na wietrze w dużych, z boku otwartych szopach, a potem wypalają się w osobnych piecach. Podczas wypalania, cegła nabiera barwy czerwonej i staje się twardą, jak kamień. Fabryki, w których wyrabia się cegły, zwiemy cegielniami; robotników, przygotowujących cegły — strycharzami. Jeden strycharz może zrobić dziennie około 500 cegieł. Praca jego jest bardzo ciężka i przykra, cały dzień bowiem musi on moknąć w wodzie i dotykać się wilgotnej gliny.

III. Dzieje garnków.

Dawne to już czasy, gdy ludzie mieszkali w jaskiniach podziemnych lub namiotach, zrobionych ze skóry zwierząt. Jak pierwotnem było ich mieszkanie, tak też prostem musiało być całe jego wewnętrzne urządzenie.

Spał człowiek na ziemi, na stosie suchej trawy lub liści; jadł, siedząc na gołej ziemi. Pokarmy spożywał z początku surowe, a potem gotowane na kamieniach, mocno rozgrzanych, lub pieczone w po-piele.

Do noszenia wody służyły mu kobiałki, robione z kory drzew, lub koszyki, plecione z gałązek i włókien roślinnych.

Nie musiały one być zbyt dogodne, gdyż z pewnością znaczna część wody wylewała się przez ich szczeliny. To też z czasem przyszło komuś do głowy, żeby oblepić koszyk z zewnątrz gliną — i odtąd takie koszyki do noszenia wody, oblepione gliną, weszły w powszechne użycie. Trwało to prawdopodobnie długo, może całe wieki. Aż raz przytrafiło się nieszczęście: wiatr napędził na namiot snop iskier, zajęły się suche gałęzie, i namiot ze wszystkim, co w nim było, stał się pastwą płomieni.

Po wygaśnięciu ognia, pozbawiona schronienia rodzina przyszła zobaczyć wśród popiołów, czy ogień nie oszczędził czego. Nie było nic prawie! Z koszyków i kobiałek plecionych pozostały tylko te gliniane powłoki, któremi były oblepione. Oglądając te pozostałe czerepy gliniane, ktoś zauważył ze zdumieniem, iż zachowały one postać tego naczynia plecionego, które pokrywały . . . I co jeszcze: glina ta stała się teraz twardą, dźwięczną za uderzeniem, nabrała żywej, czerwonej barwy! Co za dziwo! Toż ta wypalona skorupa gliniana stała się doskonałym naczyniem, stokroć lepszym, niż owe drewniane plecionki!

Uradowani pogorzelnicy niosą skorupę do rzeki, napełniają wodą i wracają z zadowoleniem, pokazując sąsiadom, że woda z niej nie wycieka.

Nowe naczynie gliniane było oczywiście rodzajem miski czy garnka. W takich garnkach można było nie tylko nosić wodę, ale nawet gotować ją przy ogniu, wrzuciwszy w nią kawał mięsa czy innego pokarmu.

Zaczęło się teraz wyrabianie garnków: robiono plecionkę z gałązek, oblepiano ją z zewnątrz gliną i wypalano. Plecionka spalała się w ogniu, a glina

twardniejąc, stawała się garnkiem. Takie garnki, z wyraźnymi śladami plecionek, zapomocą których je robiono, nieraz wykopujemy w starych grobowcach i innych miejscach.

Później wyrabiano garnki z gliny wprost rękami, starając się nadać im postać zgrabniejszą. Takim był prawdopodobnie początek garncarstwa.

IV. O garncarstwie dzisiaj.

Dziś robią się garnki, dzbanki, miski i t. p. gliniane rzeczy inaczej.

Garncarz siedzi przed małym, okrągłym, drewnianym stolikiem, czyli krążkiem, osadzonym na prostopadłej osi. Oś może obracać się dokoła siebie. Na dolnej części osi osadzony jest drugi większy krążek. Kręcąc nogą dolny krążek, robotnik wprowadza przez to samo w obrót krążek górny. Cały ten przyrząd nazywa się krążkiem garncarskim.

Na środku krążka górnego garncarz umieszcza bryły wilgotnej, dobrze wyrobionej gliny i, kręcąc ją w odpowiednich miejscach ręką podczas szybkiego obrotu, nadaje glinie żądane kształty: miski, wazy, garnka czy dzbanka. Uszka i wszelkie ozdoby dolepia się potem ręką. Robota idzie szybko; w ciągu kilku minut garnek lub dzbanek może być gotów.

Wówczas wysusza się go zwolna na wiatrze, a potem umieszcza w piecu do wypalania, przez co staje się twardym i dźwięcznym.

Z gliny brunatnej garnek jest czerwony, z szarej — siwy.

Jednak takie świeże naczynie z łatwością przesączałoby wodę, a przy gotowaniu tłustych pokarmów nasiąkałoby tłuszczem; trzeba więc pokryć je choć we-

wnątrz polewą, nie przepuszczającą płynów. W tym celu miele się razem: drobny piasek, suchą glinę i czerwony proszek, zawierający w sobie ołów. Rozrobiwszy to w wodzie, zanurza się w niej wypalone garnki. Rozumie się, że garnek nasiąka tą wodą, pokrywając się zarazem cienką warstewką owego proszku. Wtedy garnek wyjmuje się z płynu i stawia znów do pieca. Proszek stapia się na ogniu na szklistą, połyskującą masę, tworząc na powierzchni naczynia to, co się nazywa polewą albo glazurą, szkliwem. Prostsza, lecz gorsza polewę otrzymuje się, zanurzając naczynie gliniane, przed ostatecznem wypaleniem, w gęstym roztworze soli kuchennej.

Glina, z której robią garnki, dzieże, dzbanki, doniczki i miski, jest zwykle żółta, brunatna lub siwa. Jest jednak jeszcze glina biała fajansowa, z której wyrabia się na krążku garncarskim przedmioty delikatniejsze, fajansowe, jak talerze, salaterki, półmiski, kubki, które przytem często bywają malowane w kwiaty lub inne desenie. Robota przy nich jest staranniejsza: formę nadaje im się zwykle zapomocą odpowiednich przyrządów. Malowidła na naczyniach fajansowych otrzymuje się w taki sposób, że po pierwszym wypaleniu i pokryciu proszkiem glazurowym maluje się na glazurze, umyślnie do tego wyrabianemi farbami, rozmaite rysunki, które potem przepalają się w ogniu i utrwalają, wchodząc w skład polewy.

Najdelikatniejsze, ale i najdroższe są wyroby porcelanowe, otrzymywane z drobno-ziarnistej białej glinki porcelanowej, czyli kaolinu. Wyrobite z niej przedmioty wypalają się w bardzo wysokiem gorącu tak, że glinka stapia się w jednolitą, szklistą nieco przeświecającą białą masę. Z porcelany, tak samo jak z fa-

jansu, mamy talerze, spodki, filiżanki, garnuszki do mleka, wazy, wazony, figurki i inne przedmioty ozdobne.

Ażeby poznać sztukę garncarską, najlepiej zwiedzić zakład garncarski lub fabrykę jaką fajansu i porcelany, których w kraju naszym jest bardzo wiele.

M. Brzeziński.

115. Z czego jest odzież.

1. Różnie się ludzie ubierają na świecie. »Co kraj, — to obyczaj«, mówi przysłowie. To znaczy, że w każdym kraju inne zwyczaje, inna mowa, inne ubiory.

Wszystkie jednak materiały, z których wyrabiają odzież, są albo z wełny, albo z bawełny, albo z lnu, albo z jedwabiu. Koszulka jest najczęściej płócienna czyli lniana; fartuszek, letnie sukienki są perkalowe, to znaczy z bawełny; sukno lub koricik w paltociku z wełny, a wstążeczka u warkocza z jedwabiu.

Len, wełna, bawełna, jedwab odziewają zatem ludzi na całym świecie. Może tu być taki krój sukni, a tam inny, tu taki obyczaj, taka moda, a tam odmienna, jednak zawsze i wszędzie jest ubranie albo bawełniane, jedwabne lub płócienne, czyli lniane.

2. Len rośnie u nas. Z jego włókien przędą nici, z których tkacz wyrabia na warsztacie płótno.

Podobne do lnu są konopie, dające ten sam pożytek.

Bawełna jest także rośliną, ale rośnie bardzo daleko od nas w gorących krajach. Ma ona nasienie w okrągłych torebkach. Gdy nasienie dojrzeje, torebka pęka i ukazują się ciemno-brunatne nasionka, otoczone nitkami bawełny, którą się także przedzie.

Wełnę daje nam owca. Co rok strzyże się ją i co rok nowa wełna na owieczce odrasta.

W najdziwniejszy sposób otrzymujemy jedwab. — Przędą go na sobie pewne motylki, zwane jedwabnikami, gdy się zmieniają w poczwarki.

Chcąc mieć przędzę jedwabną, trzeba takie poczwarki zbierać, zabijać i zdejmować z nich owe niteczki. Roboty z tem dużo, dlatego też materja jedwabna jest najdroższa.

Najcieplejsze są wyroby wełniane, najtrwalsze płócienne, a najtańsze bawełniane.

116. Zapalki.

Jeszcze nie tak dawno, bo lat temu sześćdziesiąt, nikomu u nas nie śniło się o zapalkach. Do rozpalać ognia służyły: krzemień, krzesiwo i hubka. Krzemień — jest to kamień, który się bardzo często spotyka na polu, w ostrych kawałkach, żółtawej, ciemnobrunatnej albo szarej barwy. Krzesiwkiem nazywał się kawałek żelaza, zwykle zgiętego w kształt podkówki. Hubka zaś, jest to brunatna masa, podobna do gąbki, wydobywana z twardego grzyba, rosnącego na pniu wierzb, buków i sosen. Za uderzeniem żelaznego krzesiwka o twardy krzemień odrywały się drobnutkie kawałeczki żelaza, ogrzewały się przez uderzenie i, jako iskierki, padały na hubkę zapalając ją odrazu. Od tlejącej hubki zapalała się słoma, chróst. Dopiero w nowszych czasach ludzie wymyślili zapalki. Za pomocą maszyn kraje się najpierw drzewo na małe drewnienka. Potem zanurza się je jednym końcem w roztopioną siarkę, a następnie w roztopiony fosfor. Siarka, jak wiemy, jest to żółty kamicz, który za dotknięciem ognia łatwo się pali. Fosfor zaś jest minerałem, który zapala się sam przez się w powietrzu, szczególnie zaś za potarciem.

Z wierzchu jeszcze łebek zapalki pokrywają cienutką warstewką gumy, żeby fosfor sam przez się nie mógł się zapalić, będąc oddzielony od powietrza.

Gdy więc pocieramy zapalkę o jaką chropowatość, ściera się najpierw guma, potem ogrzewa się i zapala fosfor, od niego siarka, a od siarki drewnienko.

Są zapalki, które mogą zapalić się tylko o swoje pudełko; a to dlatego, bo w nich fosfor jest nie w łebku zapalki, lecz na boku pudełka. Takie zapalki są bezpieczniejsze. Nazywają je szwedzkiemi, gdyż pierwsi zaczęli je wyrabiać Szwedzi.

117. Co na opał służy.

1. Stara Marcinowa wracała z lasu. Na plecach niosła pęk suchego chróstu, który jej przynajmniej przez tydzień będzie służył na opał. Tak, Marcinowa innego opału nie zna; zbiera ona zawsze chróst, czyli odłamane suche gałązki, które wiatr z drzew strącił.

2. U jej siostry pod Płockiem to znowu co innego. Tam z ziemi wykopują torf, czyli przegniły zbity mech. Robią z niego cegielki, a gdy wysuszą na słońcu, pali się doskonale. Ciepła dużo, tylko trochę śwedu, a popiołu co niemiara.

3. Marcinowej nie podoba się ów torf i, kiedy była raz u siostry, to tak powiedziała:

»E, nie lubię tego waszego torfu, wolę już swój chróst. Ale niema, jak drzewo. Gdyby mię było stać na to, tobym paliła nie chróst, ale tęgie polana suchej brzeziny, lub dębiny. Od tego najcieplej.«

4. »Prawda, że drzewo pięknie się pali« odzwała siostra »ale ciepła to więcej jeszcze od niego daje węgiel kamienny, który kolejną przywożą i podobno z ziemi kopią. Jest on czasem brunatny, i ten jest

trochę gorszy, częściej czarny, który pali się wyśmienicie i ciepło trzyma w piecu aż do następnego dnia.«

5. »Widziałam ja ci ten węgiel widziałam, kiedy byłam u córki w Warszawie. Była wtedy wielka drożyzna na węgiel, palili więc razem z węglem kamiennym i koks.«

»O koksie jeszcze nie słyszałam. Czy to także w ziemi znajdują?«

»Wytłumaczę ci zaraz. W Warszawie na niektórych ulicach pali się w latarniach gaz, czyli niby takie palące powietrze; nie widać go, tylko czuć i brzydki ma zapach, gdy się nie pali. Ten gaz wydobywają z węgla kamiennego w fabryce, zwanej gazownią i rozprowadzają po mieście rurami. Taki węgiel, z którego wydobyto gaz nazywa się koksem. Wiem to dobrze, bo mój zięć w gazowni pracuje.«

6. Gaz pali się doskonale i można nawet przy nim gotować, tak dobrze grzeje. A roboty z nim żadnej; ani się nie nadźwigasz ani usmolisz, tylko kurek w rurce odkręcisz, zapalną przytkniesz — i już się pali.

118. Targ.

Piękny poranek majowy. Mgła jeszcze wisi nad miastem i dopiero roztopia się w złotych promieniach wschodzącego słońca. Dążymy na targ. Jest to jeden z dwóch dni w tygodniu, w których można zaopatrzyć się w produkty wiejskiego gospodarstwa: masło, ser, grzyby, jarzyny, jaja, ptactwo domowe, zwierzyne, drzewo i t. d.

Na chodnikach pusto. Gdziekolwiek robotnicy spieszą gromadkami do fabryk. Okną kamienic pozawieszane roletami, wyglądają jeszcze sennie. Powietrze

orzeźwiający. Na błękitnem niebie obłoczki uciekają przed słońcem.

Stróże już nie śpią. Uwijają się z miotłami, usuwając nieczystości i przygotowując ulice do ruchu dziennego.

Ciężki wóz przejeżdża z pieczywem, a niewyspany piekarczyk obdziela świeżą porcją chleba sklepiki z wiktuałami.

Gdzieniegdzie z uchylonej bramy wysuwa się kucharka z koszykiem na rękę, wita się ze znajomą i razem śpieszą po zakupy.

Na dużym placu ruch ożywiony. Przekupnie i wieśniacy mają sporo roboty z rozłożeniem swego towaru. Trzeba przecież kupującym zrobić wolny dostęp do tych wozów z włoszczyzną, z kartoflami. A gdzież znaleźć bezpieczne miejsce dla doniczek z kwiatkami, które ogrodnik ze świtem już porozstawiał na samym brzegu chodnika? Tutaj znów nadjeżdża sznur wozów z młkiem, serami i masłem. Trzeba bardzo uważać, żeby te wielkie kosze, z jajami nie znalazły się pod kopytami końskimi lub kołami wozu.

Kurczęta wyrrywają się ze swych kojców na swobodę, kury gładczą, koguty pieją żałośnie zachrypniętym głosem.

W innem miejscu odzywają się chórem kaczkę, gęgają gęsi rozgniewane, a prosięta kwiczą przeraźliwie; cały ten zgłęb podwaja się i potraja rozmową ludzką, głośno prowadzoną, i nawoływaniem przekupniów i rzemieślników. Ten ofiarowuje słomianki, ten kosze, a ten znowu kubły, rynienki, durszlaki; inni zachęcają do kupienia obuwia, ubrania, lub rozmaitych drobnostek.

Miejscowi kupcy otwierają swoje kramy, układają i wystawiają swój towar na pokaz. Perkaliki, płótno,

fartuchy, paciorki, koronki, czepeczki, wszystko to mieni się rozmaitemi barwami.

Wieśniacy wyprzedają ze swych wozów to co przywieźli na targ i wzamian ładują na nie co nabyli, jak odzież, garnki, miski, stolki, szafki, kuferki zielone, dzieże, konewki, kubelki — wszystko co im potrzebne w gospodarstwie.

W kadziach, napelnionych wodą, niespokojnie rzucają się karasie, liny, okonie, szczupaki i sandacze. A już nadjeżdżają wozy z mięsem. Wyładowują swój towar przed jatkami. Nasze miasto spożywa codzień dużo wołów, wieprzów, baranów i cieląt.

Opodal piętrzą się stosy zielonych ogórków, wyhodowanych w inspektach, wiązki szparagów, podobnych do świec łojowych i wreszcie główki młodej sałaty.

Są też już czereśnie, ale nie swojskie, lecz przywiezione z cieplejszych krajów, a pomarańcze i cytryny przyglądają się ciekawie z białych bibulek naszemu surowemu niebu.

Skromnie przy nich wyglądają warkocze żółto-złotej cebuli i różowawe kartofle. A jednak mają i one wielu zwolenników. Niema gospodyni, któraby nie unosiła chociażby trochę tych owoców w swoim koszyku.

Chrzan, te niepozorne, jakby powykręcane patyki, oblepione ziemią, i te wędrują do kosza wraz z wyschlą żółtą pietruszką.

Ileż to trzeba mięsa, jarzyn, chleba, żeby nakarmić półmilionową ludność naszego miasta.

Do południa trwa ten zgielk na placu targowym, póki się nie rozejdą wszyscy, zadowoleni ze swych zakupów. Żleby było, gdyby kto miał pozostać głodnym.

Powracam do domu. Z kuchni dolatuje mię odgłos siekania mięsa.

Tak, tak, tak, tatata, tak, tak, tata — wystukuje tasak Kaźmierzowej.

Na stole leży włoszczyzna, kartofle, mięso.

— To Kaźmierzowa była także na targu?

— Cóżto Stefuś myśli? Dlaczego nie miałam być? ... codzień chodzi się do miasta. A Pan Stefan skąd wraca?

— Ja także z targu z panem Karolem. Chodźliśmy obejrzeć targ. Dziwi mnie, żeśmy nie spotkali Kaźmierzowej.

— Nic dziwnego w takim tłoku, a przytem pan Karol pewno nie chodził po jatkach ze Stefusiem. No, no, niema zmartwienia, i tak dostaniecie obiad.

Kaźmierzowa nie lubi, gdy jej podczas zajęcia przeskadzają, poszedłem więc do mego pokoju i tam biorąc się do książki, rozmyślałem, jaka to szkoda, że jeszcze niema dla mnie miejsca pomiędzy tem mnóstwem ludzi, ustawicznie zajętych pracą.

119. Pożar.

Dwóch podróżnych zaszło dla wypoczynku do gospody, stojącej pode wsią, gdy nagle usłyszeli bicie na gwałt we dzwony i krzyki, że pożar we wsi. Jeden z nich, choć zmęczony długą drogą, zerwał się natychmiast i biegł na ratunek; towarzysz zaś jego zaczął go powstrzymywać, mówiąc: »Poco czas daremnie tracić? obejdzie się tam bez nas! Wreszcie, co nas obchodzą ci ludzie, których nie znamy?«

Słowa te nie powstrzymały jednak pierwszego. Pobiegnął cwałem do palącego się domu, nie widząc

nawet, że towarzysz jego położył się na pagórku i stamtąd obojętnie przypatrywał się pożarowi.

Wtem wybiegła przed dom z rozpuszczonemi włosami nieszczęśliwa kobieta. Załamując ręce, żałośnie wołała: Dzieci! moje dzieci się palą!...

Podróżny bez namysłu rzucił się między spadające belki i buchający płomień... Za chwilę ukazał się w oknie z dwojgiem drobnych dzieci i oddał je matce. Uszczęśliwiona kobieta padła do nóg wybawcy. Ten podniósł ją i pocieszył, poczem powrócił do gospody. Obojętny towarzysz ujrzawszy go rzekł z politowaniem: »Osmaliłeś sobie włosy, popaliłeś suknie, sam mógłś życiem przypłacić. Któż ci kazał narażać się na takie niebezpieczeństwo?«

»Spełniłem mą powinność, kochany bracie, bo mi tak nakazywała miłość bliźniego.«

120. Pszczółka i gołąbek.

Wpadła w strumyk pszczółka mała,
Skrzydełkami trzepotała;
Już w nich siłę utraciła,
O, w jakimże strachu była!

Gołąbeczek śnieżno-pióry,
Na ratunek bliźnich skory,
Spuszcza listek... Pszczółka rada
Na zieloną łódkę siada;
Skrzydła siłę odzyskały
I uleciał owad mały.

Nikt o swem nieszczęściu nie wie:
Jakoś wkrótce gołąb siadł sobie na drzewie,
Spokojny, szczęśliwy,
Aż tu myśliwy
Wymierza strzelbę, chce go zgładzić z świata.
Pszczółka przylata,

Utnie go żądlęm w rękę. Strzał ptaszyne mija;
Ocalona, swobodnie w powietrze się wzbija.

„Tak zawsze dobroczynność wdzięcznością się płaci,
Nieśmy pomoc w nieszczęściu dla naszych współbraci“

St. Jachowicz.

121. Sąsiedzi.

Synek młynarza, mały jeszcze chłopczyna, przechylił się nieostroźnie przez most i wpadł w rzekę. Byłby zapewne utonął, gdyby nie kowal, który, ujrzawszy, co się dzieje, rzucił się natychmiast do wody, wydobył dziecko, i odniósł je ojcu.

W rok potem pożar wybuchnął u kowala i zanim się opatrzone, już cały dom stał w płomieniach. Kowal wyratował żonę i dzieci; tylko o najmłodszej córeczce w pierwszej chwili zapomniał. Krzyk biednej dzieciny usłyszał młynarz. Nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, wpadł do palącego się domu, wyniósł dziecko i złożył je w ręce kowala.

— Dzięki Bogu — rzekł przy tem — że mi pozwolił tobie się odwdziaczyć! Wyratowałeś mi z wody syna, ja córkę twoją z płomieni wyniosłem.

122. Kochajmy się bracia.

Kochajmy się, bracia moi!

Zgoda niech nam serce spoi.

Od pałaców w chatki kmieci —

„Kochajmy się!“ — Niech głos leci.

Jakaż bieda mi dobodzie,

Gdy z mym bratem żyję w zgodzie?

Gdy z nim smutki i wesele,

Chleb i mienie — życie dzielię?

Kochajmy się tylko wzajem

Każdy kącik będzie rajem.

Bo gdzie wzrosła miłość, zgoda,

Tam jest szczęście i swoboda.

123. Do dzieci.

Jeśli chcecie być dobremi,
Mieście miłość dla tej ziemi.
Na niej rosną drzewa ciemne,
W letnim skwarze tak przyjemne.
Nad nią ptactwo różnopióre
Podlatuje z pieśnią w górę.
Na niej zboże, co nas żywi,
Na niej możem być szczęśliwi.
A jeśli wam ziemia droga,
To tak módlcie się do Boga:
„Panie Boże, prosim o to:
Nie o srebro, nie o złoto,
Lecz o szczęście dla tej ziemi.
Niech się na niej zboże pleni,
Niechaj wzrasta w dziesięcioro,
Niech rolnicy plony zbiorą,
A zebrawszy w pomyślności,
W szczęściu, zdrowiu i jedności,
Niechaj żyją, jakby w niebie,
O to, Boże, prosim Ciebie!”



ROZDZIAŁ IV.

Ogród, pole, łąka.

124. Na wiosnę.

Cieszcie się dzieci!
Słońce zaświeci
Stopi śniegi, lody
Popłyną wody.
A gdy po lesie
Wietrzyk rozniesie
Wieści wiosenne —
Znikną mgły ciemne,
I ponad łąki
Wzlecą skowronki
Wrócą jaskółki,
Zabręczą pszczołki,
I bocian wzleci
Nad znaną strzechę;
Będziecie dzieci
Miały uciechę.

Cieszcie się dzieci!
Słoneczko świeci,
Wietrzyk powiewa,
Pękają drzewa,
Idzie już wiosna
Miła, radosna!
Wnet będą kwiatki,
Róże, bławatki
I niezabudki;
Będą jagódki,
Zlecą motyle,
I ptasząt tyle,
I te swawolne,
Koniki polne,
Co w dni gorące
Skaczą po łące.

125. Wschód słońca.

Na wschodzie świta
Prześliczna zorza,
Rumieni zboża,
Pszeniczki, żyta.
Słoneczko wstaje,
Złoci liść drzew,
Ożywia gaje,
Ptaszyny śpiew.

Od kropel rosy
Trawa się siania,
Krówki pogania
Pastuszek bosa,
I wita ranną
Modlitwą świat:
„Najświętsza panno
Strzeż moich lat!”

126. Poranek na wsi.

Niebo czyste, bez chmurki. Słońce świeci. Wesóło na świecie, wesóło.

W powietrzu hen, wysoko, coś dzwoni . . . Dzwoni, to ciszej, to głośniej. Piosnka leci z góry, to śpiewają skowronki.

A na polach ruch, konie ciągną pługi. Trzeba pod siew wiosenny dobrze zorać ziemię.

„Dobra orka, siew jak trzeba,
Dobre żyto, dużo chleba“.

To śpiewają wieśniacy, i cieszą się z dnia pogodnego.

Wesóło na świecie, wesóło!

127. Historia jednego nasionka.

Przyniósł wicher czarne, małe nasionko i na miedzę wśród pola rzucił. Było to nasienie gruszy.

Ziemia otuliła je, słońce ogrzało. Po jakimś czasie nasionko pękło. Kiełek zielony strzelił w górę, brunatny korzonek zapuścił się w ziemię.

Grusza rosła. Kiełek grubiał, w pień się zamieniał i pokrył się korą. Korzenie w ziemi także rosły. Piły one soki, które deszcz, co w ziemię wsiąkał, przyrządzał dla nich, niby kucharz jaki. Rosły, pełzły coraz głębiej w ziemię, aby pożywienia roślinie dostarczyć. Gdy natrafiły na kamyk, wymijały go, okrążały ostrożnie.

Pień tymczasem co rok wypuszczał nowe gałęzie. Te najgrubsze, co z pnia wyrosły, zamieniły się w konary. Z każdego z nich strzeliły w niebo liczne gałęzie i gałązki, które okrywała zielona sukienka z liści. Na wiosnę przystroiła się grusza w białe kwiaty. — Ślicznie wtedy wyglądała!

Gdy kwiaty opadły, zjawily się na ich miejscu małe, zielone kuleczki. Słońce ogrzewało je, korzonki karmiły, kuleczki rosły, rosły.

W jesieni grusza okryła się owocem.

Chrząszczewska i Warnkówna.

128. W sadzie.

. Jakim cudem kwiat się zmienia
Zda się, cały sad się śmieje, W owoc złoty i dojrzały?
Tyle gwaru i uciechy! Że tych sadów trud i praca
Dziatwa zbiera jabłka, gruszki, I tęsknota i nadzieje —
Winogrona i orzechy! To ten śnieżny kwiat pachnący,
Wreszcie dzieci pomęczone Który w złoty plon dojrzeje?
Obok mamy posiadały, Wiatr z drzew kwietnych pyłki
A ta gładzi jasne główki nosi,
I tak prawi rzeszy małej: Lub na skrzydłach pstre motyle,
„Czy też jeszcze pamiętacie, A już przyszłość ich owocu
Jak tu było wczesną wiosną, Kryje się w tym złotym pyle.
Gdy to drzewa stoją w kwiecie, Potem idzie długie lato:
I słowiki dzwonią głośno?“ Burze letnie, parne noce . . .
Szumi stary sad owocny, Ileż trwóg przeżyją drzewa
Jakby wtórzac słowom mamy... Nim wam dadzą swe owoce!
Na to dzieci jednym chórem: Bo te sady są, jak matki,
„Pamiętamy, pamiętamy! Dziatwę swoją miłującą,
Sad stał wtedy taki biały, Które targa wichler chłodny
Jakby śniegiem oblepiony, I pociesza złote słońce.
A pachnące białe płatki To też, kiedy maj przychodzi,
Przelatały na wsze strony!“ Gdy owoców drzewa kwitną —
Więc też mama dalej pyta: Cały świat się modlić zdaje,
„A czy kiedyście myślały, Otulony mgłą błękitną“.

Bronisława Ostrowska.

129. Ogród.

Drzewa owocowe, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy;
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;

Tam, płacząc strąki w marchwi zielonym warkoczu,
 Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
 Owdzie podnosi złotą kitę kurkurudza;
 Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
 Który od swej łądygi aż w daleką stronę
 Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.
 Grzędy rozcięte miedzą. Na każdym przekopie
 Stoja, jakby na straży, w szeregach konopie,
 Cyprysy jarzyn, ciche, proste i zielone;
 Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
 Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
 A ich woń gąsienice i owad zabija.
 Dalej maków białawe górują badyle;
 Na nich, myślisz, że rojem usiadły motyle,
 Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni
 Z różnaitością tęczy blask drogich kamieni;
 Tylą farb żywych, różnych, mak żrenicę mami!
 W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
 Kągły słonecznik licem wielkiem gorejącem
 Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.
 Pod płotem wąskie, długie wypukłe pagórki,
 Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
 Pięknie wyrosły! liściem wielkiem, rozłożystym,
 Okryły grzędy, jakby kobiercem fałdzistym.

Adam Mickiewicz.

130. Ogród warzywny.

Co rano matusią pielemy w ogródku. Robota to trudna, bo grządek bez liku, a różne tam na nich warzywo wyrasta! Na dole kapusta, co głowy ma tyse; tu bliżej — dwie grzędy pietruszki i marchwi; tam groch się też wspina po tykach wysoki, a między buraki wtłoczyły się banie.

Na prawo ogórki na wysokiej grzędzie; cebula i czosnek wyrosły na lewo; we środku koperek powiewa zielony; tam maki kwitnące, czerwone i białe; tu żółty słonecznik kręci się za słońcem. A wszystko, jak deszczem,

rosą pokropione, błyszczą się i świeci w jasnym słońku rannym.

131. Buraki.

1. Do barszczu, chłodnika, a także na jarzynę używają buraków, uprawianych we wszystkich u nas ogrodach. Mają one liście ciemno-zielone, łodygę najczęściej czerwoną, a w ziemi siedzi korzeń jadalny burej barwy, od której roślina buraczkiem się zowie.

2. Oprócz buraków czerwonych uprawiają u nas jeszcze buraki białe, tak zwane cukrowe, którymi nieraz całe pola bywają pokryte, zwłaszcza w tych okolicach, gdzie grunt jest żyzny.

W jesieni wykopują je z ziemi, oczyszczają je z naci i korzonków, i odwożą do fabryki, zwanej cukrownią.

Tam je płuczą, rozcierają na miazgę, a potem w wielkich kotłach oddzielają sok od miazgi. Wytłoczyny służą za pokarm dla bydła, a sok gotują bardzo długo, oczyszczają za pomocą sproszkowanego węgla z kości, a gdy już syrop jest bardzo gęsty, wlewają go w formy do zastudzenia.

3. Uciążliwa jest bardzo praca robotników w cukrowni. Fabryka nie ustaje i w nocy, a w suszarni, to jest tam, gdzie cukier zastyga czyli twardnieje, bywa tak gorąco, że pot kroplisty płynie z twarzy robotników; są oni bladzi, mizerni i dużo lat w cukrowni pracować nie mogą, bo zdrowie tracą.

Nie myślimy o tem zając się smaczne cukierki.

132. Drzewa owocowe.

W ogrodach i sadach rosną różne drzewa, które rodzą smaczne owoce. Do najważniejszych należą: jabłoń, śliwa, grusza, czereśnia, wiśnia i orzech włoski.

Grusza ma liście okrągławe, małe, lśniące i tegie. Kwiaty jej białe pojawiają się na wiosnę. Podłużny owoc gruszy, od końca grubszy, a przy szypułce wysmukły, znamy wszyscy; są to soczyste i słodkie gruszki. Gruszki letnie dojrzewają w lecie na drzewie, zimowe zaś dopiero w zimie, gdy się uleżą. Po lasach rosną grusze dzikie, których owoc jest mały, twardy i cierpki.

Jabłoń ma liście podłużne, większe i trochę kosmate. Jabłka bywają zwykle okrągłe, a przy szypułce wklęsłe, czem się różnią od gruszek. Mamy jabłka słodkie i winne, zimowe i letnie. Jabłka i gruszki są naszymi najszlachetniejszymi owocami, dlatego też widzimy po sadach najwięcej grusz i jabłoni. Miło na nie patrzeć, gdy są obciążone rumianemi i żółtymi owocami.

Śliwa jest drzewkiem niewielkiem. Nie rośnie u nas dziko, tylko hodowana po sadach. Owoc śliwy ma zewnątrz smaczną mięsnię, wewnątrz zaś pestkę, a w niej ziarno. Najpospolitszymi śliwkami są psiarki czyli lubaszki; daleko lepsze są węgierskie i renklody.

Czereśnia i wiśnia rodzą smaczne jagody. Czereśnia jest wielkiem drzewem i rośnie u nas po ogrodach. Jagody jej są żółte, czerwone lub czarne i mają smak słodki. Wiśnia ma jagody kwaskowate.

Orzech włoski jest drzewem wielkiem. Rośnie tylko hodowany w ogrodach, a rodzi orzechy wielkie, zwane włoskimi. Orzech włoski jest większy od laskowego; ma on zieloną lupinę, pod którą znajduje się twarda skorupa, a w niej dopiero ziarno smaczne, choć nierówne i pomarszczone.

Wszystkie owoce są zdrowe i smaczne, lecz nie trzeba ich jeść za wiele. Owoce zasuszone, szczególnie jabłka, gruszki i śliwki, zowiemy suszem.

W sadach hodują także krzewy, wydające smaczne jagody, jako to: słodki agrest, kwaskowatą porzeczkę i słodkie a wonne maliny.

133. Użytek z roślin.

Zapewne mało kto zastanawiał się nad tem, jak wielkimi dobroczyńcami są dla człowieka rośliny.

One to nie tylko karmią i odziewają człowieka, ale jeszcze nadzwyczaj są pożyteczne dlatego, że pochłaniają z powietrza gaz, zwany kwasem węglanym. Gaz ten wydziela się ciągle, bez przestanku, ze wszystkich ciał, palących się, gnijących, oddychających, i prędko zatrułby powietrze, gdyby rośliny nie potrzebowały go dla siebie.

Tak jest; bez roślin nie byłoby na ziemi żadnych istot żyjących.

Dość spojrzeć dokoła siebie, ażeby przekonać się, że większą część przedmiotów zawdzięczamy roślinom.

Wyliczymy w krótkości najważniejsze użytki z roślin:

Pokarmów dostarczają przedewszystkiem nasiona zbóż: pszenicy, żyta, jęczmienia, prosa, kukurydzy, gryki itp., z których mamy chleb, kaszę itd., — nasiona grochu, bobu, fasoli, dalej kartofle itd. Pokarmy i przyprawy do pokarmów mamy z warzyw różnych, np.: kapusty, galarepy, kalafiorów, sałaty, szczawiu, szpinaku, pietruszki, marchwi, rzepy, buraków, rzodkwi, — dalej z rozmaitych owoców i nasion, np.: z jabłek, gruszek, śliwek, wisien, moreli, brzoskwiń, pomarańczy, melonów, dyń, orzechów, migdałów, jagód rozmaitych i wielu innych roślin, między innymi z grzybów jadalnych, np.: pieczarek, rydzów, trufli itd.

I takie przyprawy, jak: ocet, oliwa, pieprz itp., również roślinom zawdzięczamy, a co jest niemniej ważne,

otrzymujemy z roślin i cukier, bez którego trudno byłoby się nam już obejść.

Napoje: herbata, kawa, kakao, czekolada, wino, piwo, wódka, jabłecznik itd. także z roślin pochodzą.

Paszę znów dla zwierząt mamy także z roślin, jak: koniczyna, owies i mnóstwo różnych traw.

Odzież wyrabia się z lnu, konopi, bawełny, pokrzyw i innych.

Na sprzęty, meble, budowle używamy drzew różnych, zwłaszcza sosnowego, dębowego, jesionowego, gruszkowego, hebanowego itd., zarówno jak i na opał, na który głównie idzie sosna i brzoza.

Olej, oliwę do oświetlenia, a także wiele przedmiotów, bezustannie używanych, np.: krochmal, gumę, kauczuk, słomę, żywicę, kalafonię, kamforę, różne farby, olejki pachnące na perfumy, korki, korę do garbowania skór, słomę itd., wydobywamy także z roślin, którą przerabiamy na wiele innych przedmiotów, np. na papier, kosze, miotły, wyściółkę do materacy, mebli, rogożę.

Rośliny są też pożyteczne tem, że niektóre (np. wierzby, brzozy), utrwalają grunty sypkie, piaszczyste, chronią od podmywania przez wodę, przez wiatry i czasem zamieniają je w ziemię orną.

Wiele ważnych lekarstw ludzie nauczyli się z roślin przyrządzać.

Do roślin lekarskich należą przedewszystkiem: rumianek, mięta, cytryna, lipa (kwiat lipowy), len (siemę lniane), kleszczowina, inaczej rycynusem zwana (olej rycynowy), rabarbar, ślaz, chinowe drzewo, mak itd. Nie można również pominąć roślin ozdobnych, bo upiększają nasze ogrody i mieszkania, także na nazwę użytecznych zasługują.

134. W małym ogródeczku.

W małym ogródeczku
Zosia sadi kwiatki:
Stokrotki czerwone,
Goździki i bratki.

Nuci ptaszek nuci,
Buduje gniazdeczko,
Nie postrasż go, Zosiu,
Moja kochaneczko.

Sadzi Zosia kwiatki
I piosenkę śpiewa,
A ptaszek też nuci
Pośród liści drzewa.

Nieładnego w gniazdku
Będą małe dziatki,
U Zosi na grządkach
Śliczne wonne kwiatki.

A Zosia i ptaszek
Będą się cieszyli,
Że w maju na wiosnę
Tak pilnymi byli.

135. Co możesz robić w swoim ogródku?

1. W ogródku możesz kopać i grabić. Strzeż się przy kopaniu uszkodzić korzenie roślin, znajdujących się w pobliżu.

2. Możesz pleć. Naucz się dobrze rozróżniać pożyteczne rośliny od chwastów. Najlepiej pleć po deszczu.

3. Możesz podlewać rośliny. Nie podlewaj z wysoka, polewaj polewaczką lub przez sitko. Podlewać po zachodzie słońca lub wczesnym rankiem. Podlewanie w dzień, gdy słońce świeci szkodzi roślinom.

4. Możesz siać. Uważaj sięjąc, by ziarna wszędzie równo padały.

5. Możesz sadzić. Zrób otwór w świeżo skopanej ziemi, zasadź roślinkę, ugnieć ziemię wokół łodygi i podlej.

6. Możesz zrywać lub ścinać rośliny: szpinak, sałatę, szczaw. Zbieraj ostrożnie, żeby nie naderwać korzenia.

7. Możesz wyrywać rośliny: marchew, pietruszkę, selery itd.

8. Możesz zbierać owoce i nasiona. Zbieraj je wtedy, kiedy zupełnie dojrzeją.

9. Możesz chować nasionka. Każdy gatunek nasion chowaj do osobnej torebki z odpowiednim napisem.

136. Z dziejów kartofla.

Kartofel jest rośliną, pochodzącą z Ameryki, z kraju, zwanego Peru, stąd kartofle nazywają także perkami.

Pewien angielski marynarz, bawiąc w Ameryce, przesłał do Europy pierwsze ziemniaki swemu przyjacielowi. Ten, zasadziwszy je w ogrodzie, czekał, dopóki zupełnie nie dojrzały, zebrał potem z łodyg owe kulki zielone i, zaprosiwszy gości, chciał ich poczęstować nową jarzyną. Kazał ją w maśle usmażyć, posypać dobrze cynamonem i cukrem i podał gościom. Wszyscy, ciekawi bardzo nieznanej, a bardzo zachwalanej potrawy, kosztują, lecz natychmiast sam gospodarz odkłada widelec, mówiąc:

— Ten owoc, w Ameryce tak smaczny, widocznie u nas nie dojrzewa i jedzony być nie może.

Wkrótce potem gospodarz, przechadzając się w ogrodzie mimo ogniska, na którym ogrodnik palił wyrwane chwasty, przypadkiem nadeptał na coś miękkiego, podniósł, ogląda...

Jakiś okrągły owoc, gorący jeszcze, a pachnie bardzo przyjemnie. Przywołuje więc ogrodnika i pyta:

— Co to za owoc?

— To są bulwy, które znalazłem przy korzeniach amerykańskiej rośliny.

Teraz dopiero domyślił się Anglik, że to właśnie te bulwy stanowią ów pokarm amerykański. Po raz drugi zaprosił gości i podał im potrawę, która teraz smakowała wszystkim.

137. Nasze kwiaty.

Jeszcze śnieżek prószy,	A w gaju, wśród liści
Jeszcze chłodny ranek,	W wilgotnej ustroni,
A już w cichym lesie	Konwalia bieluchna
Zakwita sasanek.	W dzwoneczki swe dzwoni.
A za nim przelaszczka	A wyjdzieź drożyną
Wychyla się z pączka,	Z gaidu na pole,
I mleczem się żółtym	To spotkasz modraki,
Złoci cała łączka.	Ostróżki, kąkole . . .
I dłużej już dzionka	I maczek tam wilczy
I bliżej słoneczka . . .	Kraśniej wśród żyta,
A w polu się gwieździ	I różą krzak głogu
Biała stokroteczka.	Na miedzy zakwita.
A dalej fijołki,	A ścieżką zieloną,
Wskroś trawy, pod rosą	Co z górki zstępuje,
W świeżych swych czareczkach	Srebrzysty powoik
Woń przesłódką niosą.	Po świecie wędruje . . .
A tuż ponad strugą,	O ziemio ty droga,
Co wije się kręta,	Ty Boży zielniku!
Niezapominajka	I w polach i w łąkach
Otwiera oczęta.	Masz kwiecia bez liku.

Marja Konopnicka.

138. Róża.

Piękne są narcyzy, tulipany, miłefi olki, konwalie **lecz** najbardziej ulubionym kwiatem, tak dla swej krasy, jak i zapachu, jest bez wątpienia róża, królowa grządek kwiatowych. Od polnej różyczki, rosnącej dziko na rozłogu, o pięciu skromnych płatkach, aż do stulistnej centyfolii, ileż jest odmian znanych i hodowanych w ogrodach i cieplarniach! A jakież bogactwo ich barw! Niektóre są tak ciemno ponsowe, że prawie czarne; inne różowe, a herbaciane żółte, jak złoto. A jak wdzięcznie wygląda krzak róży, białemi kwiatami obsypany!

Z gatunków najbardziej wonnych wyrabiają olejek różany; Turcy szczególnie lubią ten zapach. Płatki róży cukrowej służą na konfitury. Nie są one bardzo smaczne, ale niektóre osoby dla miłej woni przekładają je nad inne

W naszym kraju róże z dawien dawna hodowano, i zagon, zasadzony różami, nazywano w starym polskim języku, jakim mówili nasi przodkowie, różańcem.

Około dworów wiejskich bywały więc różańce, uprawiane z wielką pieczołowitością, w których hodowano róże, wprawdzie nie tak piękne, jak niejedne dzisiejsze gatunki, ale nie mniej wdzięczne i wonne.

139. Pasieka.

Poza dworem, poza sadem
(Droga miła niedaleka),
Nad strumyka jasnym brzegiem
Rozłożyła się pasieka.
Rzędy ulów grzeją w słońcu
Jasne daszki swe ze słomy,
A powietrzny naród złoty
W krąg oblata swoje domy.
Brzęczą pszczoły i migocą,
Niby lotnych skier gromada,
A co chwila rój za rojem
Na konicznych ziołach siada.
Stare lipy patrzą w słońce,
Groszek wonny, konicz, gryka. —
A z daleka pod lipami
Widać chatę pasiecznika.
Pszczoły brzęczą, świerszcze strzygą
W woniejącem morzu ziela,
Że pasieka pełna słońca,
Dźwięczy cała, jak kapela!

Bronisława Ostrowska.

140. Pszczoły.

Na gałązce lipy usiadła pszczoła. Długą trąbkę zapuściła w żółtawy kwiat i ssie słodycz pachnącą. Już dosyć zebrała . . . trzeba wracać do domu.

Dom jest niedaleko. Pod parkanem na pniach drzewa stoi cały szereg niby maleńkich drewnianych budynków. To — ule.

Wokoło słychać brzęczenie. Roje pszczół wlatują i wylatują przez wązkie otwór, zrobiony w każdym ulu. Przy otworze dwie pszczoły, niby strażnicy, pilnują porządku, baczą, by obcy owad nie wkraść się do ula.

Pszczólek pilnować nie trzeba, żadna nie omyli się, żadna do cudzego ula nie wleci.

W ulu robota. Słodycz kwiatowa przerabia się w ciełe pszczoły na miód złocisty. Miodem tym pracowite owady napełniają przygotowane zawczasu woskowe komórki. Cały szereg takich komórek nazywa się plastrzem.

Przygotowane przez kogo?

Przez kogóżby? Przez pszczoły.

W ulu ciemno, bo pszczoły tylko w ciemności pracują.

Gdyby było jasno, zobaczylibyśmy, że tam w kącie gromada pszczół zajęta jest naprawianiem plastra. Kosmatymi łapkami zbierają ze swego ciała płyn kleisty, niby pot, urabiają go w pyszczku ze śliną, i ot wosk już gotowy. Praca idzie szybko; każda pszczołka wie dobrze, co ma zrobić.

* * *

Rządzi w ulu jedna ukochana pszczoła-matka, królowa. Matka, bo znosi jajka, królowa, bo wszyscy jej słuchają. Pracują pszczoły pilnie, gdyż roboty pełno: trzeba nakarmić małe liszki, co wykluły się z jajek, trzeba pilnować tej chwili, kiedy się liszki oprządą i zamienią

w poczwarki. A potem, kiedy z poczwarek młode pszczoły wyfruną, także uczyć je trzeba.

Trzeba jeszcze komórki miodem napelniać, by dla ludzi i dla pszczół wystarczyło. Trzeba pracować, pracować...

Zima długa... a zapas miodu mały jeszcze. Co zostanie dla pszczołek, jeżeli go człowiek weźmie za wiele?...

Nie bójcie się, dobre pszczołki! Dzielicie się chętnie swą pracą z człowiekiem, on też o was pamięta, szanuje.

Nie bójcie się! dla człowieka może zabraknąć miodu, dla was zawsze wystarczy.

Chrząszczewska i Warnkówna.

141. Pszczółka.

Była sobie pszczółka, mieszkała w ulu z zielonym daszkiem i czerwonymi ścianami. Pszczółka ta pracowała od rana do wieczora, latała po miód do gaiku, gdzie rosło dużo kwiatów i było kilka lip kwitnących. Bywało, jak tylko nabierze miodu i pyłku, wraca do domu, składa miód do komórki w woskowym plastrze i znowu leci do gaiku...

I czemuż to tak pracowała ta pszczółka? Oto kochała ona rój swój cały: kochała towarzyszek swoje, pszczoły-robotnice, kochała matkę i liszki male, z których miały się narodzić młode pszczołki. A jakże kochać ich nie miała, kiedy tak miło, tak dobrze było jej w zielonym ulu?!

Zgodnie żyły z sobą pszczoły, pracowały jedna dla drugiej, każda była gotowa umrzeć dla roju, rój też cały bronił i opiekował się każdą, choćby najmniejszą pszczółką. Jedną za wszystkie, wszystkie za jedną — taki jest pszczół obyczaj.

Raz pszczołka ta, wracając z gajku z miodem, posłyszała z daleka straszny hałas w pasiece. Przestraszyła się bardzo, leci coprędzej, dolatuje do ula swego i coś widzi? Oto chłopak jakiś siedzi przy ulu i wyciąga z niego co najlepsze plastry. Pszczoły huczą, latają nad ulem całą chmarą, a chłopiec zasłania się od nich jedną ręką, a drugą miód podbiera.

Rozgniewała się pszczołka nasza: żal jej było złoci-stego miodu, z taką pracą uzbieranego, żal młodych liszek, które chłopiec wyciągał z plastrami i wyrzucał, jakby coś niepotrzebnego... Rzuciła się więc na niedobrego chłopca i wpuściła mu w ciało żądło swoje całe. Krzyknął chłopiec z bólu, porzucił miód i uciekać zaczął.

Miód i liszki maleńkie zostały ocalone, ale coś się dzieje z biedną pszczołką? Oto żądła już nie ma, zostało w ciele chłopca, a ona sama, osłabła z rany, zlatuje na ziemię, pada między trawę i tam zasypia na wieki.

Umierając, czy pożałowała pszczołka tego, że dla roju swego oddała życie? O, wcale nie! bo wszakże wszystkie za jedną, a jedna za wszystkie — taki jest pszczołek obyczaj.

142. Pszczołka.

Jestem sobie skrzętna pszczołka,
Wesoło też żyję,
Znam na łące wszystkie ziółka,
W których miód się kryje.

Skoro wiosna się obudzi,
Pracuję dni całe,
I dla siebie i dla ludzi,
I Bogu na chwałę.

Z miodu człowiek napój warzy,
Co go krzepi w trudzie;
Z wosku świece u ołtarzy
Stawiać dobrzy ludzie.

Ot, widzicie, moje dzieci,
Co to praca może!
Tak pracujcie, pilnie, żwawo,
A Bóg dopomoże.

143. Trzy motylki.

1. Trzy motylki: biały, czerwony i żółty, latały z kwiatka na kwiatek, a tak im się podobała ta zabawa, że nie czuły znużenia. Wtem zaczął padać deszcz i pomógł im skrzydelka.

Chcąc się schronić, przyleciały do czerwonego tulipana z żółtymi prążkami i powiedziały: »kwiateczku, otwórz nam swój kielich i przyjmij do siebie«.

Ale tulipan odpowiedział: »z chęcią przyjmę motylka żółtego i czerwonego, lecz białego nie wpuszczę«. Na to odpowiedziały motylek czerwony i żółty: »kiedy nie chcesz przyjąć naszego białego braciszka, to pofruniemy dalej.«

2. Potem motylki poleciały do białej liliji i powiedziały: »dobra lilijo, otwórz nam swój kielich i pozwól wejść, gdyż na deszczu zupełnie przemokliśmy«. Ale lilija odrzekła: »przyjmę białego motylka, bo jest tak biały jak ja, lecz innych nie chcę«. Na to odpowiedział biały motylek: »jeżeli braciszków moich nie chcesz przyjąć do siebie, to i ja nie wejdę. Wolimy raczej wszystkie przemoknąć, niż się rozłączać«.

Słońce, ukryte za chmurami, słyszało ich rozmowę i ucieszyło się, że tak dobrymi byli braćmi; przebiło się przez chmury, rozpędziło je i deszcz przestał padać.

Niezadługo zaczęło znów ogrzewać kwiatki i wkrótce osuszyło skrzydelka motylków. Wysuszone motyle zaczęły tańczyć w powietrzu i latać z kwiatka na kwiatek aż do wieczora. Późem wróciły do swego ukrycia i przespały noc całą aż do białego dnia.

144. Motyle i gąsienice.

Pięknymi są motyle, gdy, przelatując z kwiatka na kwiatek, jaśnieją w blasku słońca cudnymi barwami swych skrzydeł! Doprawdy! kwiaty nawet muszą ustąpić im pierwszeństwa.

Motyle należą do licznej gromady sześcionogich zwierząt, zwanych owadami. Jak wszystkie owady, posiadają one ciało, podzielone na trzy wyraźne części: głowę, piersi i odwłok. Prócz sześciu nóg mają jeszcze dwie pary skrzydeł.

Głowa motyla wydaje się dużą, z powodu dwojga wielkich oczu, umieszczonych z boku. Oczy są tem szczególne, że każde z nich jest zbiorem paru tysięcy drobnutkich, zrosniętych z sobą oczek. Z przodu głowy sterczą motylowi dwa długie różki, służące mu do dotykania, a być może i do wachania. Pod spodem głowy skręca się długa rurka, zwana ryjkiem, służy ona motylowi do przyjmowania pokarmów. Motyle żywią się słodkim sokiem, jaki znajduje się na dnie prawie wszystkich kwiatów: w każdym kwiatku, w koniczyńce, bielewłoskim, akacji, można znaleźć ów sok słodki: otóż motyl, rozkręca ryjek, zapuszcza go do wnętrza kwiatu i pije tą swoją rurką sok, tak, jak my czasem pijemy słomką, wodę ze szklanki.

Skrzydła motyla są duże, blaszkowate, pokryte na powierzchni drobnymi, różnobarwnymi łuskami, które przy chwytaniu go, zostają nam na palcach w postaci proszku.

Najciekawszym jednak ze wszystkiego, jest rozwój i wzrost motyla. Motyle składają jajeczka, maleńkie, mniejsze od ziarenek maku.

Z każdego jajeczka legnie się długa, bezskrzydła liśzka, czyli gąsienica, legnie się ich zatem odrazu znaczna ilość.

Liszki te początkowo są maleńkie, ale apetyt mają tak wielki, że całymi dniami gryzą mocnymi szczękami młode, soczyste liście. Nic więc dziwnego, że rosną nadzwyczaj prędko. Skóra ich jednak, nie rośnie jednocześnie tak szybko! Staje się więc rzecz, niezbyt przyjemna: skóra zaczyna być za ciasną dla rosnącej liszki! Na szczęście pod tą skórą tworzy się nowa, większa. Liszka czeka dni parę, dopóki nowe ubranie zupełnie nie jest gotowe; wtedy wygina się silnie i rozdziera dawną skórę, z której wychodzi ubrana w nową, obszerniejszą szatę. Odbywa się to kilka razy z kolei. W miarę wzrostu, apetyt liszki wzrasta niepomrotnie: zjada ona, ile tylko się zmieści, żeby utyć i nabrać tłuszczu, który przyda się jej niezadługo.

Zwykle po dwóch, trzech tygodniach od czasu wyjścia z jajki, liszka przestaje jeść i poruszać się; ona sama kurczy się, a skóra jej ściąga się i zsycha; lecz pod tą skórą wytwarza się inna, która niby płaszczem, otula sobą dawną gąsienicę. Taka nieruchoma, jakby martwa postać owadu, nazywa się poczwarką. Pod skórą poczwarki zaczyna się przekształcenie liszki w dorosłego motyla. Rosną jej skrzydła, tworzy się ryjek pyszczkowy, wyrastają inne nogi. Wszystko to wprawdzie jest pozwijane, pozakładane jedno na drugie, jakby listki w pączku; ale daje się już nieco przez skórę odróżnić.

Niektóre motyle przebywają w stanie poczwarki całe miesiące, a nawet zimują zagrzebane pod mchem lub zeschniętymi liśćmi. Inne wylęgają się z poczwarek po dwóch, trzech tygodniach.

Gdy motyl jest już zupełnie wykształcony, sam rozrywa skórę poczwarki i wesół, szczęśliwy, wylatuje na szeroki świat, gdzie buja wśród kwiatów, kąpiąc się w promieniach słońca. Korzysta on, jak może, ze swego

życia, bo po kilku tygodniach a niekiedy nawet po kilku dniach, gdy złoży jajeczka, najczęściej umiera, jeśli nie stał się pastwą jakiego ptaka.

Radzę wam zbierać na wiosnę gąsienice i chować je w pudełkach podziurkowanych, dając im za pokarm liście tej rośliny, na której je znaleźliście, gdyż motyle składają jajka właśnie na tych roślinach, które są najodpowiedniejsze na pokarm dla ich liszek. Będziecie mieli prawdziwą przyjemność widzieć własnymi oczami całą przemianę gąsienicy w motyla.

M. Brzeziński.

145. Nie goń motyla.

Młody chłopaku, porzuć swawolę,
Kwietniowy motyl wyleciał w pole,
Radosna chwila;

Nie psuj radości twoją pustotą,
Niech mu na skrzydłach migoce złoto,
Nie goń motyla!

Niech sobie lata, niech sobie lata,
Przez kilka godzin użyje świata,
Co się przymila;

Skrzydełka płoną, oczka mu płoną,
Chce się pocieszyć trawką zieloną,
Nie goń motyla!

Dla niego wieczność, co dla nas chwilką,
Chce w jednej wiosnie mieć wiosen kilka,
Główkę pochyla,

I z każdej trawki, z każdego kwiatka
Chciałby słodczy ssać do ostatka,
Nie goń motyla!

W. Syrokomla.

146. Mrówki.

Mrówki są to owady żwawe i pracowite; mają sześć nóg i mocne szczęki do chwytania zdobyczy

i noszenia różnych przedmiotów. Na jesień mrówki dostają skrzydelka, które im prędko opadają. W mrowisku roją się jak ogień w zarzewiu. Cały dzień znoszą drobne gałązki, ziarnka, robaczki i gąsienice, których szukają wszędzie, wchodzą też za nimi aż na drzewa. Nieżywego chrabąszcza lub krówkę, rozskubują i po kawałku do mrowiska znoszą. Większy kawałek dźwiga kilka mrówek razem.

Raz mrówka znalazła na drodze grube źdźbło owsa, chciała je zanieść do mrowiska, ale nie mogła go unieść. Co tu robić? Weszła na kamyk i rozglądała się wokoło, jak gdyby szukając pomocy. W tem spostrzegła przechodzące w pobliżu dwie mrówki. Pobieгла ku nim i potarła swemi różkami ich różki. — Mądre stworzenia zrozumiały ją widać, bo zaraz poszły za nią. Teraz trzy mrówki z łatwością podniosły ździebelko, któremu jedna podolać nie mogła, i wkrótce zaciągnęły je do mrowiska.

Samiczka mrówka znosi drobne jak mak jajeczka. Z drobnych jajek lęgną się białe robaczki, którym mrówki pilnie znoszą żywność, a najwięcej słodkie, zielone mszyce, które obsiadają różne kwiatki i groch. Po kilku tygodniach robaczek taki zasklepia się w białym kokonie podobnym do podługowatego jajeczka. Owe białe kulki w mrowiskach nie są to więc jajka, jak je wszyscy nazywają, ale ich zasklepione poczwarki, z których powstają właściwe mrówki-niańki wynoszą troskliwie te poczwarki na słońce, a pod wieczór lub gdy się zanoszą na deszcz, znoszą je na powrót do mrowiska. Gospodarstwo mrówek jest urządzone wzorowo, każdy ma wydzieloną pracę, którą gorliwie wypełnia. Są mrówki matki, są służące, niańki, a także i mrówki żołnierze.

Mrówcze gniazda czyli mrowiska są tak sztucznie przez nie zbudowane, że najlepsi budowniczkowie nie powstydziliby się takiej roboty. Ileż tam salonów, ile korytarzy, schowanek, a każde ma swoje przeznaczenie.

147. Pole i łąka.

Za miastami i łąkami ciągną się pola i łąki. Pola zasiewa rolnik w jesieni lub na wiosnę różnemi gatunkami zboża.

W lecie zboże dojrzewa. Wtedy najłatwiej można rozróżnić rozmaite gatunki zbóż. Na jednym kawałku pola rośnie pszenica, na innym żyto, a dalej widać jęczmień. Zdźbła pszenicy, żyta i jęczmienia kończą się kłosami. Na kłosach osadzone są ziarna, otulone plewami. Zdźbła owsa kończą się wiechą. Na polach rosną też: proso, hreczka czyli tatarka, kukurydza, ziemniaki, len, konopie, koniczyzna.

Wśród łąnów zboża żyją różne zwierzęta. Tu skowronek unosi się nad niwą i wyśpiewuje wesoło. Tam odzywa się przepiórka »pit! pilit!«. Wysoko w powietrzu jastrząb zatacza koła, upatrując zdobyczy. — Myszy polne i chomiki kopią sobie pod ziemią nory. Bojaźliwy zajacek za dnia kryje się w zbożu, a wieczorem wychodzi na żer i przez całą noc aż do wschodu słońca albo chrupie soczystą koniczyinę albo obskubuje owies.

Na łąkach rośnie bujna trawa, biała i czerwona koniczyzna, tudzież różne ładne kwiaty. Dwa razy do roku rolnik kosi trawę na łąkach i suszy ją na siano, którem w zimie karmi swe bydło, konie i owce.

148. Dalej w pole.

Kiedy kwitną kwiatki,	Gdy w chłodnym wieczorze
Kąkole, bławatki,	Milutko na dworze,
Gdy ptaszki śpiewają	Słowik wyśpiewuje,
Pszczółki miód zbierają;	Co serduszek czuje:
Już mnie w domu niema.	Już mnie w domu niema,
Nic mnie nie zatrzyma!	Nic mnie nie zatrzyma!

Kiedy słońce świeci	Gdy wietrzyk powiewa,
A na łączkach dzieci,	Chwieje liściem drzewa,
Otwarte ogrody,	Gwiazdki niebo złocą,
W ogródkach jagody:	Cudownie migocą:
Już mnie w domu niema,	Już mnie w domu niema,
Nic mnie nie zatrzyma.	Nic mnie zatrzyma!

149. Na polu.

W twardem jarzmie po zagonie
Stąpa siwy wół,
Ciągnie, ciągnie pług błyszczący,
Głowę zwiesił w dół;
Za wołami przygarbiony
Dąży stary kmieć,
Pług podnosi i kieruje,
Woła: kso! i heć!
Idą drogą dobrzy ludzie,
Zobaczyli pług;
Czapki zdjęli, pozdrowili:
„Niech pomaga Bóg!“

150. Wierzba na pustkowiu.

Wiatr dał gwałtowny i gwałtowniejsza jeszcze szumiała ulewa, a biedna wierzba, samotnie stojąc na pustkowiu, ugiwała swe gałęzie aż do ziemi i pokornie schylała się przed wiatrem, jakby prosząc go: »nie łam mnie!« a przed deszczem: »nie zięb mnie«. Głucho i czarno było wokoło. Jak daleko sięgnąć okiem,

cały widnokrąg zaciągnięty był nieprzebitymi chmurami, przez które od czasu do czasu przedzierała się ognista błyskawica, oświetlając jaskrawym blaskiem ten zakątek smutny i opuszczony.

Przez zielone listki wierzby, świstał wiatr prze-
rażliwie, wygrywając na jej delikatnych gałązkach, niby na multankach, jakąś dziwnie grobową piosenkę.

Drogą, a raczej bezdrożem, wiodącym ku samotnie stojącej wierzbinie, szło jakieś pacholę, biedne, obdarte, w lekkiej płótniance, z której połami wiatr igrał tak samo, jak z gałązkami wierzby.

Trudo odgadnąć, co wiodło chłopca w te puste strony? Prawdopodobnie spodziewana pod cieniem wierzby ochrona przed deszczem kierowała jego krokami, bo podążał szybko, jakby obawiał się, aby mu drzewo nie uciekło, lub żeby go wiatr nie wyrwał z korzeniami.

Tymczasem powoli zaczęło się rozjaśniać, chmury ustępowały — po gwałtownej ulewie zajaśniała pogoda i słonko zabłysło jakoś rzeźwiej i weselej.

— Mój Boże, pomyślała wierzba, patrząc na połamane od burzy gałęzie; czy jest nademnie bardziej opuszczony i nieszczęśliwy twór na świecie? Wiatr mną pomiata, ulewa łamie gałązki — a znikąd nie mam opieki, ani osłony... I żaląc się tak, strząsała ze siebie grube krople deszczu, które na podobieństwo łez ściekały z jej listków, smutnie obwisłych ku ziemi.

W tej samej chwili, podobne myśli nasuwały się i chłopczynie. I on, jak owa wierzba, czuł się samotnym i opuszczonym, — i on też wyżywał ze swej płótnianki strugi wody, a z oczu płynęły mu łzy gorzkie, łzy prawdziwe.

Był sierotą. Niedawno stracił ojca, a dziś prosto od mogiły matki, puścił się w świat szeroki szukać chleba i przytułku. Puścił się, jak to mówią, na los szczęścia, gdzie wiatr ponieśsie; a los i burza zapędziły go aż tutaj.

Smutnie rozglądał się wokoło, czy nie zobaczy gdzie jakiej chaty lub człowieka, któryby ulitował się nad nim, ogrzał, ugościł i użył tych rąk, które choć słabe jeszcze i nie wyrobione, gwałtem rwały się do pracy, do zajęcia. Ale oprócz tej opuszczonej wierzby, której los dziwnie zdawał mu się podobnym do jego losu, nikogo nie dojrzał na całej przestrzeni.

Cóż miał począć, w jaką obrócić się stronę, gdzie przytulić głowę?

Nie znając okolicy i czując się bardzo zmęczonym, postanowił nie puszczać się już dzisiaj w dalszą drogę, lecz poczekać do wieczora i przenocować pod tą samotną wierzbą.

Do wieczora było jeszcze daleko, — słonko zaledwie połowę nieba obeszło i chłopcu nudziło się w pustej i bezludnej stronie. Łzy go dławiły, tęsknota jak rdza czepiła się duszy; — należało ją czemś odegnąć i odstręczyć od siebie.

Wtem jakaś widać szczęśliwa myśl zabłysła mu w głowie, bo przystąpił do wierzby, obejrzał jej gałązki — a wybrawszy sobie jedną z nich giętką i zieloną, odciął ją zręcznie kozikiem.

— I ten, choć równo biedny, przeciwko mnie! — westchnęła wierzba, smutnie rozmyślając nad swą niedolą.

Tymczasem chłopiec zaczął z tej gałązki kręcić dla siebie fujarkę. W zręcznych i wprawnych rękach robota szła szybko, i za chwilę po dalekich łanach roz-

legł się głos dźwięczny, donośny, a tak chwytający za serce, że nawet ptaki milkły pod jego czarem.

Dzika wierzba ze zdumieniem przysłuchiwała się temu graniu. Czy ona biedna przypuszczała, że w niemych jej napozór gałązkach mieści się tyle tajemniczych tonów? O jakże teraz była szczęśliwa, jakże błogosławiła sierotę za radość, jaką jej sprawił! Mniej już czuła się opuszczoną, skoro była zdolną łagodzić smutek ludzi, skoro się na coś przydała.

A chłopiec nawzajem błogosławił wierzbową fletnię, i dziękował niebu za to, że go tutaj sprowadziło. Łagodne tony fujarki wnosiły mu do duszy upragniony spokój, zapomnienie ciężkiej bolesti i wiarę w przyszłość lepszą, pogodniejszą.

I tak, te dwie sieroty: samotna wierzba na polu i opuszczony chłopiec czuły się szczęśliwymi, nie domyślając się zapewne, że ręka Boża na to je zbliżyła do siebie, aby w zetknięciu się wzajemnem, znalazły radość i pociechę.

Władysław Bełza.

151. Do wierzby.

A kto ciebie, ty wyrzbino, wychował?

A kto fujareczki czarował?

„Wychował ci mnie mój rodzic — ciemny las,

Kędy stoję w chłodnej rosie — aż po pas.

Wykarmiła mnie ta ziemia — ta matka;

Płakiwała ze mną brzoza — sąsiadka.

Czarna rola podawała — chleb i sól...

Wykołysał wiatr szumiący — z łąk i pól.

Latał ci on miesięcznemi nockami

Nad sennemi wioski naszej chatami;

Z starych mogił zbierał skargi i żale

I otrząsał po kalinach korale.

Za nim smutek, łzy sieroce leciały,

Jak po niebie chmur pierzastych smug białe.

Wiatr gałązki moje gibkie całował,
Na fujarki je nastroił, czarował^a.

Marja Konopnicka.

152. Łąka.

Prześlicznie łąka wygląda na wiosnę. Na tle zielonej, bujnej, lśniącej trawy całe miliony kwiatów. Różowe, białe, żółte, niebieskie, lila, purpurowe, wszystkich barw, małe, większe — aż się w oczach mieni, aż chęć bierze, położyć się na tym kobiercu, takim pięknym i świeżym.

Widocznie nęci on nie tylko ludzi, gdyż pełno tu życia: w górze unoszą się roje komarów, brzęczą drobniuchne muszki, uwijają się żółte bąki i motyle; na kwiatach pełno pracowitych pszczołek, a jeszcze niżej mrówki, biedronki-kowale, tysiące drobnych stworzeń ma mieszkanie i pożywienie. Pod ziemią kret buduje swoje nory, w górze śpiewa skowronek, a nad wszystkim świeci pałace, jasne słońce, rozlewając wszędzie życie, światło i radość. Lecz tam tylko łąka tak pięknie wygląda, gdzie czeka spokojnie kosa, która w czerwcu zetnie i śliczne kwiaty i zieloną trawę, aby wyschły na siano suche i pachnące. Wesola będzie kośba przy pogodzie, pełno pieśni i śmiechu, ale potem wyglądać będzie cała przestrzeń jak ostrzyżona głowa i tylko stogi zostaną świadectwem jej bogactwa i hojności. A tam na innej łące pasą bydło. Krowy, owce, barany, nocami konie — zjadły wszystkie piękne kwiaty i zieloną, soczystą trawę; odrasta ona ciągle, ale nadażyć nie może i coraz biedniej na łące, mniej paszy, niedługo trzeba będzie dla tych pożytecznych zwierząt inne znaleźć pastwisko.

153. Na łące.

Za rzeką na łące
Kwiatczków tysiące,

Czerwone, niebieskie i białe;
Aż w oczach się mieni,
Gdy pośród zieleni
Wychylą główeczki swe małe.

I wszędzie wesoło!
Wre życie wokoło
I wszystko radośnie już śpiewa;
I szemrze strumyczek,
I z piosnką słowiczek
Do nas się z gaiku odzywa.

We wrzosach na błoni
Jałówka gdzieś dzwoni
Tu owiec się pasie drużyna,
Używa swobody
Koniczek nasz młody
I trawkę ząbkami obcina.

Pastuszek nieboże,
Wygrywa jak może
Na swojej fujarce z wierzbiny.
Wiatr tony, w dal niesie,
Aż słyhać het! w lesie,
Tę rzewną muzykę chłopczyny.

A słońce wciąż świeci . . .
O! bocian już leci,
Rad z czegoś, bo głośno klekocze.
Tu muszek, pszczoł roje
Tu wszystko jest swoje,
Więc dla nas tak miłe, urocze!

Jak błogo dla serca
Wśród tego kobierca,
Co ściele wiosenka przed nami!
Tu człowiek, o Boże!
Dopiero żyć może
Pełnemi oddychać piersiami.

154. Woda.

Bez wody nikt się obejść nie może. Jest ona tak
niezbędna dla naszego życia jak powietrze, ziemia

i ogień. Najzdrowszy to ze wszystkich napojów! — W wodzie gotujemy pożywienie, woda udziela naszej bieliźnie tak niezbędnej czystości; w niej też żyją hoże, ładne rybki. Woda posila zarówno zwierzęta jak rośliny. Niektóre wody posiadają własność leczenia rozmaitych chorób.

Woda porusza wiele maszyn i młynów, a w postaci śniegu w zimie chroni rośliny od wymarznienia. Gdyby deszcz przestał padać, to ziemia zamieniłaby się wkrótce na wielką pustynię, gdyż wszystko, co żyje, pomarłoby z głodu i pragnienia. Niestety! deszcze tak pożyteczne i dobroczynne, sprawiają nieraz groźne wyłewy!

155. Kropla deszczu.

Spadła z nieba kropla mała,
Na kwiatku się zatrzymała.
Aż w tem patrzy — po dolinie
Więcej takich kropel plynie;
Więc się z niemi razem łączy
W strumyk, co się cicho sączy
I przepływa przez sadzawkę;
Ryby mają tu zabawkę.
Do młynówki znów się zwraca;
Młyńskie koła z nią obraca.
Wpada w rzekę naostatek,
I ładowny dźwiga statek.
Wreszcie z rzeką kropla mała
Aż do morza się dostała.
Cóżby z morzem się zrobiło,
Gdyby kropel w nim nie było?

156. Rosa i szron.

W gorące dni letnie słońce grzeje tak silnie, że wszelka wilgoć na ziemi ulatnia się i jako para napętnia powietrze. Gdy wtenczas nalejemy zimnej wody

do szklanki, powierzchnia szklanki wkrótce się zwilży. Woda oziębiła szklankę, oziębiła także parę przezroczystą, która znajduje się w powietrzu dookoła szklanki, a ta oziębiona para osiada jako rosa na szkłe.

Zupełnie tak samo dzieje się na łąkach, w lasach, w ogrodach. Po zachodzie słońca, trawy, drzewa i wogóle wszystkie przedmioty ogrzane, rozpraszają swe ciepło i oziębiają się coraz bardziej. Para, która je otacza, ochładza się i osiada na nich jako rosa.

Zauważyliście nieraz, że jasne noce są daleko chłodniejsze, niż pochmurne. Chmury zatrzymują ciepło, które ziemia wydziela; dlatego w pochmurne noce rosy wcale niema, lub też tworzy jej się bardzo mało. Powiadają wtenczas gospodarze, że będzie deszcz; istotnie, można go się spodziewać, bo dużo pary zostało w powietrzu. Zato po obfitej rosie, z którą wiele pary ubyło z powietrza, bywa zwykle nazajutrz pogoda.

Utrzymują nieraz, że rosa spada. Mniemają, że ona pada z powietrza, niby drobny deszcz. Tak nie jest. Rosa osiada naokoło przedmiotów oziębionych, tak dobrze z góry jak z dołu i z boków.

W późnej jesieni noce są znacznie chłodniejsze, a para, bardziej ostudzona, zamarza. Tworzy się wtedy szron.

157. Ryby.

Ryby należą do stworzeń, żyjących w wodzie. Jedne z nich zamieszkują morza i oceany, — inne tylko rzeki, jeziora, stawy i strumienie. Lecz bywają także i ryby wędrowne: tak, na przykład, łosoś i jesiotr dla złożenia ikry uchodzą z morza do rzek; węgorze zaś postępują odmiennie: wylęgają się w morzu i jako młode rybki do wód słodkich ciągną.

Zawsze więc ryby żyją we wodzie, ale jednak mogłyby się w niej utopić, prawie tak samo, jak człowiek, zwierzę lub inne stworzenie na ziemi żyjące.

Ryba ma narzędzia do oddychania potrzebne, t. j. skrzele, urządzone w ten sposób, jak gdyby wysysała niemi powietrze, znajdujące się w wodzie; jeżeli więc z jakiegobądź powodu przyływ wody byłby do skrzel za wielki i ryba musiałaby tę wodę polykać, to utonąłaby z pewnością. Dlatego też ryby najlepiej lubią płynąć pod wodę, bo gdy skrzele rozszerzą, to woda splywa po nich, — płynąc zaś z wodą muszą się od wielkiego przybytku ciągle bronić.

Ciało ryb jest zwykle pokryte łuskami; niektóre jednak, np. jesiotr, zamiast łusek posiadają kostne tarcze, a zamiast twardego szkieletu — chrząstki.

Gęsta, kleista materja pokrywa ciało ryby, broniąc wodzie dostępu do skóry.

Ryby żywią się w najrozmaitszy sposób: jedne szukają robaczków w mule i w piasku, inne zjadają gnijące części roślinne lub zwierzęce, inne wreszcie polykają mniejsze od siebie ryby.

Z ryb rzecznych pstrąg i łosoś, ryba wędrowną, mają najsmaczniejsze mięso. Najżarłoczniejszą z ryb jest szczupak; żadne stworzenie wodne nie jest przed nim bezpieczne: pożera owady, płazy, ikrę, chwytą nawet ptactwo wodne; zdarzało się czasem, że polykał drobne sztuki bielizny, pranej lub płukanej w rzece. Dlatego też nie hodują szczupaka razem z innymi rybami, lecz w osobnych stawach wraz z gorszymi gatunkami ryb, którymi się żywi.

Z wędrownych ryb pewien gatunek jesiotra, zwany wyzem, jest bardzo cenną rybą morza Czarnego i je-

ziora Kaspijskiego. Ikra tego jesiotra, stosownie przyrządzona, nazywa się kawiozem.

Między morskimi rybami najważniejsze są śledzie, sardynki i wążłusze. Pływają one wielkimi gromadami i poławiają się w znacznej ilości. Mięso wążłuszków, nie solone, a tylko wysuszone na wietrze, znamy pod nazwą sztokfisz.

W morzu żyją ryby bez porównania większe, niż w wodach słodkich. Niektóre są drapieżne, tak jak nasz szczupak. Do takich należy między innymi gatunek rekina, zwany ludojadem dlatego, że rzuca się nie tylko na ryby i foki, lecz nawet i na człowieka, któremu jednym cięciem zębów może odgryźć nogę. Ludojad ma 10 metrów długości. Jego chropawa skóra, zwana szagrynem, używa się na zbytkowne oprawy.

158. Szczupak.

W pewnem jeziorze żył szczupak. Był on już stary i silny, o wiele dłuższy i grubszy od ludzkiej ręki. Grzbiet miał szaro-zielony z ciemnymi plamami, brzuch jaśniejszy, całe ciało pokryte łuskami. Miał dużą paszczę, a w niej pełno ostrych zębów. Oj, źle się miały rybki, gdy wpadły w tę paszczę. Od wielu lat rozbójnik ten zamieszkiwał to jezioro i uganiał się za mniejszymi rybami: karpami, linami, płotkami, karasiami, nie gardząc nawet żabami. Biedne ryby chowały się przed nim w muł, w rośliny wodne, zawsze na próżno. Widząc, że go się mieszkańcy wód boją, sądził, iż jest panem tych wód.

Razu jednego płynie, szukając sobie pożywienia, patrzy, a tu rusza się w wodzie jakiś duży robak. Otworzył aszczę i połknął go. Ale do gardła wraz

z robakiem dostał się haczyk od wędk. Uwiąził mu w gardle i zaczął się o skrzela.

Cieszył się rybak, gdy wyciągnął szczupaka na brzeg, cieszyły się i rybki, że już będą mogły żyć spokojnie w jeziorze.

(»Snopek.«)

159. Ślimak.

Dziwne to stworzenie! Nie może wyjść ze swego domku i nosi go zawsze na sobie. Chodząc wysuwa ze skorupy dolną część ciała, tak zwaną stopkę i pęza bardzo powoli, że aż ten jego chód wszedł w przysłowie »Wlecze się jak ślimak« mówimy o człowieku bardzo powolnym i ślamazarnym.

W razie niebezpieczeństwa chowa się cały do skorupy i wyłazi dopiero, gdy niebezpieczeństwo minie. Ma on głowę wyraźną, a na niej różki z oczami na końcu. Różki te wysuwa, gdy się chce obejrzeć za pożywieniem.

Skorupa ślimaków jest rozmaicie skrzycona i często bardzo pięknie ubarwiona; ale bywają także ślimaczki nagie. Spotykamy je na warzywie, kwiatach, krzewach; są one nieraz wielkimi szkodnikami.

Oczyszcza ogród ze ślimaków brzydka ropucha i dla tego jest u ogrodników w wielkim poszanowaniu.

Podobne do ślimaków są także małże czyli muszle, które żyją w wodzie. Składają się one z dwóch skorupiek i otwierają je, jak książka. Niektóre muszle morskie są prześliczne.

W tak zwanych perłopławkach, znajdują się kosztowne perły; innych ciało bywa jadalne, n. p. muszli i ostryg; uważane są one nawet za wielki przysmak.

160. Zając i żaby.

Szedł sobie raz zając, a był bardzo smutny i zapłakany. Żalność go wielka zdjęła, że taki marny jest los jego. Żadne stworzenie nie boi się zająca, a on musi się bać każdego. Więc poszedł nad rzekę i myśli sobie:

— Utopię się i będzie koniec wszystkiemu! Prześladowają mnie nieustannie, i człowiek i pies i wilk i jastrząb i sowa. Utopię się . . .

To mówiąc, ruszył do wody. Aż tu żaby wystraszone: skik! skik! uciekają przed nim, gdzie mogą. Uradował się zając ogromnie i przekonał się, że są stworzenia, które także jego się boją. Zamiast się topić — wrócił do lasu z miną zuchowatą.

161. Zając.

Zając należy do zwierząt bardzo bojaźliwych. Ma on długie uszy, inaczej zwane słuchami, któremi strzyże i chwytą głosy, miarkując, czy nie zbliża się nieprzyjaciel. A tych nieprzyjaciół zając ma wielu. Najpierw myśliwi, następnie psy, jastrzębie, sowy, a nawet wrony polują na biedaka.

Zając nie chodzi, a skacze, gdyż ma tylne nogi dłuższe od przednich; sierć jego jest koloru szarego, pod brzuchem białego. Żywi się roślinami i ogryza korę z drzewek. Gdy go psy i strzelcy tropią, stawia słupka, t. j. podnosi się na tylnych nogach, wyciąga uszy i uważa skąd głosy idą: a słuch ma doskonały.

Mięso zająca jest bardzo smaczne. Skórki używają na futra, a z sierci robią kapelusze.

162. O czym ptaszek śpiewa?

A wiecie wy, dzieci,
O czym ptaszek śpiewa,

Kiedy wiosną leci
Między nasze drzewa?

Oj śpiewa on wtedy
Piosenkę radosną:
„Przeminęły biedy,
Gaj się okrył wiosną!”

Latał on za góry,
Latał on za morze...
Za nim ciężkie chmury,
Przed nim złote zorze.

Oj śpiewa on sobie
Z tej wielkiej uciechy,
Że do gniazda wraca,
Do swej miłej strzechy.

Teraz się zmieniła
Pogoda na świecie:
Nasza wiosna miła
Odziała się w kwiecie...

Tak i dola nasza,
Choć nam się zasmuci,
Wróci nam z piosenką,
Z słoneczkiem nam wróci!..

Marja Konopnicka.

163. Zwiastuny wiosny.

Znikły śniegi, stopione ciepłemi promieniami słońca. Zielona trawka dobywa się tu i owdzie z ziemi. Wracają też do nas te ptaki, które w jesieni do cieplejszych krajów odleciały. Wrócił bocian i klekoce z radości, że odszukał przeszłoroczne gniazdo. Jaskółki uwijają się w powietrzu, świergocąc. I one albo naprawiają stare gniazdzka, albo lepią nowe. Mała popielata pliszka skacze wesoło nad strumykiem, potrząsając długim, czarnym ogonkiem. Wrócił i skowronek: podlatuje z roli ku niebu i nuci piosnkę na chwałę Bożą. Te ptaki wracają do nas najwcześniej; one zwiastują nam, że się wiosna zaczęła. Nazywamy je też »zwiastunami wiosny«. Po nich wracają do nas kukułki, kosy, drozdy, szpaki, przepiórki, słowiki i wiele innych ptaków. Jedne osiadają po polach i łąkach, inne po lasach i ogrodach. Śpiewem swym i gwarem ożywiają przyrodę a i człowiekowi niemałe oddają usługi, tępiąc szkodliwe robactwo.

164. Poranek wiosenny.

Słońko majowe
Ze snu już wstaje,
We mgłach różowe,
Wyzłaca gaje,
Przez chmur koronkę
Patrzy ciekawie,
Biegnie przez łąkę
Kąpać się w stawie;
Promyki drżące
Po drzewach wiesza,
I budzić śpiące
Kwiatki pospiesza;
Ukradkiem z cicha
Pączki rozwija,
I w lot z kielicha
Rosę wypija.

O, ileż blasku!
Jakże uroczo!
W pobliskim lasku
Ptaszki szczebiocą,
A z tego drzewa
Co pod oknami,
Słowiczek śpiewa
Pieśń nad pieśniami.
Piosenka płynie
Dalekiem echem,
Chaty w dolinie
Wtórzą jej śmiechem.
Wszystko się budzi,
Do zajęć wraca,
Ożywia ludzi
Radość i praca.

Adam Asnyk.

165. Śpiewak majowy.

1. Pogodny, cichy i ciepły wieczór majowy; woni rozkwitłego jaśminu rozchodzi się dokoła, a perełki rosy w promieniach księżyca drżą i błyszczą na listkach i trawkach. Posnęły ptaszki, pszczołki, żuczki, motylki; żadnego brzęku, żadnego nawet szmeru niema w ogródku, tylko — cisza, zmrok, blaski i wonie.

2. Wtem odezwał się głos jakiś silny, przenikający, a jednak tak słodki, że wpada nie tylko do ucha, ale i do serca. Cóż to za śpiewak nuci wśród cieniów nocy? Czyż dla tego wybrał sobie taką chwilę, aby mu nikt nie przeszkadzał? Śpiewa, śpiewa, coraz wyższych dobywa tonów, urozmaica je trylami na coraz smętniejszą nutę.

W ogródku cisza. Zdaje się, że i drzewa i krzewy wsłuchane są w tę pieśń cudowną, bo ani gałązka się ruszy, ani listek zaszeleści.

3. Tym śpiewakiem jest słowik, szare, drobne ptaszę, przylatujące na wiosnę, a opuszczające nas w jesieni. Ten śpiew trwa niedługo, a na święty Wit już słowik cyt!

166. Podanie o słowiku.

Cierpiała Matka Boża, gdy syn Jej, Pan nasz Jezus Chrystus, na krzyżu umierał.

Cierpiała najwięcej ze wszystkich ludzi na świecie!

Wtedy przyleciał słowik i nieśmiało począł z cicha nucić swej Pani ... Chciał ją pocieszyć ... smutek złagodzić.

A Pani nasza podniosła oczy ku śpiewakowi i rzekła dobrotliwie:

— Śpiewaj głośniej, ptaszyno!

Gdy raz do roku, na wiosnę święci się pamiątka Matki Boskiej Bolesnej, wówczas przylatuje słowik i śpiew swój zaczyna.

Mija lato ... na parę tygodni przed świętem Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny, które 15 sierpnia przypada, odlatuje słowik do borów, zwołuje skrzydlatych braci śpiewaków.

— Śpieszmy do nieba! Królowa nasza zaraz tam przybędzie. Powitajmy ją!

Odlatują śpiewacy leśni, odlatują do raju, by tam przez zimę całą śpiewać Matce Bożej.

167. Skowronek.

Ledwie pierwsze śniegi zniknęły, a już z ciepłych krajów powrócił skowronek; wzleciał nad łąkami i, śpiewając wesoło wznosi się coraz wyżej i wyżej: trzepocząc skrzydełkami, zawisł w powietrzu, a potem spuszcza się powoli na ziemię.

Z początku po długiej podróży odpoczywa sobie jeszcze skowronek — lata i śpiewa. Ale oto pole już zorane, rolnik rzucił w ziemię ziarno, — skowronek zabiera się do pracy. Samiec z samiczką wybierają dołek w ziemi i ścielą w nim gniazdo, potem samiczka znosi jaja. Kiedy samiczka siedzi na jajach, samiec wyszukuje dla niej pożywienia, rozwesela ją śpiewem: powracając ze swych wycieczek, zaświergoce w powietrzu na znak, że już wrócił, spuszcza się, staje na ziemi, biegnie do gniazdka. Kiedy małe powychodzą z jajek, wtedy ojciec i matka starają się o to, aby je wykarmić i wychować. Przynoszą im robaczki i owady, które wygrzebują z ziemi; uczą je żywić się, latać, świergotać.

*
• •

Gdy tylko skowronięta trochę podrosną, wychodzą z gniazdka, rozlatują się na wszystkie strony i pojedynczo pod brylkami ziemi siedzą, piszcząc ustawicznie o jedzenie. Pomimo, że jedno od drugiego dość daleko siedzi, rodzice o żadnym nie zapomną: wiedzą zawsze, gdzie które przebywa. Jednemu donoszą robaczka, innemu poszarpaną lizkę, temu pajaka lub glistę, tamtemu konika polnego lub świerszcza. Do wieczora cała rodzina jest już nakarmiona, wszyscy śpią doskonale.

A prędko i pilnie muszą rodzice wykarmić i nauczyć dzieci śpiewać, latać i szukać robaczek, bo czasu mają nie wiele. Wkrótce trzeba drugie jaja znosić, wysiadywać je, znowu dzieci karmić i wychowywać, a w jesieni przygotować się do podróży i dzieci poprowadzić w dalekie kraje.

168. Podanie o skowronku.

Dzień był smutny. Najsmutniejszy z wszystkich dni na świecie!

Przybity na krzyżu umierał Pan nasz... nasz Bóg! Pan Jezus umierał! Żli ludzie wtłoczyli Bogu na głowę koronę cierniową. Z ostrych cierni koronę! Z pod każdego ciernia krew spływała. Patrzyli na to ludzie, patrzyły zwierzęta; wszystko stworzenie patrzyło na ból Stwórcy swego. Ale nikt z pomocą nie pośpieszył.

Aż przyleciało jedno małe, szare ptaszę. Słabym dziobkiem uderzyło w koronę cierniową. Ostry kolec wyrwało z rany.

»Chociaż o jeden ból, o jedną ranę mniej będzie«. Tym ptaszkiem był skowronek.

Nagrodził Bóg litościwe serce... Wyróżnił skowronka z pośród innych ptaków. I jemu jednemu tylko pozwolił śpiewać w locie... wysoko pod samem niebem.

*
*
*

Na świecie radość, bo wiosna przyszła. Śpiewają ptaki, śpiewają ludzie. Gwar, hałas, okrzyki.

W tem weselu zapomniano trochę o pracy. Bawią się, stare ziarno mielą na mąkę, a do nowego jeszcze daleko.

Niepokoi się tem Pan Jezus wielce i pyta świętego Wita:

»Święty Wicie, czy już jest piątka w życie?«

Ale na świecie hałas taki, że święty Wit próżno ucha nadstawia. Nie słyszy, o co go Pan Jezus pyta.

Więc woła:

»Nie słyszę Panie, póki nie przestanie ptaszkowe śpiewanie«.

Skinął Pan . . . ucichły ptaki jeden po drugim.

A był to znak, żeby ludzie po wypoczynku zabrali się do pracy.

169. Podanie o kukułce.

Słońce zgasło. Wieczór nadchodził. Piaszczystą drogą zwolna postępowali podróżni. Odzienie ich ubogie, zapylone.

Kto oni ?

Starzec siwy prowadzi osiołka, na grzbiecie zwierzęcia siedzi matka i tuli do siebie dziecię. Kto oni ?

To dziecię w grube pieluszki spowite, to Pan świata całego, Bóg nasz, Jezus Chrystus !

Okrutny i zły król Herod rozkazał pozabijać wszystkie nowonarodzone chłopięta, więc Matka Boża z Przenajświętszem Dzieciątkiem ucieka. Święty Józef towarzyszy jej w drodze.

Już późno. Wędrowcy zmęczeni. Trzeba spocząć.

Ale nuż pogoń nadbiegnie ?

W oddali widać gaj palmowy. Tam chłód, tam wypoczynek, tam źródło czystej wody bije.

Schroniła się do gaju Matka Boża, złożyła Przenajświętsze dzieciątko na mchu mięciutkim, uklęka i modliła się.

Cicho w gaju palmowym. Nawet woda w źródle szemrać przestała, by nie przerywać snu Boskiej Dziecinie.

W tem rozległ się wrzask dziki. To pogoń nadbiega. Rozglądają się najeźdźcy po okolicy . . . Nic nie widać. Mgła otuliła gaj palmowy.

Pytają przechodniów . . . Nikt nie mówi. Któżby chciał być zdrajcą ?

Znalazł się zdrajca. Kukulka widziała, gdzie się po-
dróżni skryli, więc siadła na wyniosłej palmie i wołać
zaczęła:

— Ku - ku! Ku - ku!

A miało to znaczyć:

— To tu... To tu...

Lecz pogoń nie usłyszała złego ptaka i pomknęła
dalej.

Od tej chwili za karę kukulka niema swego gniaz-
da, nie tuli nigdy swego pisklęcia.

I zawsze błąka się sama, zawsze nawołuje:

— Ku - ku! Ku - ku!

170. Do sikorki.

Ej, sikorko, sikoreczko!

Nie ściel gniazda, kochaneczko,

Nie ściel-że go nade drogą,

Bo ci gniazdo popsuć mogą!

Uściel lepiej tam w gęstwinie,

Tam w gęstwinie na leszczynie,

Gdzie się listek nie zachwieje,

Nikt się gniazda nie spodzieje.

Oj, sikorko, sikoreczko!

Nie wierz temu, kochaneczko!

Bo i w gąszczach po orzeszki

Pastuszkowie depczą ścieżki.

Ej, sikorko, sikoreczko!

Uściel gniazdko kochaneczko.

Lepiej w borze na joworze,

Gdzie go dostać nikt nie może.

Oj, sikorko, sikoreczko!

Nie wierz temu kochaneczko!

Jak ten jawor zetną kiedy,

Cóż z gniazdeczkiem będzie wtedy?

Ej sikorko, sikoreczko,
Więc na sośnie ściel gniazdeczko:
Sosna zawsze zielenieje,
Wiatr gniazdeczka nie rozwieje.

Oj, sikorko, sikoreczko!
Nie ściel gniazdka tak daleczko:
W naszym sadku na jabłoni,
Tam się gniazdko lepiej schroni.

My i płotek zapleciemy
Jeno, miła sikoreczko,
W naszym sadzie ściel gniazdeczko.

171. Do wróbelka.

Mój wróbelku, szare ptaszę
Ty nie lecisz w kraje inne;
Szczерze kochasz strony nasze,
Ty je wolisz, bo rodzinne.

Ty, ptaszyno, w każdej doli
Losy nasze z nami dzielisz,
Pozostajesz na tej roli
Świergotaniem nas weselisz.

Tobie wicher, mróz nie szkodzi,
Biedak z ciebie, gdy jest zima;
Zjadasz ziarno, gdy się zrodzi,
W zimie cobądź, gdy go niema.

Ucz nas, ptaszku ulubiony,
Tem się cieszyć co Bóg zsyła,
Szczерze kochać piękne strony,
Gdzie kolebka nasza była.

172. Wróbel.

1. Miły to ptaszek i zawsze wesół. Ćwirka radośnie i skacze, nie ucieka od ludzi, a tylko w zimie gdy mrozy są ostre, chowa się pod dachy, milknie i nieraz ginie. Lecz niech tylko mróz zwolnieje, to zaraz wróbel odzyskuje swą wolność; krząta się, szu-

kając pożywienia i odzywa się z pod strzechy lub wierzchołka nagiego drzewa. Lubi ziarno, owoce, zwłaszcza czereśnie i wiśnie, ale zjada także wiele much, komarów, gąsienic, czem człowiekowi oddaje wielkie przysługi.

2. Młode swoje karmi wyłącznie owadami, a gniazda zakłada pod strzechą lub na drzewie; czasem jaskółkę z własnego gniazda wypędza i sam się w niem zakwateruje, taki to z niego niecnota.

3. Czyż przypomnieć jeszcze potrzeba, jak wygląda? Wszyscy znamy go dobrze i poznajemy odrazu po szarych, upstrzonych na brunatno lub czarno piórkach. Lubimy tego małego hultaja za jego wesołość, za to, że nam drzewa z liszek oczyszcza i że w zimie od nas nie odlatuje.

173. Kruk.

Kruk, jeden z najrozumniejszych ptaków, jest pod wielu względami dla nas szkodliwy. Wytrzymały na zimno, gdyż jest ciepłym puchem pod pierzem okryty, już w marcu, a niekiedy nawet w lutym składa jajka. Trudo zrozumieć, jak kruk wytrzyma na jajach przy śnieżycach i mroźnem powietrzu, jak pisklęta nie pomarzną w gnieździe.

Nadzwyczajnie ostrożny, rzadko narazi się na niebezpieczeństwo. Rozróżnia ludzi i wie doskonale, komu można zawierzyć, a kogo się lękać wypada. Posuwa ostrożność do tego stopnia, że gdy widzi niebezpieczeństwo dla piskląt, zabiera je w szponach do innego gniazda, zanosząc jedno po drugim w oddalone nieraz lasy.

Część dnia kruk krąży wyżej i niżej, upatrując zdobyczy na ziemi, — lub też, siedząc na suchej ga-

teży, bada z uwagą widnokrąg. Drób domowy porwie, padlinę sprzątnie, jak grabarz; wypija jaja w gniazdach i porywa pisklęta, — a w czasie głodu zjada nawet żaby, jaszczurki, pędraki. Poluje zawzięcie na skrzeczki i susły, żyjące gromadnie i zagnieżdżone w niektórych okolicach. A susły wyrządzają szkody, kopiąc nory, zjadając ziarna zbożowe i znosząc wielkie zapasy do spiżarni zimowej.

W zimie kruk zręcznie poluje na zające; nieraz woła do pomocy drugiego kruka i najczęściej pokonywa ofiarę.

Kruk żyje, jak twierdzą uczeni, około stu lat.

W gnieździe rzadko bywa czworo piskląt, a wychowa się najwięcej dwoje lub troje. Wychowawszy i wyuczywszy swe dzieci, rodzice pozostają w parze, lecz żyją w dosyć znacznem oddaleniu; wszakże zwołują się zawsze do pożywienia, jeśli które znajdzie więcej, niż może zjeść.

Kruk rozumie doskonale, że na polowaniu zwierz bywa często postrzelony i ginie po gąszczach leśnych — to też towarzyszy zwykle myśliwym i, lecąc, ściga uchodzącą zwierzynę; jeżeli zdrowa porzuca pogoń i powraca do myśliwych, — jeżeli padnie, lub poczyną farbować na śniegu, wtedy donośnem krakaniem zwołuje rodzinę na biesiadę. Krakanie to dobrze znane dostarczyło myśliwym niejednego dzika lub sarnę, które bez niego pozostałyby w lesie.

Dobłą stroną kruka jest łowienie skrzeczków, susłów, myszy, szczurów wodnych, pędraków; usługi jednak te są mniejsze niż szkody w drobiu i zwierzynie, jakie nam wyrządza.

Jako grabarz, kruk bywa pożyteczny. Węchem i wzrokiem odkrywa padlinę, grobowem swem kraka-

niem zwołuje inne kruki, i niebawem kruki te usuwają zdechłe zwierzę. Jest on u nas zastępcą sępa.

Złowiony za młodu i chowany w domu, tak się obłąskawia, że nie myśli o ucieczce, a nawet obawia się i unika dziko żyjących kruków. Łatwo bardzo wyucza się wymawiać rozmaite wyrazy i naśladuje głosy różnych zwierząt i ptaków. Ma przytem jak sroka, wielki pociąg do złodziejstwa: kradnie różne szczególnie błyszczące rzeczy i z największą ostrożnością chowa je do swej kryjówki.

M. Brzeziński.

174. Sowa.

1. Noc zapadła. Ze strony opuszczonej wieży wyfrunął ptak. Spał on tam przez dzień cały w ukryciu i zbudził się dopiero, gdy mrok ogarnął ziemię.

2. Lot jego cichy, choć ciało duże, a skrzydła długie i mocne. Nie może on jednak robić hałasu, bo wszakże wyleciał na połów. Swemi wielkimi, okrągłemi oczami dostrzegł polną myszkę. Rzuca się na nią szybko i znienacka, chwyta w ostre szpony, rozdziera zakrwawionym dziobem. Promień księżyca pada na jego głowę, okrągła jak u kota, na wystające uszki, na pióra miękie, puszyste, szaro-brunatne.

Uczta skończona; myszka zgineła w gardle drapieżnika, który spogląda naokoło, upatrując nowej ofiary, raz po raz huka złowrogo.

3. I cóż to za ptak, który śpi, gdy boże słońko przyświeca, a lata i odzywa się pośród nocnych cieni? To sowa albo pokrewny jej puszczyk. Brzydkie to ptaki; głos mają przeraźliwy, ale są pożyteczne rolnikowi, bo tępią myszy polne, szczury, chomiki, które tyle szkody wyrządzają w polach i śpichlerzach.

175. Żórawie.

Niemaleni szkodnikami są żórawie, duże ptaki, wyglądające z daleka jakby szare bociany, z czerwoną łatką na głowie. Szczególnie niszczą one na wiosnę świeże zasiewy grochu i gryki, a w jesieni żyta i pszenicy.

Ptaki te, bardzo ostrożne, niełatwo dadzą się podejść strzelcowi. U nas przebywają głównie na wiosnę i w jesieni podczas przelotu.

Wtedy to można widzieć wielkie stada żórawi, zgromadzone na obszernych polach lub błoniach. Jedne pasą się spokojnie, inne tymczasem, stojąc na wyniosłych miejscach, rozglądają się po okolicy. Za najmniejszym niebezpieczeństwem, na chrapliwy głos, zrywa się całe stado; ciężko, powoli wzbija się coraz wyżej i wyżej, to latając bezładnie w powietrzu, to wyciągając się w długi klucz, złożony z dwóch stykających się na przodzie szeregów.

W tych okolicach kraju, gdzie są rozległe bagna, część żórawi zostaje i zakłada gniazda. Są one obszerne i składane z długich suchych traw, branych po większej części ze starych pokosów, grubo nasłanych na płaską, zaokrągloną grudę ziemi, wzniesioną więcej lub mniej, stosownie do suchości lub zalania miejsca. W ostatnim wypadku żórawie często nagarniają na jedno miejsce dużo mchu i na nim dopiero na stopę wysokie gniazdo budują. Jaj składają żórawie dwa. Mięso żórawie jest niesmaczne, czarne i twarde. Młodo złowiony ptak ten łatwo się oswaja i przywiązuje do człowieka.

M. Brzeziński.

176. Żórawie.

Pod tą cichą, złotą zorzą
Żórawie leciały;
Z tem szerokiem pustem polem
Krzykiem się żegnały.

Ty szerokie puste pole,
Ty czarny ugorze!
Już my lecim, odlatujem
Za to sine morze!

Już my lecim, odlatujem
W te powietrzne drogi,
Nie będą nas więcej żywić
Twoje chlebne brogi.

Nie będą nas więcej poić
Wody strumieniące,
Nie zakrzyknem już hejnału
Na to ranne słońce!

Nie zakrzyknem już hejnału
Bijący skrzydłami,
Nie zaszumią nasze pióra
Nad temi łąkami.

Nie zaszumią nasze pióra
W chorągwiane loty,
Nie poniosą twoich pieśni
W błękit jasny, złoty!

Hej szerokie puste pole,
W sinych mgłach stojące,
Czekaj ty nas, jak zaświeci
To majowe słońce!

Czekaj ty nas, a wyglądam
Od zachodniej strony,
Jak zapachną trawy twoje
I ten gaj zielony.

Czekaj ty nas, a wyglądam
Rankami cichymi,
Jak się wiosna rozbłękitni
Dookoła ziemi!

A my drogi nie zagubim
Przez to morze sine,
Po pióreczku rzucić będziem
W szumiącą głębinę

A my drogi nie zagubim
Z powrotem do ciebie,
Poznamy ją po tej zorzy,
Po tem bładem niebie . . .

Poznamy ją po tej rosie,
Co na tobie świeci,
Po tych jasnych lnianych główkach
Twoich małych dzieci!

Lecą, lecą, odlatują
Żegnać ich żalosno . . .
Nie smuć-że się, puste pole,
Wróć, wróć wiosną.

Marja Konopnicka.

177. Uprawa roli.

Skoro tylko ludzie spostrzegli, jak pożywnemi są ziarna zboża, poczęli je zasiewać i starannie uprawiać.

Przysłowie mówi, że bez pracy nie będzie kołaczy. Istotnie trzeba ponieść niemało trudu, żeby otrzymać chleb gotowy do jedzenia.

Przedewszystkiem trzeba uprawić rolę pod zboże.

Dajmy na to, że mamy kawał pola zapuszczony, na którym rosną tylko dzikie trawy i zioła. Takie pole, zostawione na jakiś czas bez uprawy, nazywa się ugorem. Chcemy ten ugor uprawić np. pod żyto:

Naprzód tedy musimy już mieć przygotowany w oborach i stajniach nawóz bydlęcy lub koński, pomieszany i przegniły ze słomą.

Nawóz ten od najpierwszych dni wiosny wywozimy na ów ugor i rozkładamy go kupkami; potem rozrzućmy go widłami po całym polu cienką a równą warstwą i przyorujemy go za pomocą pługa; ta pierwsza orka odbywa się najpóźniej w kwietniu.

Po przyoraniu nowozu rolę się drapie, czyli bronuje za pomocą brony.

Tak uprawiona na wiosnę rola porasta przez lato bujnie trawą i różnemi ziołami.

Przy końcu sierpnia musimy jeszcze raz tę rolę zaorać i znowu zbronować.

Teraz przystępujemy już do siewu ziarna, oczyszczonego uprzednio od wszelkich domieszek. Rzucamy je na rolę albo ręką, albo rozsypujemy za pomocą długiej skrzynki z otworami u dołu, zwanej siewnikiem, umieszczonej na kołach, a ciągnionej przez konie. Siew odbywa się u nas głównie pod jesień; wtedy zboże kielkuje przed zimą i wygląda jak trawa, — potem spoczywa pod śniegiem przez zimę, a na następną wiosnę rośnie szybko aż do lata.

Kiedy wyrosną kłosa i dojrzeją, odbywa się żniwo.

178. Żniwa.

1. Lipcowe słońce dogrzało, a w jasnych jego promieniach łany zboża niedawno jeszcze zielone, zmieniły stopniowo swą barwę i stały nareszcie całe w złocie i w srebrze, jak w uroczyste gody. O bo też rzeczywiście gody nadeszły. Żniwa dla rolnika, to czas największego mozołu, ale też największego wesela: zbiera on wtedy owoc swej pracy, plon swych trudów.

2. Najwcześniej dojrzewa żyto. Gdy obszerne jego łany zabłysną srebrem, rolnicy wychodzą z kosami w pole. Odtąd już robota nie ustaje i trwa przez kilka tygodni. Po życie trzeba sprzątać pszenicę, potem jęczmień, owies, a na końcu brunatne gryki, które na początku żniwa stały jeszcze obsypane białem wonnem kwieciem.

Słońce nieraz żar ognisty leje z nieba; z ogorzałych twarzy spływa trójpot wielkimi kroplami, lecz żniwiarze i żniwiarki nie ustają w pracy; jedni koszą,

drudzy żną, inni wiążą zboże w snopy i układają na półtoraczne wozy, aby je zwieść do stodoły.

3. Żniwa skończone: ścięto ostatnie zagony, zebrano ostatnie snopy. Po pracy należy się zabawa i odpoczynek. To też grajkowie wiejscy stroją skrzypeczki, basista smyk pociąga, bo wieczorem mają rażno zagrać na dożynkach. Przodownik i przodownica, to znaczy ci, którzy w czasie żniw pracowali najpilniej i szli zawsze na przedzie, występują w kłosianych wieńcach, a cała gromada żniwiarzy i żniwiarek będzie tańczyć i weselić się duszą całą, że trud skończony, stodoły pełne i chleba nie zabraknie.

179. Żniwo.

Przepióreczka się odzywa,	A ode wsi słyhać śpiewki:
Rozpoczęli ludzie żniwa;	Spieszą chłopcy, spieszą dziewczki
Brzęczą sierpy, brzęczą kosy,	Niosą grabie, w pole dążą,
Ciężkie ziarnem lecą kłosy.	Za żeńcami snopy wiążą.

Co powiążą ciężkie snopy,
To składają je na kopy.
Dobra ziemia łaska Boża,
Będzie chlebek z tego zboża.

180. Okrężne.

Już kończą się żniwa. W polu, na świeżem ściernisku stoją rzędami kopce, a drogą do wsi toczą się wozy ze snopkami. Rolnik uwija się żwawo, korzystając ze sprzyjającej mu pogody, i cieszy się, widząc, że Pan Bóg pobłogosławił jego pracy. Nie wybił mu zboża grad, nie wypaliła susza: więc jest się czem weselić, jest też za co ziemi rodzinnej błogosławić.

Ostatnią niezżętą garść zboża zostawiono dla przepiórki, a dziewczęta zaczęły wic wieniec dożynkowy.

Przyniesie go dziś gospodarzowi z pola najdzielniejsza ze wszystkich żniwiarek, zwana przodownicą.

Ten wieniec wyobraża cały tegoroczny plon, czyli urodzaj: więc powinny być użyte do niego różne rodzaje zboża: pszenica, żyto, jęczmień i owies. Wplatają także kwiaty, kalinę i gałązki laskowych torzechów, czyli wszystko to, czem się zdobią niwy i czem bogate są lasy ojczyste. Wieniec powinien być ogromny i wspaniały, bo ma wyobrażać obfity plon rolnika.

Gdy tak przy odgłosie pieśni uwito wieniec i włożono go na skronie hożej dziewczyny, żniwiarze, otoczywszy ją kołem, ruszyli drogą ku wiosce. Słońce ostatnim promieniem ozłociło bujne kłosy pszenicy nad czołem żniwiarki, gdy gromada pracowitej czeladzi uroczyście postępowwała ze śpiewem:

Od zielonego gaju,
Od bystrego dunaju
Niosą wianek ze złota,
Żniwiareczek robota.

Plon niesiem, plon!

Wyżęliśmy już wszystko
I pszeniczkę i żytko
A od granic do granic
Już na polu niema nic:

Plon niesiem, plon!

Dzisiaj do jegomości
Przybędzie dużo gości;
Zasiędziem stoły potężne,
Bo dzisiaj mamy okrzęne!
Plon niesiem, plon!

Tymczasem we dworze panował ruch niezwykły. Ze spiżarni przyrządzono przed ganek kosze z owocami, mięsami, serem i chlebem. Ustawiono beczkę piwa pod starą lipą, gdzie stały już długie ławy i szerokie stoły. Pani wydawała różne polecenia domownikom, a podraśtające córki pilnowały, ażeby rozkazy matki spełniano, jak należy. Sam gospodarz, pokręcając radośnie sumiastego wąsa, witał najbliższych sąsiadów, którzy zapro-

szeni na okrężne, przyjechali z licznem gronem działwy, bawiącej na wakacjach.

Wieśniacy szli wolno, a zbliżając się do bramy, która umyślnie była zamknięta, na to, żeby ją sam dziedzic otworzył, zanucili:

Nie żałuj, panie, siwego żrebca

Ślij po muzykę do Królewca!

Plon niesiem, plon!

Zaścielaj, panie, stoły i ławy!

Jedzie do ciebie gość niebывały.

Plon niesiem plon!

Wypraw nam, panie, sute okrężne,

Bo ci niesiemy dary potężne:

Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, szerokie wrota!

Niesiem wianeczek z szczerzego złota:

Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, nowy swój dwór,

Bo ci niesiemy cały twój zbiór:

Plon niesiem, plon!

Wynijdz, ze, panie, z całą drużyną,

Przyjm od dziewczyny wianek z kaliną:

Plon niesiem, plon!

Dziedzic z żoną stał w ganku, otoczony gronem rodziny i gości. Żniwiarze śpiewając, podeszli pod dwór, a gdy umilkli, przodownica oddała wieniec gospodarzowi, zaś dziewczoja, najlepsza po niej żniwiarka, wręczyła gospodarzowi równiankę, czyli pęk kłosów pszennych, mających wyobrażać snop nowego zboża. Oboje państwo uprzejmie podziękowawszy za wieniec, dali obu dzielnym żniwiarkom podarki, w nagrodę ich wzorowej pracy. Wieniec po wyjęciu z niego orzechów, zawieszono podług starego polskiego zwyczaju w sieni dworu, na miejscu wydatnem.

Teraz pan i pani zapraszali czeladź i knieci na posiłek, zachęcając do niego wszystkich i przestrzegając, ażeby o nikim nie zapomniano. Tymczasem, ponieważ zrobiło się ciemno, zapalono na dziedzińcu latarnie i kapela, złożona ze skrzypiec, basów i bębenka zaczęła grać od ucha staroświecki taniec, zwany powolnym czyli polonezem. Dziedzic, podług pięknego i odwiecznego zwyczaju naszego, jako gospodarz wzięwszy do tańca przodownicę, sunął z nią w pierwszej parze, a najpoważniejszy gospodarz z wioski, przystąpiwszy do pani, poszedł z nią w drugiej parze. Za nimi cała gromada wiejska ruszyła parami w krąg wielki. Wszystkie pary trzykrotnie przetańczyły powolnego, a potem zabrzmiał ochoczy oberek, później zaś dziarski mazur.

W przerwach pomiędzy tańcami urządziła młodzież różne gonitwy i zabawy, ku wielkiej uciechu własnej i wszystkich widzów. Młodzi parobcy starali się wydostać na wierzchołek wysokiego słupa, aby pozyskać zawieszony na szczycie płaszcz lub ubiór nowy; to znów z zawiązanymi oczyma i z cepem w ręku zbliżali się śmiało do postawionego na trawniku garnka glinianego, a jeżeli do niego trafili i rozbili go za pierwszym uderzeniem, dostawali pieczonego koguta, którego tam schowano; to znów, pędząc szybko na koniu usiłowali dzidą przebić gęś pieczoną, która zawieszona była pomiędzy dwoma drzewami. Nawet dziewczęta ubiegały się o nagrodę: niosąc na głowie miskę pełną wody, stapały powoli i ostrożnie, a ta z nich, która ani kropki wody nie rozlała dostawała wstążkę jaskrawą, lub piękne paciorki, albo sztuczne kwiaty do włosów.

Tak bawiono się ochoczo do późnej nocy, chociaż na błękitnem niebie zajaśniał już srebrzysty księżyc z gwiazdami. Tańce wesolej młodzieży trwały dotąd, dopóki na wschodzie nie ukazała się rumiana jutrzienka.

181. Pieśń o chlebie.

Gdy pogodne słońce świeci,
Potem deszczyk rosi,
To się cieszcie, cieszcie dzieci,
Zboże się podnosi.
Rośnie, rośnie w łasce Bożej,
Potem w kłos wystrzeli:
Jak dojrzeje kłosek hoży,
Będziem ziarnka mieli.
A z tych ziarenek chleb wyborny,
Rzecz dla ludzi błoga;
Więc głos wdzięczny, głos pokorny
Podnośmy do Boga.
Śpiewajmy Mu z ptaszętami,
Co na krzakach siedzą,
I to zboże razem z nami,
Z Jego łaski jedzą.
Śpiewajmy Mu cześć i chwałę
I z ziemią i z niebem,
Prośmy, aby życie całe
Obdarzał nas chlebem!

182. Kłosy.

Kiedys dawnemi czasy, ale tak dawnemi, że ludzka pamięć nie może zasięgnąć, wszystkie żdźbła, tak pszeniczne, jak żytnie i jęczmienne, miały dużo kłosów, napętnionych ziarnem od dołu do góry; nie tak jak dzisiaj, co słoma długa, a kłosek na samym końcu i często pusty. Za owych błogosławionych czasów ludzie nie znali głodu i wtedy to był prawdziwy wiek złoty. Jaki taki, choć i nie pracował wiele, mógł się łatwo wyżywić, a nawet i ptaszki, łakomi na zbożowe ziarnka, najadali się do syta; toż i kury, gęsi i wszelki drób tuczył się na hojnym chlebie.

Lecz znaleźli się pomiędzy ludźmi tacy, którzy nie umieli szanować darów boskich, bo zboże, wiedzieć wam

potrzeba, jest z bożej łaski, a przeto nie należy go marnotrawić, ani psować. Otóż jak powiadam, ludzie nie szanowali zboża, bo go mieli dostatkem; dziewczki robiły z kłosów miotły i zamiatały niemi izby, chłopcy i dziewczęta uganiaли się po łąkach, i deptali kłosy, albo też z pustej swawoli wyrrywali takowe, ciskając na drogę. To się nie podobało Panu Bogu, który zboże dał był na pożywienie ludowi, a na paszę bydłu, nie zaś na swawolną psotę; więc też pomyślał sobie, teraz będzie inaczej, złoty wiek musi się skończyć.

I zaraz Pan Bóg tak zrobił, że odtąd każde źdźbło słomy rodziło tylko po jednym kłosku, jużto dla ludzi, aby nauczyli się lepiej szanować dary boże, już dla niewinnych zwierząt, aby miały swoje pożywienie natenczas, kiedy ludzie nie warci byli nawet jednego kloska.

Od tego dopustu bożego głód, drożyzna i ubóstwo przyszły na ziemię. Tylko kiedy niekiedy pozwala Pan Bóg, aby tu i owdzie wyrastało cudowne źdźbło z kilkoma kłosami, pokazując przez to człowiekowi, jakie dawniej było zboże i jaka jest boska potęga. Chodzi też stara przepowiednia między ludźmi, że po upływie wielu lat, kiedy się spełnią te słowa anioła: Cześć temu na wysokości, pokój na ziemi, a między ludźmi miłość, błogostawieństwo i zgoda! — wtedy Pan Bóg ma znowu ziemię wzbudzić, aby zboże wydawała pokryte kłosem od góry do dołu. Szczęśliwy stokroć szczęśliwy, kto tego złotego wieku doczeka.

183. Len.

Len jest rośliną, którą sieją na polu, ma łodygę i korzonki. Korzonkami, jak wszystkie rośliny bierze pożywienie z ziemi. Łodyżka lnu jest cienka, na łokieć wysoka. Obfite kwiatki lnu są niebieskie, w nich rozwijają

się maleńkie torebki, w których znajduje się nasienie. Nasienie lnu nazywa się siemieniem lnianym. W łądźce lnu znajdują się cieniuteńkie włókienka. Z tych właśnie włókienek wyrabiają płótno. Dzieje się to w ten sposób: gdy len dojrzeje, wyrrywają łądźki z korzeniami z ziemi, układają na miejscu słonecznem i suszą. Skoro wyschną, wymłacają nasiona. Następnie łądźki lnu powiązane w małe wiązeczki moczą przez dziesięć dni w strumieniu. Po wymoczeniu znów suszą. Wtenczas łądźki lnu są bardzo kruche, więc tłuką je mocno kijanką, aby oddzielić przegniłą skórę, od włókien. Oczyszczone włókna czeszą i z nich robią nici. Z nici tkacz robi płótno, które zwykle jest szare. Ażeby miało kolor biały, bielą je na słońcu, polewając często wodą.

184. Ziarno zboża.

Sułtan Omar polował pewnego dnia w wielkich swoich lasach i, niewiadomo z jakiego powodu, oddalił się od swojego orszaku. Wtem ogromny dzik przebiegł między drzewami. Sułtan podniósł fuzję, wystrzelił, ale, na nieszczęście, nie zabił od razu zwierza, tylko go zranił lekko. Rozjuszony dzik skoczył z wściekłością na bezbronnego sułtana, i już miał go dosięgnąć, gdy z lasu wybiegł człowiek jakiś, ubogo bardzo odziany, śmiało rzucił się na dzika i przebił go na miejscu.

— Uratowałeś mi życie — rzekł sułtan Omar, który tymczasem ochłonął z trwogi. — Kto jesteś i jak się nazywasz?

— Nazywam się Ali — odrzekł człowiek — jestem ubogim nauczycielem w szkole wiejskiej. Niegdyś posiadałem rozległe grunta, zasiewałem znaczną ilość zboża; lecz przyszły ciężkie lata, różne nieszczęścia doprowadziły

mię do nędzy, i dziś dla utrzymania rodziny uczyć czytać i pisać wiejskie dzieci.

Gdy skończył Ali, sułtan dosiadł rumaka i rzekł:

— Bywaj zdrów! niezadługo będziesz miał wieści odemnie.

Nauczyciel powrócił do domu, a gdy opowiedział całe zdarzenie żonie, biedna kobieta o mało nie oszalała z radości, bo pewna była, że sułtan wspaniałą jakąś nagrodą obdarzy swojego wybawcę.

Nazajutrz od samego rana żona Alego nie odchodziła prawie od okna, wyglądając poselstwa od sułtana.

Nakoniec pod wieczór ukazał się obłok kurzu na gościńcu, i jeździec, bogato ubrany, zajechał przed chatę Alego. Cała rodzina z bijącym sercem wybiegła na jego spotkanie. Poseł sułtana zsiadł z konia, a zbliżając się z uszanowaniem do ubogiego człowieka, wręczył mu małe pudelko i natychmiast odjechał.

— Co to być może! — wołała żona Alego, podbiegając do męża, który drżącymi rękoma rozwijał tajemnicze zawiniątko. — To musi być brylant nadzwyczajnej ceny.

Wtem nagle krzyknęła, przerażona, bo Ali rozwiniąwszy paczkę, otworzył ukryte w niej małe safianowe pudełeczko — i oboje ujrzeni, zamiast spodziewanego klejnotu, jedno ziarnko zboża. Obok pudełka znalazł się papier z podpisem i pieczęcią sułtana. Był to rozkaz do wszystkich zarządów kraju, aby pozwalali w każdym czasie Alemu zasiewać zboże i zbierać plony na gruntach sułtana, pod tym jednakże warunkiem, by nie zasiewał nigdy zboża kupowanego, tylko swoje własne, wyhodowane przez siebie.

Wówczas żona Alego zaczęła strasznie płakać i narzekać na sułtana; ale mąż jej nie powiedział ani słowa

tylko wyszukał gliniane naczynie, nałożył w nie ziemi, zasadził ziarno starannie i odtąd w chwilach wolnych od pracy polewał i pielęgnował swoją roślinkę. W końcu krzaczek wypuścił kłos, a gdy ten dojrzał, Ali ścinał go starannie nożyczkami, wykruszył ziarna i przeliczył je. Było ich pięćdziesiąt. Zsypał je potem we woreczek, a w parę tygodni przekopał grządeczkę w małym ogródku i wszystkie ziarna tam zasadził.

II.

Następnego lata nasz Ali miał całą grządkę, pokrytą bujnemi kłosami pszenicy. Pościinał je wielkimi nożycami, parę godzin pracował nad wykruszeniem ziarn i tym razem zsypał je w spory woreczek. Potem wyjął z ukrytej szufladki papier z pieczęcią sułtana i udał się do głównego zarządcy tej prowincji, a okazawszy mu rozkaz monarchy, prosił o wyznaczenie gruntu, na którymby mógł zasiać swoje zboże. Uzyskał natychmiast, o co prosił, i zabrał się gorliwie do uprawy kawałka ziemi. Gdy zboże wyrosło i dojrzało, Ali z radością ujrzał się właścicielem półka. Nie mógł już teraz zbioru swego dokonać nożycami; musiał pożyczyć sierpa u sąsiada, a zebrawszy kilkadziesiąt snopów zboża, wymłócił je i zsypał w wielkie wory. Następnie udał się znowu do zarządcy i, ukazawszy pismo sułtańskie, otrzymał daleko większe pole.

Mijał rok za rokiem, a Ali coraz większe obszary zasiewał zbożem na gruntach królewskich. Po kilku latach przeniósł się do pięknego mieszkania, przestał uczyć dzieci wiejskie i całkowicie poświęcił się rolnictwu, które mu tak świetne przynosiło plony. Gdy już zasiał tym sposobem wszystkie grunta sułtańskie, znajdujące się w okolicy, a zboża mu jeszcze bardzo wiele zostało, udał się do drugiej prowincji, potem do trzeciej, a wszędzie

na widok podpisu sultana pozwalano mu sprowadzać robotników i uprawiać tyle ziemi, ile mu się podobało.

Żona Alego już teraz nie narzekała na okrucieństwo sultana, ale błogosławiła szczęśliwy ów dzień, w którym mąż jej otrzymał szacowne ziarno zboża.

Urzędnicy sultańscy niespokojnem okiem patrzyli, jak Ali zagarniał coraz większe pola, i obliczali, za ile lat wszystkie ziemie sultana przejdą tym sposobem w ręce zawziętego rolnika. I niezawodnie mogło być przyjsć do tego, ale Ali nie był tak chciwy, i kiedy już piękny zebrał majątek, wybrał się do stolicy i prosił sultana o posłuchanie. Sultán od dawna już o nim zapomniał i nie poznał go; dopiero gdy Ali pokazał mu papier z podpisem i pieczęcią, rozśmiał się i zawołał:

— A już wiem; skarżono mi się na ciebie, że wszystkie moje ziemie zagarniasz pod swoje zasiewy. Ale masz do tego zupełne prawo; ocaliłeś mi życie, a ja dobrowolnie ofiarowałem ci sposób zdobycia sobie za to nagrody — i nie żałuję tego. Zasiewaj, dobry człowiecze, zasiewaj spokojnie ile tylko chcesz.

— Ale ja nie chcę nadużywać twej łaski, wielki monarcho — rzekł Ali — i właśnie przyszedłem zwrócić ci ten papier, gdyż zebrałem wielki majątek, który dla mnie i dla dzieci moich wystarczy.

— Jakto! — zawołał sultán — mógłbyś potroić swój majątek i tak mało masz chciwości, że poprzestajesz na tem, co posiadasz? O, jakąż mi dajesz zbawienną naukę! Właśnie chciałem zebrać wojsko i wkroczyć w granicę sąsiedniego kraju, ażeby podbić kilka miast i wiosek; ale dałeś mi tak piękny przykład, że już tego nie uczynię.

Tak się też i stało; z łaski Alego naród uniknął wojny i cieszył się błogim pokojem.

185. Pastereczka.

Oj, nie chcę ja być ptaszyną,
Co gdzieś leci w dal . . .
Bo tej naszej wioski miłej
Byłoby mi żal.

Oj, nie chcę ja być czółenkiem,
Co gdzieś płynie w dal . . .
Bo tych naszych pól i lasów
Byłoby mi żal.

Oj, nie chcę ja być chmurką,
Co gdzieś wieje w dal . . .
Bo tych naszych wzgórz różowych
Byłoby mi żal!

Tuś wyrosła jak trawka,
Jak ten polny kwiat . . .
Tu owieczki będę pasła,
Tu mój cały świat!

Marja Konopnicka.

186. W jesieni.

Ciepłe lato uleciało,
Owoc wszędzie się rumieni,
To co w lecie nie dojrzało,
Wyda jeszcze plon w jesieni.

Wszystko się przy zbiorach krząta,
Wóz za wozem jedzie w pole,
Resztki zboża rolnik sprząta,
I znów ziarno wrzuca w rolę.

Już się żniwo ukończyło,
Już w stodole wszystko zboże,
Na plon pracy spojrzeć miło,
Dzięki Tobie, dobry Boże.



ROZDZIAŁ V.

Las i jego mieszkańcy.

187. Las.

W lesie rosną gęsto obok siebie drzewa leśne: dęby, buki, brzozy, świerki i sosny. Rozróżniamy lasy dębowe, bukowe, brzozowe, świerkowe i sosnowe. Rosną też po lasach: lipy, jesiony, graby, a na miejscach mokrych wierzby i iwy. Jaki pożytek mamy z drzew leśnych?

Drzewa, które w lecie okrywają się liśćmi, nazywamy drzewami liściastymi. Świerk i sosna mają zamiast liści, wąskie zielone szpilki i dlatego nazywają się drzewami szpilkowymi lub iglastymi. Drzewa szpilkowe nie tracą na zimę swych szpilek, są więc i w zimie zielone.

Prócz drzew rosną po lasach różne krzewy, jako to: maliny, ostrężyny, leszczyna. Rośnie też wiele innych roślin, np. poziomki, borówki, grzyby. Jakie owoce rodzi leszczyna? Wymieńcie jeszcze niektóre zioła leśne?

W lasach mieszka wiele zwierząt. Wymieńcie znane wam zwierzęta czworonożne, żyjące w lasach!

Wymieńcie ptaki drapieżne i śpiewające, które gnieźdzą się po lasach!

Z innych zwierząt kryją się jeszcze po lasach węże i żmije. A ile różnych chrząszczów, motyli, much, komarów i innych owadów spotkać można w lesie, to i wyliczyć trudno!

188. W lesie.

Zawitał nam dzionek	— A ty, ciemny lesie,
I pogodny czas,	A ty, lesie nasz!
Pójdziemy, pójdziemy	A skądże ty tyle
Na jagody w las.	Tych jagódek masz?
Na jagody,	I poziomki,
Na maliny,	I maliny,
Na czarniawe	I czernice
Też jeżyny	I jeżyny.
Pójdziem, pójdziem w las.	A skądże je masz?

Uderzyły deszcze,
Przyszło słońko wraz,
Zarodziła ziemia
W dobry, błogi czas.
Te jagody,
Te maliny,
Te czernice,
Te jarzyny
W dobry, błogi czas.

Marja Konopnicka.

189. Brzoza.

I.

Na skraju dużego lasu stała brzoza, duża, sztywna, niby strażnik, lasu pilnujący. Na wiosnę przywdziewała swój strój odświętny; zmieniała zestarzałą i popękaną korę na nową, zielone połyskujące jej liście rozwijały się w całej pełni, puszczały nowe pędy.

O, była wtedy wspaniała! Cień rzucała daleko, woń rozwiewała wokół, a każdy ją podziwiał. Mało to jednak obchodziło brzozę, co o niej mówiono. Nie zważała nawet na to, jak naokoło niej roiły się owady, jak liszki oblażyły jej liście. Spokojnie przyglądała się walce, jaką toczyły ze sobą dokoła różne stworzenia. Raz pajak łapie w sidła muchę, a jego samego porywa iaskółka. To znowu wróbel przyleci i pochwyci liszkę,

a sam czempredzej zmyka przed jastrzębiem. Mało ją też obchodziło, gdy ptaszek, upatrzawszy spokojny w jej gałęziach zakątek, słał sobie gniazdo.

Stała zawsze cicha i nieruchoma, jakby o nic nie dbała. Razu jednego przysłała jakoś wczesna jesień. Zaczęły brzozie dokuczać zimne poranki, a deszcze ciągle i mgły nie pozwalały listkom się rozgrzać. — Wkrótce też zaczęły one żółknąć i więdnąć. Na domiar złego zerwał się silny wiatr i począł odrywać liście jedne po drugich.

Widać, że to nareszcie rozgniewało brzozę, bo cienkimi gałązkami zaczęła szybko w różne strony poruszać, głuchy świst wydając, aż w końcu, zebrawszy resztki swych suchych liści, cisnęła nimi w uciekającą przed nią zawieruchę.

Walka z zimnem, wiatrem i deszczem jesiennym wyczerpywała ją tak bardzo, że przestała się poruszać i jakby w odrętwieniu stała przez długi przeciąg czasu.

Nastąpiła zima.

II.

Przyszły jasne promienie słońka i w jednej chwili zburzyły całą pracę długiej zimy. Wkrótce nie znać było ani śladu śniegu. Wilgoć zbyteczna wsiąkała w ziemię, korzenie gwałtownie ją wypijały, i las ożył na nowo. Brzoza też poczuła w żyłach swoich nowe soki ożywiające. Obudziła się z długiego odrętwienia.

Wstrząsnęła gałęziami i wyprostowała każdą, ażeby łatwiej sok mógł przez nie przechodzić, chociaż nie było o co się tak kłopotać. Sok dostał się do najdrobniejszej gałązki, do każdego nawet pączuszka, który na niej wyrastał. Z dniem każdym brzoza nabierała więcej siły, z dniem każdym stawała się grubsza, mocniejsza.

Razu jednego, niewiadomo skąd, przybiegają chłopaki z nożem w rękę, rzucają się na brzozę i nuż w niej świdrować. Zrobili w drzewie dziurę, wstawili w nią rurkę, a pod rurką umieścili dzbanek gliniany, poczem, wykrzykując i śmiejąc się wesoło, odeszli.

Odczuła to wkrótce brzoza, bo sok tak obficie już do niej nie dopływał.

Chłopcy tymczasem przybiegli znowu nad wieczorem, porwali dzbanek i zaczęli chciwie wypijać sok, którego przez rurkę dużo z pnia wypłynęło.

Wychyliwszy dzbanek do dna, postawili go znowu na tem samem miejscu. A brzoza tymczasem dostaje coraz mniej pokarmu. Już jej gałązki na wierzchołku więdnąć zaczynają, listki gdzieniegdzie się tylko pokazują. Czuje, że nie ma już siły do życia, że słabnie z dniem każdym.

Jęczałaby, gdyby jęczeć mogła, skarżyłaby się przed towarzyszkami, że jej taką krzywdę wyrządzają.

Z dniem każdym coraz więcej gałązek zamierało na brzozie i usychało, aż w końcu cały pień usechł.

Zdziwili się wieśniacy, zobaczywszy martwą brzozę w lesie.

Nie namyślając się długo, podpiłowali ją, jak wszystkie suche drzewa, ścięli i zawieźli do domu.

Drzewo w domu zawsze się przyda. Rozpiłowano je na deski, korę wieśniak poobrywał i do garbarza zaniósł. A że brama przy domostwie od dawna się skrzywiła, mając więc deski gotowe, porzucił je gospodarz i począł nową bramę budować. Po kilku dniach brama była skończona.

Sąsiedzi oglądali ją i zręcznego cieślę chwalili. Jednemu tylko nie mógł cieśla zaradzić; przy otwie-

ranu bramy dawało się słyszeć przeraźliwe skrzypienie, a czasem niby jęki żalosne...

Może się brzoza żaliła na łakomych chłopaków, którzy przyczynili się do jej śmierci.

Marja Weryho.

190. Sosna.

1. Rośnie sobie na byle jakiej ziemi, choćby w samym piasku. Korzenie tam zawsze jakieś pożywienie wynajdą i drzewku posłają.

Pogiętemi konary
Het daleko rozwisa,
Korzeniami bez miary
Żółty piasek wysysa.

2. Pocziwe drzewo ta nasza sosna! Ile to rzeczy ona nam daje.

Najprostsze i najwyższe sosny ścinają na maszty, lub obrabiają na belki do budowy domów.

Drzewo sosnowe nie jest drogie, więc używanem bywa na opał; wyrabiają też z niego sprzęty przeróżne: stoły, ławki, krzesła, łóżka, szafy, tablice szkolne, naczynia kuchenne i t. p. Z wykarczowanych, t. j. z wydobytych z ziemi korzeni sosny wypalają węglarze ten węgiel, który służy do nastawiania samowarów.

Wiele jeszcze innych rzeczy, jak np. smołę, terpentynę, ludzie z drzewa sosnowego wydobyć umieją.

3. A ile poziomek, jeżyn, borówek rośnie w sosnowym lesie. Jakie kwiaty tam pachną, ile ptaków tam śpiewa, jakie mchy są zielone, jakie wrzosi różowe.

Et, długo byłoby te bogactwa wyliczać, lepiej idźcie do lasu i zobaczcie je sami.

191. Dąb.

Wspaniałe to drzewo słusznie nazwane jest królem wszystkich drzew leśnych, łączy bowiem piękność z siłą i wielką trwałością.

Nietrudno i dziś jeszcze znaleźć dęby, 130 stóp wysokie, a 30 stóp w obwodzie mające, jak ów sławny Baublis na Litwie, opisany w „Panu Tadeuszu“.

Dąb rośnie bardzo wolno, ale za to wiek jego dochodzi 500 lat, a nawet i znacznie więcej. Stary dąb, z korą mchem pokrytą stoi wśród pokolenia młodych drzew, jak praojciec między dziećmi, wnukami i prawnukami.

Drzewo dębu nadzwyczaj jest mocne i trudno gnije, a zanurzone wnet po ścięciu w wodę i pozostawione w niej przez 3 — 4 lat czernieje i nabiera twardości kamiennej prawie. To też w takich budowlach, gdzie chodzi o wielką trwałość, jak: walce w młynach, pale mostów etc., zawsze używają drzewa dębowego.

Mocnem jest drzewo dębu, pięknym jest liść skórkowaty i powyrzynany w głębokie zęby, ale kwiat zato jest bardzo niepozorny, zielony, w kształcie gron, zwieszonych ku ziemi, owoc zaś, zwany żołędzią, za smaczny również uchodzić nie może.

Żołędzie jednak są doskonałym pożywieniem dla świń domowych i dzików, a upalone i zmielone, dają mąkę, z której ludzie ubodzy gotują posilny napój, przypominający w smaku kawę.

Kora dębu, szczególnie zdjęta z młodego drzewa, posiada w sobie część gorzką, tak zwany garbnik, który zresztą można wydobywać z całego drzewa, z gałęzi, z liścia i nawet z trocin. Garbniku używa się do wyprawiania, czyli zmiękczenia skór.

W ciepłych krajach rośnie dąb, korą swą pożytek ludziom niosący: taki dąb potrzebuje nawet by mu korę umiejętnie zdejmowano, gdyż zaniedbany nie rośnie bujnie i nie dochodzi późnego wieku. Jest to dąb korkowy, którego korę w postaci korka każdy nieraz miał w ręku. Z kory tej wyrabiają podeszwy do obuwia dla ochrony od wilgoci, pasy pływackie, chodniki, dywany i t. d.

Kora ta zdejmowana była z drzewa co osiem lub dziesięć lat, poczem występuje zaraz z drzewa sok, który twardniejąc na powietrzu, tworzy nową powłokę kory.

192. O drewnie.

Wieloraki jest użytek z drewna. Służy nam ono przedewszystkiem na opał, na budulec, do wyrobu różnych statków, sprzętów i części maszyn.

Drzewa dają drewno różnej twardości. Do twardych drzew zaliczamy np. dąb, buk, grab, wiąz, brzozę, jesion; do wpół twardych np. klon, olszę, modrzew, sosnę; do miękkich np. świerk, jodłę, lipę, wierzbę, topolę. Im twardsze jest drzewo, tem więcej warte na opał. Sześć sagów dębiny daje np. tyle ciepła, co dziesięć sagów świerczyny.

Jeżeli się bierze drzewo na budulec, to nie zważa się na jego twardość, tylko na to, że długo zachowuje się bez zepsucia. Świerczyna np. w suchej budowlі trwa bardzo długo, dębina przeciwnie. Ale kiedy dębina we wodzie twardnieje i staje się z czasem czarna i twarda jak kamień, to świerczyna bardzo rychło w wodzie gnije.

Cieśle i bednarze wybierają do swoich robót różne drewna, zważają jednak zawsze, by nie brać drzewa

z bielem. Biel jest to młoda jeszcze część drzewa, leżąca blisko kory, część środkową zaś, która w każdym drzewie z wiekiem zaczyna od środka twardnieć, zwie się twardzielą. Jeżeli drzewo jest zabarwione, to zawsze tylko twardziel ma barwę, biel zaś jej nie posiada. Tak na przykład wierzba, zwana wiciną, z której zwykle biorą się gałązki na palmową niedzielę, jakoteż cis mają twardziel różową, trzmielina i berberys — pięknie żółtą. Zagraniczne drzewa miewają twardziel czasem czarną, na przykład heban, lub fioletową, czerwoną, zieloną i t. d.

Przy robocie statków, w stolarstwie lub tokarstwie inne przymioty drewna biorą się na uwagę. Tak np. szufle do wiania zboża robi się z lekkiej lipy, a grabie ze ściślej i twardej grabiny. Stolarz odrzuca miękkie gatunki drewna, bo te nie dają się polituować, a z pomiędzy twardych wyszukuje takie, które mają piękny flader, to znaczy, których słoje czyli pierścienie roczne, na przecięciach podłużnych, jakimi są deski, dobrze się wyróżniają jedne od drugich. Przeciwnie tokarz szuka do swoich robót drewna jednostajnego, w którymby ta różnica była jaknajmniejsza. Dziś i drewno zaczyna mieć inne jeszcze zastosowanie, przerabiają je na drewniastą masę, z której robią tektury i pośledniejsze papiery do druku.

Rostafiński.

193. Użytek z lasów.

Był las odwieczny. Jak czarna ściana, stał przed naszą wioską i zasłaniał ją od wiatrów. Łąka wilgotna ciągnęła się z drugiej strony lasu, który ją ocieniał od palących promieni słonecznych, wiatrom nie pozwalał jej osuszać; rosła też na niej trawa gęsta i wysoka, bydło z całej wioski miało z niej karm doskonałą.

Las ten należał do całej wioski. Pod jesień wójt, sołtys i gospodarze wybierali w lesie drzewa, zdatne na budynki i na opał, i dzielili między gospodarzy, ile któremu trzeba było; resztę sprzedawano kupcom z miasta lub włościanom z innych wsi. Stare, spróchniałe chojniaki i chróst szły na opał. Z pięknych sosen robiono belki i deski na budowanie domów, stodół, śpichrzów. Brzozy kupowali węglarze na węgle; z brzoź wypalono także dziegieć. Wielki pożytek miała wioska z dębów: drzewo dębowe służyło do wyrabiania sprzętów, kora do garbowania skór, a świnie tuczyły się wybornie na żołędziach. Z osiki robiono gonty, z lip palono węgle, obdzierano tylko na rogoże.

*
• •

Trudno wyliczyć, ile wygody mieli gospodarze z lasu, ile dochodu mieli co roku. Ale w końcu pokłócili się: »Dlaczego las ma należeć do wszystkich? — powiedzieli — podzielmy się, każdy z własnego kawałka będzie miał więcej korzyści«.

Jak powiedzieli, tak zrobili — podzielili się; ale dzieci ich, gdy dorosły, nieodziedziczyły już lasu po praojcach. Każdy ze swego kawałka korzystał, jak mógł. Najpierw gospodarze wycinali suche drzewo, potem budulcowe, potem coraz młodsze cięli, aż w końcu wycięli wszystko... I tam, gdzie szumiał bór ciemny, teraz jest pusta wydma, sterczą tylko na niej niskie pniaki i wyglądają z ziemi suche korzenie. Ludzie powoli wykopują z ziemi te korzenie, czyli karczują grunt, potem go orzą i obsiewają zbożem.

Nad łąką niema już teraz cienia, wiatr po niej hula bez oporu — wyschła więc do szczytu; trawa zędziała nie wykarmi już bydła z całej wioski. Wyschły także bez lasu i grunta okoliczne; kiedy trafi się cza-

sem rok suchy, zboże całkiem rodzić nie chce, ubożsi w wiosce iść muszą na zarobki...

194. Mech i jego koleje.

W lasach, w miejscach wilgotnych rośnie obficie mech. Potrzebuje on dużo wody i ściąga ją zewsząd ku sobie. (Dlatego też na zimę pomiędzy okna podwójne kładziemy mech, gdyż zbiera wilgoć z okien i nie pozwala im zamarzać).

Mech składa się z łodyżki brunatnej i zielonych listków, najzieleńszych na wierzchołku roślinki.

Łodyżki i listki u dołu są już zgniłe, gdyż mech ciągle od dołu gnije, zapada się, a wierzchołkiem rośnie.

Cienkie łodyżki mchu zakończone są jakby puszkami z przykrywką. Wewnątrz każdej puszczeni znajduje się pyłek, złożony z mnóstwa drobnych ziarn.

Gdy puszka dojrzeje, przykrywka się otwiera, a ziarna z puszczeni wysypują się. Z każdego ziarneczka wyrasta nowy mech, który rośnie, wydaje takie same puszczeni, a od dołu gnić zaczyna.

W tym czasie, gdy nasionka kielkują, rosną i tworzą młody mech, stary stopniowo gnije i opada na dno wody, która się pod mchem prawie zawsze znajduje.

Tak więc w ciągu dziesiątek i setek lat tworzy się coraz to nowy mech, wyrasta on na starym, gnijącym, ten zaś opada na dno wody, gdzie z czasem nagromadza się gruba warstwa zgnitego mchu. Mech, leżący na samym spodzie, pod ciężarem tej warstwy zbija się w gęstą, ścisłą masę, zwaną torfem. Im grubsza zbiera się warstwa mchu zgnitego na dnie wody, tem grubsza staje się u spodu warstwa torfu.

Wreszcie z biegiem lat cała woda wypełnia się torfem; mamy wówczas torfisko.

W wielu miejscach w naszym kraju znajdują się takie torfiska. Ludzie wydobywają z nich torf kawałkami, suszą go i palą nim w piecach, tak jak węglem kamiennym. Nie jest to jednak bardzo dobry opał, bo wilgotny i zostawia dużo popiołu.

195. Lis.

Lis — to wielki psotnik i szkodnik. Zakrada się po wsiach do kurników, dusi kury, kaczki i gęsi, a nawet młode zajączki.

Jest tak duży jak średni pies i nawet jest do niego podobny; zęby ma ostre, a uszy sterczą mu do góry. Sierć na nim żółta i ruda, szczególnie ładna i bujna na ogonie, który jest długi i zowie się kitą.

Z małych oczu lisa można już zmiarkować, że to jest chytre zwierzę. Jest tak sprytny, że często przybiera postać i minę bardzo łagodnego zwierzątka, ażeby łatwiej oszukać swoje ofiary. Myśliwi chętnie polują na tego szkodnika, lecz on się im często zręcznie wywija. Czasem schowa się niby do swojej nory, i tam go szukają; a on tymczasem przebiegł przez nią jak przez tunel*) wyleciał drugim otworem i schował się tak, że go znaleźć nie mogą.

Mięsa lisiego nie jadają, bo twarde i niesmaczne; zato piękna skóra lisa idzie na futra i daje dużo ciepła.

Lisy wychowują bardzo troskliwie swoje dzieci, bawią się z nimi, i uczą łapać zdobycz zręcznie i podstępnie.

Właśnie wtedy, gdy lis ma młode, jest najszkodliwszy, bo im ciągle musi znosić pożywienie.

*) Przejście przekopane pod górą lub skałą.

196. Sarny i jelenie.

1. Księżyc świeci. Noc jasna, ciepła, cicha.

W lesie słyhać jakiś szmer. Wśród gęstwiny migają cienie.

Pomału, ostrożnie z poza drzew wysuwa się duże, śliczne zwierzę.

To sarna... Za nią wychodzi druga... trzecia... czwarta... Policzmy je. Wszystkich sztuk jest dwanaście. Bo u saren z dawien dawna taki zwyczaj, że nigdy większą gromadką nie chodzą.

Kilka rodzin złączyło się tu razem. Gromadkę prowadził stary tatuś, zwany kozłem. Na głowie miał on małe, w tył zagięte różki, w trzech gałązkach. Kozioł nigdy gałązek na rogach niema więcej. A matki sarny to nawet wcale rogów nie mają.

Przy matkach uwija się dziatwa. Sarniątka za młodu mają sierść nakrapianą białą. Z czasem centki zupełnie znikają.

2. Poszczypały sarny trawkę, poszły dalej. Za lasem rozciąga się pole. Tam śpieszą na śniadanie. Bo sarny, jak zresztą wielu mieszkańców lasu, z dnia robią noc, z nocy dzień.

Chrupią kapustę, chrupią młode strączki, chrupią owies i pszenicę. A która nie amatorka zieleniny, wygrzebuje sobie kopytami z ziemi, to kartofle, to marchew, to buraki.

Dobrze się dzieje sarnom przez lato. Za to zimą post, a czasem głód porządnie im dokucza.

Zmudna i ciężka to praca dobyć z pod śniegu trochę mchu, uschłej trawy, lub zmarzniętych borówek. Na drzewach niema też liści do ogryzania.

Są za to pączki na młode liście, jest kora. To też jednym i drugim żywią się sarny w zimowej po-

rze, a wybierają zawsze młode drzewka, bo kora na nich smaczniejsza.

Naniszcza sarny, napsują drzewek przez zimę nie mało. Leśnicy narzekają na nie bardzo.

Jelenie są do saren podobne, tylko znacznie większe. Szczególniej rogi mają ogromne. Rogi te opadają przy końcu zimy, a na wiosnę znowu odrastają, lecz już o jedną gałązkę większe. Są jelenie, których rogi mają po 30 do 40 gałązek. Często po liczbie gałązek można poznać wiek jelenia. Samice jeleni nazywają się łanie i rogów nie mają.

Dawniej żyło w naszych lasach bardzo wiele saren i jeleni. Teraz znacznie ich mniej; wytępilli je ludzie dla smacznego mięsa, dla skóry, z której po wyprawieniu robią buciki, rękawiczki, torebki, paski i wiele innych rzeczy.

197. Wilk.

Wilk jest zwierzęciem drapieżnem, podobnem do dużego psa, lecz od niego silniejszym. Sierć ma burą, ogon długi, zęby potężne, pazury mocne, a oczy błyszczą mu się w nocy jak żarzące węgle.

Żyje w dużych lasach i gąszczach, jest zuchwały i napada na większe od siebie zwierzęta; zimą, gdy głód go przycisnie, krąży koło wiosek, wdiera się do stajen, obór i owczarni, dusi owce, konie, krowy. Nieraz z pastwiska porywa owce i unosi je do lasu.

Gdy jest bardzo głodny, wyje przeraźliwie i rzuca się nawet na ludzi. Dawniej w naszych lasach było wiele wilków, obecnie niema ich u nas prawie wcale.

Wogóle było to zwierzę dość pospolite. Możemy o tem wnosić z wielu przysłów o wilku, które się ciągle utrzymują, jak: »Nie wywołuj wilka z lasu!«

(daj pokój, nie wywołuj złego), »Natura ciągnie wilka do lasu!« »O wilku mowa a wilk tuż«, »I wilk syty i owca cała«, i wiele innych.

Człowieka męznego, wytrzymalego i zręcznego przyrównywano do wilka.

Myśliwi twierdzą, że komu wilk przebiegnie drogę, ten będzie miał szczęśliwą podróż.

198. Skrzypek i wilk.

Pewien pijany skrzypek, wracając w nocy przez bór do domu, wpadł do wilczego dołu. Tak się nieborak przeląkł, że naraz wytrzeźwiał. Jakież było jego przerażenie, gdy w dole zawył wilk. Czem się tu bronić? Ze strachu zaczął grać! Zdziwiony wilk straszliwym wyciem mu wtórował. Odezwały się także inne wilki w boru. Od tych okropnych głosów skrzypkowi, aż włosy stanęły na głowie. Ale grał dalej; wtem pęka struna, gra na trzech; pękają druga i trzecia; biedny muzykant gra na jednej, a drży ze strachu. Tymczasem zaczęło świtać. Usłyszał muzykę gajowy, przybiegł, zastrzelił wilka i wyciągnął z dołu biednego muzykanta. Od tego czasu muzykant nie mógł patrzeć na wódkę.

199. Jakóbek wilk.

Było to dawno — przed stu laty. Zdarzyła się wtedy taka straszna zima, że woda w studniach zamrzła, ptactwo marło po polach, kuropatwy dawały się łapać rękami, a zgłodniałe wilki zaglądały do wsi.

Na końcu wioski stała chata, w której mieszkał cieśla z żoną i dwojgiem dzieci. Starszy, Jakóbek, miał lat dziesięć, a mała Zosia jeszcze roku nawet nie miała. Jednego dnia wyszli rodzice z domu do lasu

po drwa; w izbie został tylko Jakóbek z Zosią, którą kołysał, przyspiewując jej do snu. Nagle przestał śpiewać, zerwał się na równe nogi, bo oto drzwi się otworzyły, — wpadł do izby wilk i biegł wprost ku kołysce, gdzie spała Zosia. Nie było czasu do stracenia. Jakóbek w jednej chwili rzucił się na wilka, skulił pięść i wpakował ją w jego otwartą paszczę. Napróżno szamotał się dziki zwierz, napróżno starał się cofnąć, aby zachwycić powietrza: Jakóbek coraz głębiej pchał mu rękę do gardła. Przyparł go do ściany, gdzie nareszcie wilk padł trupem.

Ta walka tak zmęczyła Jakóbkę, że stracił przytomność i upadł na ciało wilka zemdlony.

Gdy ojciec wrócił, przestraszył się wielce; ale niebawem przestрах jego zmienił się w radość, gdy się przekonał, że jego odważny syn żyje. Jak tylko się Jakóbek ocucił, zaraz zapytał: »Czy Zosia zdrowa, czy nic jej wilk nie zrobił?« Potem opowiedział ojcu wszystko, co zaszło.

Gdy się o tem zdarzeniu ludzie we wsi dowiedzieli, dziwili się bardzo odwadze chłopca i nazwali go za to Wilkiem.

200. Niedźwiedź.

Za dawnych czasów, kiedy w kraju naszym były jeszcze wielkie lasy sosnowe i dębowe, często zdarzało się spotkać w nich niedźwiedzia.

Zwierz to wielki i straszny, do trzech łokci długi, a półtora łokcia wysoki; posiada ogromne zęby i długie, mocne pazury, a cały jest pokryty brunatnymi kudłami.

Niedźwiedź żyje pojedynczo po lasach, zakładając legowisko w jaskiniach skał lub w wydrążeniach starych drzew. W nich przepędza całe dni w spoczynku,

a w nocy wychodzi na żer. Pospolicie żywi się buczyną, jagodami, ziarnem różnych roślin i korzeniami; szczególnie lubi kwaskowate jagody jarzębiny i berberysu. W braku tego pożywienia wychodzi z lasu, udaje się w pola i robi znaczne szkody w zasiewach owsa i kukurydzy. Wielki przysmak dla niego stanowi miód dzikich pszczół, włazi też po niego na wysokie drzewa. W końcu zimy, gdy jest bardzo zgłodniały, rzuca się na owce, trzodę chlewną lub inne zwierzęta i pożera je.

Dla ludzi jest niebezpieczny wówczas tylko, gdy jest zaczepiony.

Zraniony lub tylko rozgniewany — staje się strasznym: napada na przeciwnika z wściekłością, mrużąc, z paszczą ziejącą; wzniosłszy się na tylnych łapach, rzuca się na niego i gniecie własnym ciężarem; porywa człowieka w pół w potężne pazury i dusi strasznymi szczękami.

Pitulewski.

201. Bobry.

I.

Był dzień zimowy, chociaż słońce świeciło. Śnieg błyszczał srebrzysto i skrzypiał pod nogami.

Dwaj chłopcy, Staś i Adaś, stali przy oknie i przyglądali się z zajęciem, jak ludzie, otuleni w futra, bieгли pośpiesznie ulicą.

— Tej pani to ciepło, bo ma lisy na sobie — mówił Adaś.

— Ale zawsze nie tak ciepło, jak temu panu, co z nią idzie, bo ma bobry na sobie — odpowie Staś.

— Alboż bobry cieplejsze?

— Ma się rozumieć, bóbr w zimie nawet w wodzie nie marznie.

— W wodzie? co też ty mówisz! Zwierzęta takie miałyby nory w wodzie?

— O jakie! Z daleka wyglądają, jakby się stogi siana z wody wynurzały. Ja też się dziwiłem, gdy mi ojciec opowiadał o ich życiu.

Bobry budują domy swe pośrodku stawu lub rzeki na mieliźnie. Robią je z kawałków drzewa i drobnych gałązek, a wszystkie szpary zatykają gliną i szlamem.

Wewnątrz urządzą budynek bardzo porządnie. Jest w nim jeden pokój duży, gdzie siedzi sam bóbr, i parę mniejszych pokoi, przeznaczonych na spiżarni.

W nich nagromadzone są zapasy. Mieszkania całe wysypane są piaskiem lub drobnymi kamyczkami. Z budynku wychodzi długie przejście podziemne. Otwór przejścia jest dobrze ukryty pod wodą.

— Mój kochany — pyta zdziwiony Staś — skądże one biorą drzewo i gałęzie na budowę?

— Wychodzą na brzeg i obłamują gałęzie z krzaków, a czasem gryzą pień u spodu dopóty, dopóki ten się nie powali. Wtedy obłamują części drzewa, ciągną zębami do wody, zrzucają je i sprowadzają tam, gdzie trzeba.

— To one nam szkody wyrządzają — mówi Staś.

— O, toby jeszcze małe były szkody, gdyby psuły tylko tyle drzewa, ile do budynków potrzebują. Ale lubią bardzo ogryzać korę drzew młodych, obcinać pędy roślin, pąki drzew; wszystko to bowiem stanowi ich pożywienie. Szczególniej duże szkody wyrządzają w jesieni, kiedy zbierają zapasy na zimę. Wtedy nielitościwie obdzierają z kory ulubione przez siebie drzewa, jak: wierzby, topole i jesiony, i ściągają je do mieszkania swego.

II.

— A dlaczego bobry stawiają domy nie w lesie, tylko na wodzie? — pyta Staś.

— Bo są bardzo lękliwe, a nawęcej boją się o swoje dzieci, żeby ich kto nie porwał. W wodzie zaś są nierównie bezpieczniejsze. Chociaż i tu mają swoich strażników bobrów, dających im znać o niebezpieczeństwie.

— A czy dobrze pływają?

— Wybornie, bo palce tylnych nóg mają spięte błoną.

— Ludzie powinni by tępić tych szkodników

— To też i tępią. Chociaż, o ile bobry za życia szkodzą naszym lasom, o tyle po śmierci są ludziom bardzo pożyteczne. Dają nam najlepsze i najcieplejsze futro ciemno-brunatne.

— Czy to ładne zwierzę?

— O nie: brzydkie i niezgrabne, głowę ma dużą, tułów szeroki, szyję krótką i grubą, a ogon niesłychanie dziwny, bo jest długi i pokryty nie sierścią, jak całe ciało, tylko łuskami.

Bóbr, pływając, posługuje się ogonem, niby sterem.

Zresztą dość opowiadania, wolę ci pokazać obrazek.

Staś z ciekawością chwycił obrazek i zaczął się przyglądać bobrom.

Marja Weryho.

202. Żubr.

W gubernii grodzieńskiej jest las ogromny zwany Białowieską puszcza. W lesie tym żyje zwierzę, podobne do wołu, tylko znacznie większe, wspanialsze i potężniejsze. Nazywa się ono żubrem. Głowę, szyję i pierś ma pokryte gęstym, długim kędzierzawym włosem, co nadaje

mu dziką postać. Młode żubry mają sierść brunatną, stare prawie czarną.

Żywią się głównie rośliną zwaną żubrówką.

Na wiosnę matki z cielećkami łączą się w liczne stada i wtedy tak są lękliwe o swoją dziatwę, że lada hałas płoszyć je może. Lecz stare żubry, chodzące pojedynczo po lesie, są bardzo odważne i rozdrażnione stają się niebezpieczne.

Nic to dla żubra chlewiek rozwalić, dach zerwać z chaty leśnika, młode drzewo przewrócić.

Uciekając toruje sobie drogę i w największym gąszczu, bo siłę ma ogromną. Żyje do lat czterdziestu.

203. Ptaki leśne.

Kolyszą się drzew wierzcholki, szeleszczą liście, las szumi, ptaki fruwać, gwiżdżą, świergocą, piszczą, stukają dziobami w korę. Tu na pniu starej sosny przysiadł się dzięcioł, ostremi pazurami przyczepił się do kory, czarnym, sztywnym ogonem oparł się o drzewo i kuje swym twardym dziobem, a kuje. Wreszcie kawałek kory odpadł i dzięcioł zobaczył w drzewie szparę. Zaraz poznał, że tę szparę zrobiła liszka, co drzewo toczy, zasunął więc długi a cienki język, który do połowy schował się w drzewo, natrafił na liszkę, zahaczył ją zadzierzystym końcem języka i wyciągnął. Nie zjadł jednak sam smacznej liszki, ale poleciał na sąsiednie drzewo. Tam w wygodnej dziupli siedziała samiczka i okrywała skrzydłami niedawno wylęglę pisklęta. Mały dzięciołek wychylił z pod skrzydła matki czarną główkę z czerwoną łatką, otworzył dziobek, a ojciec dał mu upolowaną liszkę.

Liszki siedzą zwykle w nadpsutych drzewach — wie o tem dobrze dzięcioł i szuka drzew nadpróchniałych. Łazi po pniach i grubych konarach, puka dziobem i słu-

cha, czy się co za korą nie rusza, albo obiega dokoła i patrzy, czy liszka wypłoszona nie wyszła na drugą stronę drzewa.

• • •

Nietylko dzięcioły pracują w lasach: są tu jeszcze sikory, co skaczą z gałęzi na gałąź i wybierają z kory kupki jaj i poczwarki motyli, żuków i pajaków; na zeschniętych, zwiniętych w trąbkę listkach zwieszają się małutkie złotogłówki (mysikróliki) i wyjmują ukrytą w listku liszkę: — po pniach drzew uwija się pelzacz i zagłęda w najmniejszą szczelinę w korze; szary kowalik to na wierzchu porwie liszkę, to zza kory wypuka, a jeżeli wypukać nie może wtedy silnym dziobkiem, niby drutem, wykuje żuka, poczwarkę lub jaja owadów.

Wszystkie te ptaszęta żyją z sobą w wielkiej zgodzie. W jedną gromadę zbierają się sikory, złotogłówki, pelzacz, kowaliki — i szybko, jak ludzie podczas żniwa, pracują w lesie zgodnie, pomagając sobie nawzajem. Jeden drugiego woła, wabi, niekiedy zaśpiewa, jakby mówił: chodź, chodź, bo tu jest dużo pożywienia! A inne ptaszki przylatują i pomagają mu w pracy.

Kiedy już oczyszczą jedną część lasu, posuwają się dalej całą gromadą — i tak wędrują od lasu do lasu, przez całą zimę, aż do wiosny.

204. Jastrząb.

I.

W dużym starym lesie, na najwyższem drzewie było gniazdo jastrzębia.

Odkąd jastrząb był tam, nikt nie pamięta; ptaszki dawno go już spotykały, jarząbki pamiętają go, kiedy jeszcze były pisklętami, a gołębie powiadają, że, jak daleko pamięcią zasięgnąć mogą, jastrząb zawsze był w lesie.

Zapewne, że osiadł tam dawno; pewnie był stary, ale któżby to tam poznał! Zawsze miał jednakowe szare pierze, ani mu się dziób nie stępił, ani szpony zmaląły; jakim był, takim pozostał.

Dużo było ptaków w tym samym lesie, a każdy tak się jakoś urządzał, iż drugiemu nie zawadzał. Jeden tylko jastrząb wszystkim dokuczał.

Ile nieszczęść sprowadził, któżby policzyć zdołał!

Raz gołębicą dziką siedzi na gniazdku, przygląda się swoim pisklętom małym, cieszy się, że tak dobrze wyglądają, całuje, grucha, aż nagle słyszy jakiś szelest na gałęzi. Zadrżała, poleciała zobaczyć, czy jakie niebezpieczeństwo jej dzieciom nie grozi, a tu w jednej chwili wpada w szpony jastrzębia. Jęknęła biedna gołębicą, usiłując wyrwać się ze szponów okrutnika, ale te jeszcze głębiej weszły w ciało ptaszka, i tylko krople krwi, jak łzy ostatnie, spadły biednym sierotom do gniazdku.

Jak przeniosły tę stratę, jak się wychowały, niewiadomo. Połowa ich zapewne bez opieki matki wymarła.

Raz znowu kuropatwa młoda, głodna i zziębnięta, przelatywała z pola do lasu tuż za matką, a ów drapieżnik niepostrzeżenie rzucił się na biedaczkę. Zanim się obejrzała, już było po dziecku. Krzyknęła przeraźliwie, skrzydlami bić poczęła, lecieć za nim chciała, ale któżby mu dorównał!

O ileż to jarząbków, jaskółek od niego zginęło!

Lecz nie tylko same ptaszki on prześladował, napadał i na zwierzyne: króliki i zajączki młode często też w jego szponach ginęły.

II.

Razu jednego zdarzył się taki wypadek.

Jastrząb gdzieś na żer leciał, wtem nagle spotyka zająca.

Z wysokości rzuca się w mgnieniu oka na ofiarę, nie przypuszczając, że sam sobie zgubę gotuje.

Szpony jego weszły w skórę zająca i tam uwięzły.

Zając naturalnie uciekał, a jastrząb na nim siedzieć musiał.

Takim sposobem galopowali przez całe pole: ani się zając nie mógł wyswobodzić ze szponów jastrzębia, ani jastrząb wyrwać swoich pazurów.

Nie wiadomo, kto komu dopomógł, ale po oswobodzeniu się wyszli poszkodowani: jastrząb miał jeden palec złamany, a zając był pokaleczony i krwią zlany.

Wszystkie stworzenia w lesie dziwiły się, że jastrząb serca nie miał, nikogo nie żałował, do nikogo się nie przywiązał, z nikim nie przestawał, nawet dzieci swych własnych nie kochał.

Każdy ptaszek starał się jak najdłużej ze swemi dziećmi pozostać, a jastrząb-gołębiarz rodzone dzieci wypędza, skoro się tylko opierzą.

Dopóki są w gniazdku, to je pielęgnuje i karmi, ale skoro tylko im urosną skrzydelka, iż mogą wyfrunąć z gniazda, jastrząb już je wyrzuca, nie pozwala nawet zostać w tym samym lesie, gdzie sam zamieszkuje.

Raz posłyszały ptaki w lesie przeraźliwy krzyk, wleciały na wierzchołki drzew i coś widzą! jastrząb toczy walkę z własnymi dziećmi; wyrzuca je z lasu, one się opierają i wracają znowu, więc dziobie je i szarpie.

— I coś mu te dzieci szkodzą? — myśli zięba.

Wtem wszystkie drapieżniki rzuciły się na gałąź. Po chwili wbiło się w górę tylko parę młodych: stary jastrząb już nie żył.

Ludzie widać znaleźli sposób i na tego szkodnika.

Przymocowali do dużej gałęzi pręt kończysty, a pod nim zawiesili gołębia białego w drucianej klatce.

Jastrzębie, dojrawszy zdobycz, rzuciły się z impetem. Stary jastrząb był najzręczniejszy; z wielką siłą uderzył na ofiarę i został przebity na ostrzu.

Był to sposób okrutny, ale prawie jedyny na tych drapieżników.

Nikt w lesie nie żałował jastrzębia-gołębiarza nikt nawet dobrze nie wspomniał o nim, bo też przez całe życie dbał on tylko o siebie, a innym stale wyrządzał krzywdy.

Marja Weryho.

205. Armia nocna.

I.

Świat cały pogrążony we śnie. Spoczywają ludzie w domach, zwierzęta w legowiskach, ptaki w gniazdach... Nawet kwiaty stulily kielichy.

Pogodna, ciepła noc czerwcową ukołysała całą przyrodę. Gdyby nie księżyc, możnaby sądzić, że tak jest w istocie, bo cisza dokoła, narazie żadnego szmeru ni szelestu.

Ale księżyc w pełni to bardzo ciekawy jegomość i wielki zdrajca: zagląda wszędzie, czy go o to proszą, czy nie. Wszystko podpatrzy, wszystko widzi... Jedni — mu bardzo radzi; drudzy — woleliby, żeby się schował za chmury i nie wychylał wcale swego okrągłego oblicza... Lecz on o to nie pyta, patrzy i odkrywa tajemnice.

Księżyc wie o tem, że jest cała armja istot, które w dzień śpią, a w nocy czuwają; nie lubią one blasków słonecznych, wołają działać pod osłoną nocnych cieni. Do różnych należą rodzin, różne wiodą życie, odmienne mają gusty i upodobania, ale w jednym zgadzają się z sobą: nienawidzą światłości dziennej... Zaledwie gęsty mrok zapadł cały rój motylków nocnych uwija się w powietrzu. Prządki, sówki, ćmy kręcą się bezustannie to w tę, to

w ową stronę, lubując się życiem, które dla nich jest tak krótkie.

»Życie motylka — to jedna chwilka«. Tak, jedna chwilka, a nieraz jeszcze krótszem stać się może, bo dookoła czyha nieprzyjaciół tylu, należących do tej samej armji nocnej.

Już leci jeden. Widać go w blaskach księżyca.

Ptak — nie ptak! mysz — nie mysz.

Ponad głową sterczą mu wielkie uszy, na nosie wyrostek, gdyby liść.

Podczas dnia spał w starej dzwonnicy.

Wyleciał bez szmeru... On nie dba o promienie miesiąca, nie patrzy, w którą się stronę kierować, ale za to słucha, słucha...

To też najsubtelniejszy szelest najcieńszych skrzydełek nie ujdzie jego baczności, i co chwila biedny, niebaczny motylek staje się ofiarą długoucha...

Niebawem z tej samej dzwonnicy wyleciał drugi jej mieszkaniec. Lot jego także cichy; grzbiet plamkowany z jedwabistym polyskiem, szpony potężne, około oczu z piórek okulary... Krąży około gołębnika... Zamknięty. Przez małe otwory trudno się dostać... Trzeba dalej, na polu lub w lesie próbować szczęścia...

Poleciał.

Znalazł tam dużo krewniaków. To najdzielniejsi członkowie armji nocnej.

Pozdrawiają się okrzykami: »Kuwik! kuwik! Pójdź, pójdź!« lub sykaniem, chrapaniem, gwizdaniem, hukaniem. Cisza nocna przerwana.

II.

Największy z całej gromady odzywa się najgłośniej. Krzyczy co chwila: »Uhu, uhu!« i budzi mieszkańców lasu z błogiego spoczynku.

Słyszy to wołanie sarna; truchleje ze strachu i dzieci swe do piersi tuli; słyszy zając młody i drży, jak liść osiny. Słyszą ptaki na gałęziach.

Pobudziły się wszystkie. Nie śpią. Ale w lesie tak jasno. Promienie księżyca przenikają największą gęstwinę, oświecają gniazda, gdzie tyle miłości, tyle nadziei... Ptaszętom trwożnie serca biją; siedzą cichutko, aby się nie zdradzić najmniejszym szelestem. Każda chwila zdaje się wiekiem. Wreszcie strach przechodzi, budzi się nadzieja. Złowrogie »Uhu!« słychać coraz rzadziej, coraz dalej. Puhacz przepadł na skraju lasu...

Ale z dziupli ukazał się wróg inny — nowy członek armji nocnej. Futro ciemno-kasztanowate, podgardle żółte, w pysku zęby straszne...

Noc jasna, połów się uda.

To chytra kuna skrada się i patrzy. Byстрыm wzrokiem dostrzegła gniazdo zięby. Podskoczyła — i cała bezmierna miłość matki nie zdołała obronić piskląt...

Na polu, w świetle księżyca gromada myszy tańczy. Niejedna swą śmiałość życiem przypłaci. Puszczyki, sowy gustują w nich bardzo. Gdy niebezpieczeństwo grozi, zmykają na wszystkie strony, kryją się do norek, lecz niezadługo znów wychodzą i rozpoczynają gonitwy. Noc taka ciepła, pogodna, jasna. Szkoda w norze siedzieć.

III.

Do folwarku skrada się lis. On wie, że gęsi nocują w zagrodzeniu pod gołem niebem.

Gąska — to smaczny kąsek, próbował go już nieraz.

Wchodzi na podwórze, czai się, słucha. Milczenie dokoła.

Już miał przeskoczyć płotek, gdy wtem zerwały się dwa psy. W dzień drzemały, uwiązane na łańcuchu, ale

zato w nocy były tak czujne... One strzegą »armji
dziennej« pogrążonej w spoczynku.

Lis się przestraszył, cofnął, spuścił ogon i zmyka do
lasu.

Spojrzał na niego księżyc, uśmiechnął się szyderczo,
potem za obłok wsunął i nie pokazał więcej.

Krótką noc czerwcową miała. Poczęło świtać. —
Armja nocna wróciła do swych dziennych kryjówek.

Jadwiga Warnkówna.

206. Żmija.

I.

Potwornem stworzeniem była żmija, potwornem
z wyglądu i usposobienia.

Nie znać było na niej ani tułowia, ani nóg, ani szyi;
zdawało się, że tylko głowę ma i ogon.

Pełzała po ziemi i wykręcała się na wszystkie stro-
ny, a ten widok tak przerażał zwierzęta w lesie, że przy
spotkaniu jej stawały nieruchome, jakby do miejsca przy-
kute. Obojętna była na męczarnie, jakie zadawała małym
zwierzętom. Nie wahała się porywać pisklęta z gniazd
ptasich. O sobie tylko myślała.

Wypatrzy, gdzie jaszczurki przebywają, gdzie żaby
siedzą, gdzie jaki ślimak pełza i czatuje na ofiary.

Może kto myśli, że żmija toczy jaką walkę z nimi?
Bynajmniej. Ma ona jeden oręż, którym pokonać może
każdego. Orężem tym są jej dwa duże zęby, pod któ-
remi leżą małe pęcherzyki z jadem. Żmija, kłapiąc, przy-
ciska pęcherzyk z płynem, i wtedy jad po dużym zębie
wpada wprost do rany. Potwór ten chwytając małe stwo-
rzenie, ukąsa je raz jeden mocno i puszcza, walczyć więc
nie ma potrzeby.

Zwierzątko ranione próbuje uciekać, ale wkrótce siły je opuszczają, zatrzymuje się, dostaje konwulsji i w najstraszniejszych męczarniach umiera.

Żmija spokojnie przygląda się temu, cierpliwie czeka końca, porywa nieżywe już stworzenie i polyka je w całości.

Gdyby zabijała dlatego tylko, żeby się sama mogła niemi wyżywić, któżby jej mógł mieć za złe? Przecież i żmija musi się czemś odżywiać. Ale często kasa ona bez żadnej przyczyny. Taki już jej nalóg.

II.

Raz pewien wiejski chłopak zbierał jagody w lesie.

Długo biedak mordował się, nim nazbierał koszyk; a że do domu było daleko, usiadł więc sobie na ziemi i zasnął. Żmija tymczasem wypelzła z pod krzaka, zbliżyła się do chłopca i zapuściła w bosą nogę jego jadowite swoje zęby.

Zerwał się chłopczyna, poczuwszy straszny ból w nodze, i odgadł, kto tu być musiał, choć żmija natychmiast się skryła. Pobiegł czempředzej do domu, a tu ból coraz bardziej mu dokucza; noga puchnąć zaczęła, ledwie się dowlókł do chałupy. Ojciec bardzo się zmartwił. Trzeba było jak najprędzej chłopca ratować. Wieśniacy, rzecz wiadoma, doktora wzywać nie zawsze mogą, bo za daleko mieszka i bardzo jest zajęty, więc najczęściej sami radzą, jak umieją.

Wziął wtedy ojciec pręt żelazny, rozpałił go do czerwoności i przyłożył do rany.

Okropny to był ból. Chłopiec, chociaż cierpliwy, nie mógł się od łez powstrzymać, jak groch, duże spadały mu z oczu. Jęczał, drżał cały z bólu. Nie bronił się jednak, bo wiedział, że ten środek może go uchronić od śmierci.

Pozwolił więc ojcu przypalać tak długo, jak tego było potrzeba.

— Szkaradne stworzenie! — mówił wieśniak, obwiązując nogę synowi. — Czyż to raz człowiek przez nie cierpiał! a uśmiercić się nie daje!

Onegdaj wracam z pola, patrzę, przedemną zmyka żmija. Jak jej nie rąbnę kosą — rozpadła się na dwie części.

— Dobrze ci tak — myślę — nie będziesz nam dokuczała. A ona, jak się nie uwinie, smyk pod krzak, choć jej tylko połowa była!

III.

Żmija na dobre w lesie gospodarowała. Zdawało się, że końca jej panowania nie będzie.

— Przed jeżem — myśli sobie — ucieknę, przed ptakiem ukryję się, przed zimnem i śniegiem tak się zagrzebię w liście głęboko, a zasnę tak mocno, że największego mrozu nie poczuję.

Kiedy tak rozmyśla, przed nią stanęła żaba. Żmija podnosi głowę i w jednej chwili zadaje cios śmiertelny małemu stworzeniu. Niedługo czekając, porywa je za tylne łapy i pochłania. Żaba natęży siły, ażeby się wydostać, ale trudno, tylne nogi daleko już ugrzęzły w paszczy potwora.

Żaba pīszczy, usiłuje łapkami przedniemi uczepić się o jaki przedmiot, napróżno: ciało jej zanurza się coraz dalej, aż w końcu i głowa znikła. Pochłonęła żmija żabę, ale ta była gruba, grubsza, niż sama żmija. Choć skóra żmiji jest elastyczna i może się rozciągać, pastwa taka z trudnością jednak przechodzi do żołądka.

Wtem spostrzega z daleka bociana. O! to jej największy nieprzyjaciel. Nie lubi go żmija. Chce się ukryć, ale sił jej zabrakło.

— Klap! — klap! — woła bocian uradowany, spada na ziemię, porywa ubezwładnioną żmiję i niesie dzieciom na śniadanie.

Marja Weryho.

207. Orzeszki.

Dalej, śmieszki, na orzeszki,
Dalej razem w las!
Już leszczyna się ugina,
Woła, woła nas.

My, leszczyno, ci ulżymy,
W to nam, w to nam graj!
Wnet orzeszkom poradzimy,
Tylko nam je daj!

A kto trafi na świstaka,
Tego smutny los!
Tylko próchno i tabaka,
Co nie razi w nos!

A kto trafi na dwojaczki
Ten powiedzie nas.
Dalej, śmieszki, na orzeszki,
Dalej, dalej w las.

Marja Konopnicka.

208. Wiewiórka.

Sliczną jest wiewiórka! Mała, zgrabna, główkę ma okrągłą, oczy duże; na uszach sterczą jej włosy, niby kitki; ogon ma długi, puszysty, futerko rude. A jak zręcznie biega ona po drzewach, z gałęzi skacze na gałąź!

Wiewiórka jada orzechy, nasiona i różne owoce. Do jedzenia zasiada na tylnych nóżkach, bierze przedniemi łapami orzech, obraca go zręcznie na wszystkie strony i przegryza łupinę czterema ostreimi przedniemi zębami; potem wyjmuje ziarnko i zjada. Ząbki jej przednie są żółto-czerwone i rosną przez całe życie; ale ponieważ wiewiórka gryzie twarde rzeczy, więc zęby ciągle się na brzegu ścierają i zawsze są jednakowej wielkości.

Zdarza się czasem, że ludzie złapią wiewiórkę, zamkną w klatce i dają jej jeść same miękkie rzeczy, wtedy zęby przednie nie ścierają się niczem twardem, wyrastają tak, że wychodzą jej z pyszczka, zakrywają

usta; — wiewiórka już żadnego pokarmu włożyć nie może i wkońcu zdycha z głodu.

. . .

Wiewiórka mieszka w dziuplach drzew, albo w dołku między gałęzią a pniem, wijąc tam sobie gniazdko z mchu i gałązek. Jeśli zerwie się burza, lub jest zimno na dworze, to wiewiórka chowa się do gniazda, otwór starannie zatyka, bo wie, że już jej tam zimno nie dokuczy, wiatr nie zawieje, deszcz nie przemoczy... W zimie cały dzień wiewiórka śpi w gniazdku swoim, pod wieczór dopiero wychodzi na żer. Zwykle robi sobie w lecie na zimę zapasy, chowając w dziupli orzechy i nasiona. Wesołe to i ładne zwierzątko, ale, gdzie się zbyt rozmnoży, tam wiele szkody robi: nietylko wybiera orzechy, psuje owoce w ogrodach, ale nawet ogryza korę i objada młode pączki — i tym sposobem niszczy drzewa.

W krajach zimnych, gdzie jest dużo wiewiórek i gdzie one na zimę stają się szaremi, ludzie polują na nie dla skórek, z których robią futra, zwane popielicami.



ROZDZIAŁ VI.

Ojczyzna, świat, pory roku, przyroda.

209. Ojczyzna.

Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce, i gdziem poznał Boga;
Gdzie ojciec, bracia, i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól zielonych leżące od Piasta,
To rzeki, lasy, i niwy i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niedola,
To te kurhany, te smętne mogiły —
Co jej obrońców na wieki przykryły.

210. Ojczyzna.

Każdy człowiek ma swoją ojczyznę. Miejsce, gdzieś my się urodzili, gdzie mieszkali nasi dziadowie, gdzie mieszkają nasi rodzice i gdzie przepędziliśmy naszą młodość, nazywamy ojczyzną. Każdy człowiek kocha gorąco swoją ojczyznę i nie chciałby się nigdy na długo od niej oddalać. Tam jest jego rodzina, krewni, przyjaciele, tam każdy człowiek jest mu prawie bratem, bo mówi tym samym językiem co i on.

Zdarza się, że wielu musi porzucić ojczyznę, musi dla chleba iść w świat szeroki, mieszkać pomiędzy

obcemi. Jednakże gdy tylko czas i obowiązek im pozwolą, wracają z radością do swoich.

Powiedz, jak się nazywa twoja Ojczyzna?

211. O co się modlić potrzeba?

A czy wiesz dziecino miła,
O co ci się modlić trzeba?
Ot, by ziemia ta rodziła,
Dużo zboża, dużo chleba.

O te pszenne, żytnie kłosa
O ten miękki, o ten siwy,
O wieczorne srebrne rosy,
Dla tej łąki, dla tej niwy.

O te jabłka na jabłoni,
Co ocienia sady nasze,
O tę ciszę porankową,
W której dzwonią piosnki ptasze.

O jaskółek pełną strzechę,
O skowronka na tym łanie;
Tym, co płaczą, o pociechę,
Tym, co cierpią o wytrwanie.

Dla tych ramion, co się trudzą,
Ty się dziecię módl o siłę,
Dla żyjących w stronach cudzych
O swój krzyżyk i mogiłę.

O to jasne słońko Boże,
Co je chmury skryły w niebie,
A na samym już ostatku
Módl się za mnie i za siebie.

Marja Konopnicka.

212. Gdzie ja znajdę?

Gdzie ja znajdę w cudzym kraju
Takie kwiaty, jak w tym gaju,
Takie brzozy, jak dziewice?
Takie gwiazdy złotolice?

Takie chaty niskie, krzywe,
 Takie pieśni żałośliwe?
 Takie wierzby rosochate,
 Ziemie w krzyże tak bogate?
 Gdzie ja znajdę w cudzym kraju,
 Takie wody jak w ruczaju?
 Takie cudne, dziwne stroje?
 Takie bluszcze i powoje?
 Takie dzieci białowłose
 W koszulinach, zawsze bose?
 Takie bajki przy kądzieli?
 Takie śpiewy, że anieli
 Pewnie lepszych nie umieją,
 Gdy się modlą i sny sieją?
 Oj nie znajdę nigdzie w świecie
 Tylko u nas, — wszak to wiecie!

T. Lenartowicz.

213. Wisła.

Płynie nasza Wisła,
 Rzek królowa hoża,
 Do samego Gdańska,
 Do samego morza.
 Z Tatr wypływa kędyś
 Co się w błękit wznoszą,
 Jej szarawe fale
 Naszą Polskę rosą.
 Pod starym Krakowem,
 Gdzie królewskie groby,
 Płynie Wisła, szumiąc
 Pieśnią z dawnej doby:
 W podziemiach Wawelu
 Sławni króle drzemią,
 Przez sen cicho szepcą!
 „Ziemió nasza, ziemio!”
 Mija Wisła Kraków,
 Szybkiem płynąc lotem,
 Ogląda Sandomierz,
 Pod Płock zmierza potem.

Niosą ciężkie tratwy
 Jej fale szarawe,
 Aż wije się wstęgą
 Pod starą Warszawę.
 Stołeczna Warszawa,
 Polskich grodów pani,
 Wznosi dumne wieże
 Ku niebios otchłani.
 Nie zmoże jej nigdy
 Żadna dola sroga,
 Ona patrzy w niebo.
 Wierzy w łaskę Boga!
 A Wiselka płynie,
 Szepcąc pieśni stare,
 Sieje w ludzkie serca
 Otuchę i wiarę.
 Naszych rzek królowa
 Wspaniała i hoża,
 Jak za dawnych wieków,
 Płynie z Tatr do morza.

Or-Ol.

214. Z tamtej strony Wisły.

Z tamtej strony Wisły
Jest kościół w Krakowie,
W nim święty Stanisław
I polscy królowie.
Póki Wisła płynie
I ten kościół stoi,
Jeszcze się Krakowiak
O Polskę nie boi.

Z tamtej strony Wisły
Jest Wandy mogiła,
Polki bądźcie takie,
Jaką Wanda była.
Jaką Wanda była,
Obcym pogardziła,
Obcego nie chciała,
Bo kraj swój kochała.

215. Wisła.

Nasza się Wisła ukochana toczy przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy; ze źródeł karpackich coraz szersza bieży, unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.

A nad nią owdzie wioska się uśmiecha, chatka się bieli, pochyla się strzecha, i ryczy bydło, pomrukują trzody, gdy je dziewczęta prowadzą do wody.

A nasza Wisła tak spokojna, cicha, że jej nie słychać, tak lekko oddycha i jakąś ciszą uroczą okola nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.

Stare się wierzby nad nią zadumały o swej starości, o spróchniałej korze, ściętych konarach i minionej porze, bo one młodość z Wisłą przeigrały i do niej jeszcze krzywe, karłowate, stroją swe czoło w zieloności szatę.

Rzadko już buki i piękne dąbrowy pławią w jej nurtach przewrócone głowy, lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce lub płacze brzoza przy młodej topolce, a nadwiślańska topola wspaniała nad nurtem wielkie konary rozwiała . . .

Antoni Czajkowski.

216. Przed pomnikiem Mickiewicza.

Na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie stoi pomnik Adama Mickiewicza. Kiedy go budowano,

wszyscy dawali składki — i biedni i bogaci i starzy i dzieci małe.

Ale nie tylko w Warszawie ma pomnik Mickiewicz. W Krakowie na rynku także mu posąg wystawiono, i we Lwowie i w Poznaniu i w wielu małych nawet miasteczkach.

A ciało jego leży w grobach królewskich na wawelskiej górze. Kiedy je z obcej ziemi przywieźli, to zbiegli się ludzie z Polski całej, by iść za pogrzebem, i wieńce przeróżne nieśli. Były złote i srebrne, i z kłosów pszenicznych, bławatkami przewijane, i z żelaza kute spracowaną dłonią i z suchych cierniów wite, i układane z maleńkich książeczek, każdemu sercu miłych, dla każdego zrozumiałych.

Adam Mickiewicz pisał piękne pieśni i niemi w smutkach krzepił i mówił swym rodakom, jak żyć należy.

Adam Mickiewicz całe życie poświęcił, aby ludzi uczynić lepszymi i w sercach kochanie obudzić do ziemi ojczystej i do ludzi wszystkich.

H. O.

217. Tadeusz Kościuszko.

— Co to za obraz, matko, na ścianie?
Rycerz z pałaszem w chłopskiej sukmanie,
Czworo-graniasta czapka na głowie,
Powiedz mi, matko, jak on się zowie?
— Zaraz ci powiem moje serduszko,
To jest nasz rodak sławny Kościuszko.
— Czy żyje jeszcze? — Umarł od dawna,
Ale cześć jego taka jest sławna,
Że dziś w obrazach ozdabia ściany
Panów i kmiotków, bo wciąż kochany,
I żaden Polak jego imienia
Już nie wypowie dziś bez wzruszenia.
— Jakie ma imię? — On Tadeusza.
Imię to nosił; piękna to dusza,

A miłosierny, jak rzadko który,
Walczył za Polskę, wrogów bił z góry,
Aż sam spadł z konia, krwią swą zalany,
Oto wiesz teraz synku kochany.

218. Krakowiak.

Płynie Wisła, płynie
Po polskiej krainie,
Zobaczyła Kraków,
Pewnie go nie minie.

Gdy go zobaczyła,
Wnet go pokochała,
I w dowód miłości
Wstęgą opasała.

Nad moją kolebką
Matka się schylała,
I po polsku pacierz
Mówić nauczała:

Ojciec nasz i Zdrowaś
I Skład Apostolski,
Przytem, bym miłował
Biedny naród polski.

Bo ten naród polski,
Ma ten urok w sobie,
Kto go raz pokochał,
Nie zapomni w grobie.

Płynie Wisła, płynie
Po polskiej krainie,
A dopóki płynie
Polska nie zaginie

219. Baśń o Wiśle.

Był sobie Karpat, potężny władca. Miał czterech synów, a każdy z nich dostał od ojca kawał ziemi.

Najstarszy syn, Beskid, z żoną Boraną wziął ziemię, co leży w tej stronie, w której słońce zachodzi. Gdy Beskid umarł, Borana osiadła na najwyższej górze, wśród ciemnych lasów i wychowała dwie córki: Czarnochę i Białkę. Po śmierci matki siostry, spełniając jej życzenie, miały iść w świat. Żywa Białka pobiegła w jedną stronę. Czarnocha, płacząc, że im się rozstać przychodzi, zeszła w przeciwną stronę góry. Znalazłszy się w dolinie, z radością ujrzała tam Białkę. Siostry obawiały się iść dalej w nieznane światy i wysłały jedną fałę, aby się wywiedziała o drogę. Pierwsza ta fała wysłana, zwana Wyszlą — Wisłą, miała do sióstr

powrócić, lecz zobaczywszy piękny kraj, wzgórza i doliny, pobiegła dalej aż do morza i nie wróciła.

Za tą falą posyłały siostry coraz to inne fale, a wszystkie szły i ciągle dążą tą samą drogą, tym samym krajem aż do morza.

Fale te tworzą piękną naszą rzekę, Wisłę.

220. Na flisa.

Rozegrała się Wisetka
Od letniego słońca!
Pokryły ją gęste tratwy
Od końca do końca —
Hej!
Od końca do końca.

A w tym Gdańsku, a w tem mieście
Ludu, jak dREW w lesie, [cie
Stają, patrzą, rychło Wisła
Chleba im przyniesie
Hej!
Chleba im przyniesie!

Pokryły ją gęste tratwy,
Flisaczą drużyną,
Co z pszeniczką naszą złotą
Aż do Gdańska płyną —
Hej!
Aż do Gdańska płyną.

A ta Wisła, a ta modra
Z gór karpackich płynie,
Rozlewa się szczerem złotem
Po ślicznej równinie —
Hej!
Po ślicznej równinie.

A ta Wisła, a ta modra,
Jako wstęga Boża,
Przepasuje żyzną ziemię,
Do samego morza —
Hej!
Do samego morza.

Marja Konopnicka

221. Flis.

Płynie Wisła, płynie,
Jakby wstęga Boża,
Do samego Gdańska
Do samego morza.

A na Wiśle szarej
Snują się galery,
Leci pieśń flisacza
Skrzydła w wodzie macza.

Płynie Wisła, płynie,
Stary Kraków mija,
Kochaną Warszawę
Falami obwija.
Flisak w imię Boże
Wiezie polskie zboże —
Karmić cudzoziemce,
Angliki i Niemce.

Płynie Wisła, płynie,
Przez krainy cudne,
Myje żyzne pola,
Płucze grody ludne.
Naszych rzek królowa,
Wisła lazuruwa,
Płynie na kraj świata,
Z Bałtykiem się brata.

Płynie Wisła, płynie,
Nie wyschnie przez wieki,
Ni ją zmożą chłody,
Ni wypalą spieki.
A na niej flisaki
Jak przelotne ptaki,
Suną z dębem, sosną,
Nucąc pieśń radosną. *Or-Or.*

222. Nasze rzeki.

Z Karpat do Bałtyku
Płynie Wisła, płynie,
Największa to rzeka
W tej naszej krainie;

Wisła różne rzeki
Przyjmuje w swym biegu,
San, Wieprz i Bug z Narwią
Ma z prawego brzegu.

Splawiają też po niej
I drzewo i zboże,
Rozwożą je ludzie
Het! het aż za morze.

Z lewego zabiera
Pilicę i Bzurę
I inne dopływy
Dość duże niektóre.

Jest też u nas Warta,
Rzeka to nielada,
Płynie i do Odry
Razem z Prosną wpada. *H. B.*

223. Tatry.

Dziś wam opowiem o górach, które leżą daleko
od Warszawy, aż za Krakowem; nazywają się Tatry.

Kiedy się jedzie ku tym góróm, ku Krakowowi, już na kilkadziesiąt mil przedtem grunt się podnosi; nie znać tego w drodze kolejną, ale gdyby można, obróciwszy się za siebie, dostrzedz Warszawę, to byście widzieli, jak tam Warszawa w dole została. Jednakże dopiero od Krakowa okolica zmienia się bardzo widocznie. Już niema, tak jak u nas na Mazowszu, pól równych niby stół, lasów pod jedną linię — ale ziemia, czy się zbożem złoci, czy zieleni trawą, czy ciemnieje lasami, jest cała powyginana w ogromne garby. Ciężko ją uprawiać i jeździć po niej. Czasem na drodze staje taka wyżyna, że kolej z trudem musiałaby się dźwigać, więc ludzie woleli przewiercić górę i przez jej środek przechnąć kolej.

Kiedy człowiek zbliża się ku Zakopanemu, to mu się wydaje — w piękną pogodę, jakby od samej ziemi podnosiły się chmury, to wyższe, to niższe, to zębate, to okrągłe, to znów śpiczaste — jedno przy drugich, niby szereg wieżyczek i kopuł kościelnych różnej wielkości i kształtu. Widnieją one na tle nieba najpięszaro, potem coraz błękitniej, ciemniej. To są góry — to Tatry.

Są tak wysokie, że podczas pięknej pogody widać je na kilka mil. Lecz nie stoją one w jednym rzędzie, jak to się zdaleka wydaje; zbliżając się, widzisz, jak się jedna z poza drugiej wysuwa, jak się szeregi rozstępują. Chodzić po tych górach nie każdy potrafi. Idzie się po drogach stromych i krętych, po wąziuteńkich skalistych ścieżkach, nad samą przepaścią. Kto chce dostać się na szczyt, musi się wspinać coraz wyżej po ostrych głazach, schodzić po chwiejących się kamieniach, które się w drobny gruz osypują i wymykają z pod nogi. Ale mieszkańcy tamtejsi — górale znają

wszystkie przejścia, wiedzą, jak niebezpieczeństwa unikać, prowadzą więc gości bardzo ostrożnie, co się z całej Polski, a nawet z obcych stron zjeżdżają, oczy widokiem gór nacieszyć, zdrowia w czystym górskim powietrzu szukać.

Wśród gór, pomiędzy skałami ciągną się doliny. Środkiem tych dolin płyną bystre potoki, skaczące po głazach ogromnych, a po bokach piętrzą się lasy drzew świerkowych.

Wyobraź sobie, że z wysokich wierzchołków patrzysz na całe gniazdo gór rozmaitej wielkości i kształtu. Ta siedzi niby wielki mnich zakapturzony — ta strzela w niebo, smukła niby wieża kościelna, ta cała poszczerbiona w ostre zęby, jak powyłamany grzebień. Jedne góry gęstym lasem porośnięte, wydają się prawie czarne, mgła waży się białymi obłokami, nad innemi rozdziera się w pasma i buja w powietrzu. Niektóre góry wydają się ciemno-szafirowe, dalsze sine lub szarawe. Na wierzchołkach najwyższych gór bieleje śnieg i połyskuje w promykach słońca.

Patrzysz, patrzysz, a w piersiach lekko ci, miło, bo czujesz się naprawdę bliżej nieba. Żal ci tylko, że nie masz skrzydeł, jak ten orzeł, co ot właśnie zerwał się ze skały i leci ku innej, jeszcze wyższej.

C. Stettlerowa.

224. Twoja ojczyzna.

Ojczyzna twa, dziecię,
To cały ten kraj,
Te lasy i pola,
Ten ogród i gaj
I strumień, co srebrnie
Pod słońca blask drga,
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna twa!

Ojczyzna twa, dziecię,
To rzędy tych chat,
Gdzie mieszka kміeć szczerzy,
Rodzony twój brat,
I kwiatów tysiące
I ptaszek tych ćma,
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna twa!

Ojczyzna twa, dziecię,
To każdy nasz gród,
Gdzie siedzi od wieków
Hartowny w łzach lud,
Gdzie echo przyszłości,
Jak złota pieśń gra,
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna twa!

Ojczyzna twa, dziecię,
To wstęgi tych rzek,
Co kraj ten zraszają
Od wieku po wiek,
I góry podniebne,
Co wieńczy je mgła,
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna twa!

Ojczyzna twa, dziecię,
To mogił tych świat,
Gdzie leżą umarli:
Pradziady i dziad,
Gdzie w ziemię krew wsiąkła
I pot ich i łza,
To wszystko, to wszystko!
Ojczyzna twa! *Or-Or.*

225. Jak kochać Ojczyznę?

Jak kochać Ojczyznę,
To kochać serdecznie,
Kochać całym sercem,
Nie raz, ale wiecznie.

Jak kochać Ojczyznę,
To kochać pocziwie,
I uczyć się pilnie
I żyć sprawiedliwie.

Jak kochać Ojczyznę,
To nad wszystko w świecie,
I dla niej pracować,
Wszakże wszyscy wiecie?

Jak kochać Ojczyznę,
To więcej niż siebie,
I za nią się modlić
Do Królowej w niebie.

I prosić, by było,
Jak dawniej bywało,
Tak kochać Ojczyznę
Jej dzieciom przystało.

226. Jak wygląda świat?

Świat ten cały jest ogromny,
Wielkie lądy, morza,
A nad nimi błękitnieją
Niebieskie przestworza

Na niebiosach słońko stoi
Wysoko, wysoko,
Opatruje ziemię całą
Jego złote oko.

A pod słonkiem klęczą góry,
Karpatowe szczyty,
I podnoszą skalne głowy
W przejasne błękity,

A z gór lecą jasne zdroje,
W oną Wisłę cieka,
Co to idzie aż do morza
Daleko, daleko...

A nad Wisłą leżą pola,
Chwieją złote kłosy,
A w nizinach łąki pachną,
Wysrebrzone rosy.

A po skrajach het! daleko
Szumią ciemne bory,
Szemrzą gaje i dąbrowy
W te letnie wieczory.

Tu, tam sterczy gród zamkowy
I kościelne wieże,
Wioski do nich tulą głowy,
Czarny krzyż ich strzeże...

A po wioskach lud w sukmanie
Kraje pługiem role
A skowronek przyśpiewuje
Lecący przez pole.

A słoneczko się uśmiecha
Promieniami złotymi,
Błogosławi niskim strzechom
I tej całej ziemi.

Marja Konopnicka.

227. Doba.

Doba ma 24 godzin i składa się z dnia i nocy. Początek nowej doby, czyli nowego dnia, liczymy od północy. Początek dnia nazywa się porankiem, a koniec dnia wieczorem. Środek dnia nazywa się południem, a środek nocy północą. Poranek rozpoczyna się ze wschodem, a wieczór z zachodem słońca. W południe słońce najwyżej znajduje się na niebie. W południe i o północy zegar wskazuje dwunastą godzinę. Czas od poranku do południa nazywa się przedpołudniem, a czas od południa do wieczora nazywa się popołudniem. Dzień jest przeznaczony do pracy a noc do spoczynku. W lecie dni są dłuższe, niż noce, a w zimie noce są dłuższe, niż dni.

228. Jedna doba.

1. Raz, dwa, trzy... dwanaście. Północ wybiła. Zapiały we wsi koguty. Ciemno, wszyscy śpią. Noc głucha.

Mijają godziny... godzina przeleci prędko. Kto umie liczyć, niech szybko przerachuje do sześćdziesięciu, a upłynie minuta. Takich minut jest w godzinie sześćdziesiąt. Na zegarze, jak widzicie, są dwie wskazówki. Skoro duża wskazówka wokoło tarczy zegara, czyli cyferblatu obejdzie, to godzina przeszła.

2. Ciemność zmniejsza się. Niebo coraz jaśniejsze — to świt. Ale jeszcze cisza. Naraz niebo zaczyna rumienić się. Różowy pas rozwija się niby wstążka. To zorza. Ptaki budzą się po gniazdach, psy poszczekują.

W tem błysnął promień jeden, drugi. Zajaśniało dokoła. Wschód słońca. Aż tu i ptaki nie zaczną śpiewać:

— Chwała Ci Boże! Dzięki Ci za noc spokojną! Dzięki za dzień jasny!

3. Pobudzili się ludzie, powstali, pracują... Czas płynie. Zegar bije jedenastą. Mija jeszcze godzina. Słońce świeci teraz prost nad głowami. Od północy ubiegło dwanaście godzin. Ot i południe, pora spoczynku dla ludzi jak i dla zwierząt.

Przeszedł czas jakiś, wypoczynek minął, nowa zaczęła się praca. — Słońce zniża się... obłoki czerwienieją, ptaki wracają do gniazd... ludzie do mieszkań. Zbliża się zachód słońca.

4. Jeszcze chwila, już słońca nie widać. Tam, gdzie zniknęło, obłoki ze złotych stają się czerwone, z czerwonych fioletowe, wreszcie ciemno. Ptaki przestały świergotać. Wszystko cichnie... Nadchodzi noc.

Coraz ciszej... coraz ciszej... nawet umilkło psów szczekanie.

I znowu zegar bije raz, dwa, trzy... dwanaście... Północ.

Człowiek i zwierz i stworzenie każde przeżyło dzień i noc, czyli jedną dobę, przeżyło godzin dwadzieścia cztery.

229. Tydzień.

Pamiętaj, mój synku:
Niedziela — dzień odpoczynku!
Poniedziałek gdy zaświta,
Każdy się już z pracą wita;
I ty, synu, chociaż mały,
Pracuj pilnie dzionek cały.

Trzeci z rzędu idzie Wtorek.
Jeśli chcesz mieć pełen worek,
Pracuj żwawy i ochoczy,
Bo i to dzionek roboczy.

Środa, Czwartek, Piątek idzie:
Żyć jeśli nie chcesz w biedzie,
Gdy się dzielić chcesz z rodziną,
Niech ci marnie dni nie płyną:
Niech twe serce kocha, czuje —
Niech myśl, ręka twa pracuje!

Zbliża się wreszcie Sobota,
Kończy się w wieczór robota,
A nazajutrz znowu czeka
Odpoczynek dla człowieka.

230. Tydzień.

Tydzień składa się z siedmiu dni. W sześć dni Pan Bóg stworzył świat, a siódmego dnia odpoczął. Dlatego ludzie pracują przez sześć dni powszednich czyli roboczych, a jeden dzień odpoczywają. Dzień odpoczynku nazywa się niedziela. Po niedzieli następują dni powszednie w takim porządku: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota.

231. Miesiące.

W styczniu śniegi i mróz ściska,
Każdy ciągnie do ogniska.
Przyjdzie luty, sporządzi buty,
Bo wnet przyjdą deszcze, pluty,
A po lutym marzec śpieszy,
Koniec zimy wszystkich cieszy;
Kwiecień życie daje trawce,
Gra pastuszek na ligawce.
Maj zieleni łąki, drzewa,
Już i słowik w krzakach śpiewa.
Czerwiec daje dni gorące,
Kosa brzęczy już na łące.
W lipcu słońce znów doskwiera,
Miód na lipach pszczołka zbiera
Sierpień ludzi zbożem darzy,
Zbiór i radość dla żniwiarzy.
W wrześniu owoc ciąży drzewu,
Rolnik chodzi wedle siewu.
Ledwie minął piękny wrzesień,
Już październik, już i jesień.
Już listopad listki zrywa
W polu ptaszę już nie śpiewa
W grudniu rzekę kryją lody,
A lud. cieszy się na gody.

232. Cztery pory roku.

Wiosna nam daje
Prześliczne kwiecie;
Żyto, pszeniczkę,
Zbieramy w lecie.

A blada zima,
Co ona niesie?
Czy tylko śnieżek
W polu i w lesie?

Jesień ma także
Swoje pociechy;
Daje nam jabłka,
Śliwki, orzechy,

O! wszak i zima
Mą swą zabawkę:
Daje choinkę,
Sannę ślizgawkę.

233. Wiosna.

W marcu słońce silniej ogrzewa ziemię. Śniegi topnieją, lód na rzekach pęka i spływa do morza. Bociany i jaskółki przylatują. Pola, łąki i lasy pokrywają się zielenią. Kwitną piękne kwiaty. Codzień prawie jest cieplej.

Rolnik spieszy w pole: orze, sadi kartofle, sieje zboża jare. W ogrodach pracują ogrodnicy: obierają drzewa z gąsienic, kopią ziemię i sadzą warzywa. Pastuszek pędzi bydło na paszę i wygrywa na fujarce wesołe piosnki.

W gajach slychać przepiękny śpiew słowika. I pracowite pszczołki wybiegły już z ula, a przelatując z kwiatka na kwiatek, zbierają miód dla siebie i ludzi. Miesiące wiosenne są: marzec, kwiecień i maj.

234. Na wiosnę.

Wszędzie miło, wesoło!

Zielenić się zaczyna,

A przy drogach wokoło

Kwitnie biała tarnina.

Skowroneczek gdzieś w chmurze

Przyśpiewuje radośnie,

Kwitną fiołki i róże,

Dzięcioł kuje na sośnie.

Jaskółeczka much szuka,

Kukuleczka wciąż kuka,

A chłopczyki, dziewczeczki

Wiją z kwiatów wianeczki.

235. Wiosna.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,

I rzeka porusza się gładko.

Jaskółki, szczebiocąc, wybiegły z pod wody, —

Całe ich unosi się stadko.

Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej, —
Nad czystą, jak kryształ rzeczulką,
A coraz to szybciej, a coraz to czyżej,
A wkółko, a wkółko, a wkółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce,
Pasą się dwie krówki, baranek;
A pastuch przygrywa na długiej ligawce
I słonko przygrzewa poranek.
Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy i cichszy
W zielonym gaiku przepadnie.
Ligawka przycichnie, to dzwonek z kościółka
Na ranne modlitwy zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczołka
Zabrzęczy na kwietnej, na błoni;
A pszczołka przysiadzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
O, Boże mój drogi! w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i letsze!...

Teofil Lenartowicz.

236. Lato.

Po wiosnie nastaje lato. Jest to najgorętsza pora roku. Dni latem są bardzo długie, a noce krótkie. Latem rolnik ma najwięcej pracy. Najpierw kosi siano, następnie sprząta: żyto, pszenicę, owies, jęczmień, groch, tatarkę. Przez cały dzień zajęty jest w polu ciężką pracą. Umila mu pracę śpiew skowronka.

W ogrodach dojrzewają smaczne truskawki, maliny, porzeczki, czereśnie i inne owoce. Dla uczącej się dziatwy lato jest najprzyjemniejszą porą roku, gdyż w tym czasie przypadają wakacje, które trwają przeszło dwa miesiące. Dzieci zwykle wyjeżdżają na wieś, co jest dla nich największą rozkoszą.

Letnie miesiące są: czerwiec, lipiec, sierpień.

237. Jesień.

Po gorącym lecie nastaje chłodna i dżdżysta jesień. Dni są coraz krótsze i chłodniejsze, a poranki zimne. Praca w polu nieukończona. Jeszcze nie sprzątnięto kartofli, buraków, marchwi, brukwi i kapusty.

W ogrodach drzewa uginają się pod ciężarem owoców. Ogrodnicy zrywają je i układają w piwnicy, albo też wiozą do miasta na sprzedaż.

Jesienią wieśniacy sieją żyto i pszenicę. Zboże zasiane jesienią nazywa się oziminą. Kiedy wieśniacy mają mniej w polu roboty, zwłaszcza dziewczęta i chłopcy, chodzą do lasu na grzyby i borówki. Rano już szron pokrywa budynki. Często padają deszcze.

Jesienne miesiące są: wrzesień, październik i listopad.

238. Jesień.

Żółte listki brzoź
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa złota.
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Żle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa:
Wicher je rozwiewa
Na deszczu we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem... *L. Rydel*

239. Piosnka o jesieni.

Pod owocem gną się drzewa,	Krótkie dzionki, dłuższe noce
Jabłoń się rumieni;	Wiatr szumi przez pole;
Coraz smutniej ptaszę śpiewa,	Lecz się rolnik nie kłopoce,
Jak zwykle w jesieni.	Bo zboże w stodole.

Przyszła jesień gospodarna,
Dała, co potrzeba:
Nasypała w śpichrze ziarna,
Więc nie braknie chleba.

240. Zima.

Dzień zimowy jest bardzo krótki, a noc bardzo długa. Nastają mrozy i zimno dokucza. Śnieg pokrywa ziemię i skrzypi pod nogami. W niektórych miejscach wznoszą się zasypy śnieżne. Wróble chronią się pod strzechy; wrony i sroki szukają pożywienia koło chat i zabudowań gospodarskich. Szczęśliwi są ludzie, którzy mają kąt ciepły, którzy nie potrzebują obawiać się mrozów.

W mieście ludzie pracują jednakowo i latem i zimą, na wsi praca w zimie jest zupełnie inna. Gospodarze młócą zboże, jeżdżą do lasu po drzewo na opał. Gospodynie przędą len i konopie.

Czasem do jednej chaty zbiera się wieczorem kilka dziewcząt; przędą len i śpiewają różne pieśni. Dzieci wieśniaków przez zimę chodzą do szkoły. Wiosną, latem i przez pierwszą połowę jesieni nie mogą się uczyć, muszą pomagać rodzicom w gospodarstwie.

Tak w mieście jak i na wsi chłopcy i dziewczęta cieszą się, gdy jest dużo białego lśniącego śniegu. Ulepiają wtenczas dużego bałwana i rzucają w niego śnieżkami. Jak się rozigrają, to kulki śnieżne, zamiast w bałwana, uderzają w nich samych. Ale to nic, przy śmiechu i zabawie nie czuje się bólu! Dzieci uważne rzucają zwykle śnieżkami niżej głowy, aby nie trafić w oko. Zdrową i przyjemną zabawą jest ślizganie się na zmarzłej wodzie lub też jazda saneczkami.

Zimowe miesiące są: grudzień, styczeń, luty.

241. Zima.

Nasza zima biała
Chustą się odziała,
Idzie, idzie do nas w gości
W srebrnych blaskach cała!

Włożyła na czoło
Księżycowe koło,
Lecą z płaszcza gwiazdy złote,
Gdy potrząśnie połą.

Z lodu berło trzyma,
Tchu, ni głosu niema,
Idzie, idzie smutna, cicha
Ta królowa zima!

Idzie martwą nogą
Wyiskrzoną drogą;
Postawały rzeki modre
Do morza nie mogą.

Gdzie stąpi, gdzie stanie,
Słysząc narzekanie:
— Oj biedne my kwiaty, trawy,
Co się z nami stanie!

242. Śnieżycą.

Zahuczały, zaświstały
Wichry w srebrny róg;
Leci, leci tuman biały,
Aż na chaty próg.

A ja stoję u okienka,
A ja patrzę w dal;
Milknie, cichnie ma piosenka,
Serce chwytą żal.

Na tej chaty próg lipowy,
Co ochrania nas,
Co otula nasze głowy
W zły śnieżycy czas.

Oj niejedna tam sierota
Na tem zimnie drży!
Wiatr chuścina biedną miota,
A mróz ścina łąy...

O ty chato nasza droga,
Rozszerz ściany swe!
Pójdź, sieroto, dziecię Boga,
My utulim cię!

Marja Konopnicka.

243. Na lodzie.

Wysypała się gromada
Na lodowy szlak,
Jak pieniąca się kaskada,
Co w podskokach z góry spada
I mknie w dal, jak ptak.

Wysypała się gromada
Na lodowy szlak.

Szlak usłała można zima,
Skrzydłem — łyżwy stal.
Nikt ich w pędzie nie zatrzyma,
Ledwo dojrzyć ich oczyma,
Gdy szybują w dal...
Szlak usłała można zima
Skrzydłem — łyżwy stal.

Mroźny podmucha twarz rumieni...

Ale fraszką chłód!

Lekko naprzód pochyleni,

Po srebrzystej mkną przestrzeni.

Jak po toni wód.

Mroźny podmucha twarz rumieni,

Ale fraszką chłód.

Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni,

Kreśląc śmiały łuk.

Rączy cugi mają oni: —

Młodą krew, co tętni w skroni,

Zręczność żywych nóg.

Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni

Kreśląc śmiały łuk.

Tną lód, aż przechodzą ciarki...

Wietrze, ty ich goń!

Lecz łyżwiarze i łyżwiarki,

Tym co padną w jeździe szparkiej

Bratnią podać dłoń...

Tną lód, aż przechodzą ciarki,

Wietrze, ty ich goń!

lg. Baliński.

244. Kropla wody.

W rzece spokojnie przepędzała czas kropelka wody. Zachciało się jej trochę podróżować. Zaczęła więc prosić słoneczko, żeby ją wzięło do siebie.

Słoneczko ogrzało kropelkę wody; kropelka zamieniła się w parę i podniosła się wysoko, wysoko w górę.

Teraz spokojnie bujała w obłoczku nad miastami i wioskami, nad lasami, polami i łąkami. Nareszcie zatęskniła do domu. Zaczęła więc prosić słoneczko, żeby mogła wrócić.

Słoneczko przestało ją ogrzewać, a para przez zimno zamieniła się znowu w kropelkę i upadła w swą rzekę.

245. Historia bryły ziemi.

1. Przy drodze leżała bryła ziemi. Ani rosła, ani zmniejszała się, leżała bez zmiany, bez ruchu, zwyczajnie jak to, co nie żyje, jak kamień, glina, kawałek żelaza.

Takie rzeczy, które nie rosną, nie żywią się, nie ruszają, w których żadna widoczna nie zachodzi zmiana, ludzie nazwali minerałami.

Minerałów jest bardzo wiele, z czasem je poznacie.

Bryła ziemi leżała długo, aż przyszedł jakiś chłopiec i trącił ją nogą. Stoczyła się na sąsiednie pole i w proch się rozsypała. W chwilę potem na mięciutkiem posłaniu spoczęło ziarno jakiejś rośliny. To wiatr swawolnik przyniósł je z sąsiedniego ogrodu. Niedługo ciepły deszcz zaczął padać.

Padał... padał... rozpuścił sole, to jest minerały w głębi ziemi ukryte.

2. Tymczasem z nasionka wysunęły się kielki. Jeden w górę, to była łodyżka, drugi w dół, to był korzonek.

Korzonek zaczął ciągnąć soki, a roślina żywiła się nimi.

I tak owe sole, owe minerały w jakiś dziwny, Bogu tylko wiadomy sposób zamieniły się w łodygę, w listki, kwiaty, a potem i owoce rośliny.

Rośliny ciągną z ziemi korzeniami soki, a listki biorą z powietrza to, co im potrzeba. Roślina rodzi się, żywi, rośnie i schnie czyli umiera... Roślina żyje.

Ale moja historia jeszcze nie skończona.

Razu pewnego, w nocy, na pole przybiegł zając. Siadł sobie pod roślinką, a że była smaczna, więc ją schrupał całą. Nawet łodygom nie darował.

I cóż się stało z rośliną w ciele zająca?

Po różnych zmianach zrobiła się kropelką krwi, a potem jakąś częścią jego ciała.

Dziwne koleje przechodziła bryła ziemi. Mineral stał się częścią rośliny, roślina częścią zwierzęcia.

A jakim sposobem?

To Boża tajemnica, dzieci.

246. Węgiel kamienny.

Gdy spalimy drzewo, otrzymamy węgielek ciemny, szary, z połyskiem, kruchy, nie bardzo twardy. Węgiel, którym palimy w piecach, jest czarniejszy, silniej błyszczący, twardy jak kamień, dlatego zowiemy go węglem kamiennym. Leży on głęboko w ziemi, skąd go ludzie wydobywają. Węgiel kamienny wytworzył się w ziemi bez pomocy człowieka, a stało to się tak: Przed wielu tysiącami lat ziemię pokrywały wielkie przestrzenie błót, porosłych olbrzymimi lasami. Woda podmywała te lasy, drzewa przewracały się jedne na drugie; woda je zatapiała razem z trawą i innymi roślinami tworzącemi torfowisko i nanosiła piaskiem, tak iż po pewnym czasie nie było ich widać z pod piasku i gliny — leżały głębiej. Zapadając się, zwęglaly, tworząc czarną masę węgla na kilka wiorst długą, a na kilkadziesiąt łokci grubą. To są właśnie pokłady węgla, które z kopalni wydobywamy.

247. Kopalnie węgla.

Bardzo ciekawy jest widok podziemnej kopalni węgla. Dla założenia kopalni kopie się najpierw w ziemi głęboką studnię aż do pokładu węgla. Otwór taki zowie się szybem. Przez szyb do pokładu węgla spuszczaą się górnicy. Napotkawszy już ten pokład,

zaczynają oni węgiel odrąbywać żelaznemi dragami. Gdy wyjmą spore kawały węgla, tworzy się w tem miejscu jama, której ściany podpierają słupami i belkami, aby się nie zawaliły; potem dalej kopią węgiel. Tym sposobem powstają wielkie podziemne jamy i korytarze. Wylamany węgiel ładują na wózki, ciągnięne po szynach przez konie lub pchane przez ludzi i dowożą je do windy. Węgiel zostaje przeładowany na windę, która podnosi go na powierzchnię ziemi.

Praca górników jest bardzo ciężka; nie widzą oni światła słonecznego, bo wciąż pozostają pod ziemią; przy robocie używają małych lampek; oddychać muszą pyłem węgla i powietrzem wilgotnem. A ile jeszcze niebezpieczeństw grozi górnikowi: odłam węgla może go zranić lub zabić.

Pożar także łatwo w kopalni wybucha. U nas kopalnie węgla są w Dąbrowie Górniczej i w Będzinie.

248. Żelazo.

Nikt się bez żelaza obejść nie może: jest ono niezbędne w codziennym użytku.

Chcesz powiesić obraz, potrzebny ci gwoździć; chcesz zamknąć szafę, musisz mieć klucz i zamek; chcesz obiad ugotować, potrzebny ci nóż, tasak, garnek żelazny, brytwanna; chcesz coś uszyć, nie możesz tego uczynić bez igły, nożyczek. Wszystkie te drobne przedmioty są z żelaza zwyczajnego, albo też z oczyszczonego, zahartowanego, tak zwanej stali.

A ile to większych rzeczy robi się z żelaza! Mamy z niego sierp, kosę, bronę, pług, wielkie kotły w fabrykach, wszystkie maszyny, począwszy od tej, na której się szyje, aż do olbrzymich machin parowych. Koleje żelazne, mosty na wielkich rzekach,

wszakże i one także z żelaza. Najwyższa nawet wieża na świecie jest z tego kruszcu zbudowana.

A dla czego ludzie robią tyle rzeczy z żelaza? Bo jest ono mocne, twarde i trwałe.

Żelazo, wykopane z ziemi, nazywa się rudą żelazną. Rudę tę trzeba oczyszczać i topić w ogromnych piecach w hucie żelaznej; oczyszczone w ten sposób żelazo nazywa się lanem. Nie jest ono jeszcze bardzo mocne; trzeba je więc topić raz jeszcze i bić w sztaby. Wtedy żelazo nazywa się kutem.

Kute sztaby kupuje kowal i za pomocą rozgrzewania może nadać żelazu taką formę, jaką chce. Może z niego zrobić nóż, kosę, obręcz na beczkę lub koło, co mu się podoba.

Kto nie widział pracy kowala, to niech przy pierwszej sposobności zajrzy do kuźni, a sam się o tem przekona.

249. Złoto i srebro.

Pierścionek mamy jest ze złota, a naparstek ze srebra; złoto jest żółte, a srebro białe; obydwie te kruszce należą do najdroższych, tak zwanych szlachetnych i znajdują się w ziemi.

O, bo ta ziemia nasza jest nieprzebraną skarbnicą! Od wieków z niej ludzie dobywają różne kamienie, metale; wybiorą je w jednym miejscu, a w innym nowe skarby odkryją.

Złoto znajduje się nie tylko w ziemi, lecz i w zwierze niektórych rzek. Piasek taki się przemywa, a ponieważ ziarna złota są cięższe od ziarn ziemi, złoto więc pozostaje na dnie koryta, a piasek z wodą spływa. Złoto ma piękny blask i tak się daje rozciągać, że jednym dukatem możnaby konia z jeźdźcem pozłocić.

Ze złota wyrabiają najdroższą monetę i różne ozdoby. Służą także do plombowania zębów i do połączania innych metali.

Srebro wykopują w większych ilościach, dla tego jest tańsze. Znajdują je jako żyły w niektórych kamieniach, albo też jako rudę srebrną w połączeniu z innymi metalami.

Z srebra wyrabiają także w mennicy pieniądze, a prócz tego robią z niego w fabrykach dla ludzi bogatszych: łyżki, widelce, okładki do noży, lichtarze, świeczniki, lampy i inne sprzęty.

Przedmioty ze złota i srebra są ozdobne, ale bez nich się człowiek doskonale obejść może.

Większość ludzi nie posiada żadnych sprzętów ze złota i ze srebra; metale te, chociaż więc są najdroższe, nie są wcale najużyteczniejsze.

250. Nafta.

Przed kilkudziesięciu laty nie znano nafty. Ludzie ubożsi oświetlali izbę zapalonem łuczywem, a zamożniejsi używali świec łojowych lub stearynowych.

Łuczywo niewiele daje światła, tworzy dym i swąd. Świece łojowe trochę jaśniej płoną, ale wydają zapach niemiły.

Dziś mało się posługujemy świecami, palimy lampy naftowe, które są o wiele jaśniejsze, niż świece.

Nafta nazywa się inaczej olejem skalnym. Nie wytryskuje ona jednak ze skał, lecz znajduje się pod powierzchnią ziemi w znacznej głębokości.

Aby ją na wierzch wydobyć, trzeba wiercić w ziemi dziury dużemi żelaznemi świdrami. Gdy otwór dojdzie do zbiorowiska nafty, tak zwana ropa wytryska przez ten otwór, jak fontanna.

Takiej nafty nie można jeszcze używać, bo jest zanieczyszczona, a paląc się, wydawałaby swąd i tworzyła kopec.

W miejscowościach, gdzie znajduje się ropa, są fabryki do odcyszczania tego płynu.

Praca przy wydobywaniu i oczyszczaniu nafty jest przykra i uciążliwa. Ropa zabrudza robotnikom ręce, ubranie, sprzęty, a silny jej zapach przenika wszystkie zakątki fabryki, domów i ogrodów. Nawet o kilka wiorst od źródła nafty powietrze jest przesiąknięte przykrą jej wonią.

Jakże wdzięczni powinniśmy być tym ludziom, którzy ciężką swą pracą dostarczają nam nafty do oświetlania i ogrzewania!

S. Karpowicz.

251. Słów kilka o soli.

Sól służy do codziennego użytku. Jest ona zdrową przyprawą i bez niej pożywienie byłoby mdłe i niesmaczne. Widzimy ją zwykle na stole jako drobny, biały proszek. Lecz nie zawsze sól jest taka.

Wydobyta z kopalni, przedstawia nam się jako wielkie, nierówne kamienie barwy szarawej, żółtawej lub czerwonej. Czasem bywają bryły soli zupełnie czyste, jak szkło i taka sól potłuczona jest najbielszą. Największe kopalnie soli są w Bochni i Wieliczce niedaleko Krakowa. Ludzi, którzy sól z kopalni wydobywają, nazywamy górnikami; odrębuja oni bryły soli żelaznymi dragami, czyli kilofami.

Oprócz soli kopalnianej mamy jeszcze sól, wydobywaną z wody słonej, czyli takz wana warzonkę.

Woda w morzu i w wielu źródłach jest słona. U nas takie źródło słone jest w Ciechocinku.

Sól nie tylko do przyprawiania potraw jest pożyteczna. Służy ona także do przyrządzania lekarstw i na kąpiele, które bardzo wzmacniają słabowite dzieci.

Czerwoną sól dają owcom; jest ona dla nich zdrowym przysmakiem.

252. Ryż.

„I w Paryżu nie robią z owsa ryżu“, mówi przysłowie, to znaczy, że i w Paryżu głupi nie zostanie mądrym, albo — że rzeczy zwyczajnej, pospolitej nie potrafią i w Paryżu zmienić na nadzwyczajną.

To więc ryż jest rośliną osobliwą, nadzwyczajną? A tak. Ze względu na swój pożytek i sposób uprawy. Znamy go wszyscy i jadamy jako kaszę, rozmaicie przyrządzaną; to na słodko, to na słono, to na sypko, to na gęsto, to na zimno, to na gorąco. Do nas przywożą jednak ryż już gotowy t. j. otluczony w drewnianych stępach z brunatnej łuski, którą jest pokryty tak samo, jak ziarna wszystkich zbóż.

Bo ryż także jest zbożem i należy, jak pszenica i żyto, do gatunku tak zwanych „trawiastych“. Rośnie jednak tylko w gorącym klimacie, a przedewszystkiem w Chinach, kraju położonym w Azji, skąd także pochodzi herbata. Jest on tam tak pożyteczny, jak u nas żyto i kartofle, bo stanowi codzienne pożywienie i zastępuje chleb.

Uprawo jego bardzo uciążliwa, ale Chińczycy nie żałują trudu, bo wiedzą, że im się opłaci. Zasiane ryżem pole trzeba kilka razy zalewać wodą i dla tego otaczają je wałem, aby dowolnie wodę spuszczać, albo nią pole zalewać. Gdy się wodę spuści, trzeba plantację ryżu starannie z chwastów opielać. Łodyga czyli źdźbło dochodzi do półtrzecia łokcia wysokości;

listki ma tylko u dołu, jak nasze zboża, a u wierzchołka podobną do prosa wiechę, którą się obcina i młóci. Z ziarn wymłóconych zdziera się brunatną łuskę i wtedy ryż już gotowy do użytku. A użytek ten nie mały, bo drobnymi swemi ziarnami żywi prawie pół ludności na całym świecie.

253. Jakie są zwierzęta.

I.

Na polach, łąkach, w lesie, w rzekach, jeziorach i w morzu spotykamy przeróżne zwierzęta. Dużo ich uwija się nad naszymi głowami w powietrzu, dużo przebywa w ziemi, po której chodzimy. Jeżeli ktoś nie myje się, nie czesze, nie czyści sobie ubrania i nie zmienia bielizny, to na ciele jego, we włosach i w odzieży gnieźdzą się różne zwierzątka, niezbyt przyjemne, jak pchły, wszy lub pluskwy.

Wygląd i wielkość zwierząt są bardzo rozmaite; obok tak wielkich, jak koń, krowa, wół i większych jeszcze od tych: słoń, żyrafa, wielbłąd, wieloryb i t. p., które żyją w gorących krajach, widzieć można wszędzie małe stworzonka o przedziwnych kształtach, a każde z tych zwierząt ma swoje zwyczaje, swoje upodobania, uciechy swoje i smutki.

Jest też niezliczone mnóstwo zwierzątek tak małych, że rozpoznać je można tylko przez szkła bardzo powiększające, przez mikroskop, dlatego też zwierzątka takie nazywamy mikroskopijnymi.

W ziemi, w wodzie, a także w kiszkiach człowieka i zwierząt różnych żyją robaki. Z robaków znacie zapewne jednego, mianowicie dżdżownicę, którą mylnie nazywają glistą. Robak ten, jak i wszystkie, ciało ma długie, bez nóg, wałkowate, choć są także robaki

spłaszczone, n. p. pijawka. Muchy, komary, motyle, żuki i tym podobne zwierzęta to owady, i nie powinno się mieszać ich z robakami.

Owady mają ciało złożone z głowy, tułowia i odwłoka, na tułowiu sześć nóg i skrzydła; krew wodnistą zimną, a rozmnażają się w ten sposób, że składają jaja, z których rodzą się larwy niepodobne do rodziców i przechodzą przemiany, zanim się staną owadem takim, jak ten, który jajka złożył.

Żaby, jaszczurki, które często pewno spotykacie, stanowią grupę zwierząt, zwaną gadami. Gady mają głowę, tułów i dwie pary nóg, albo kończyn. Wewnątrz ich ciała są kości, które stanowią szkielet. Krew mają czerwoną, jak u człowieka, ale zimną. Składają jaja, z których wylęgają się młode, bez opieki rodziców żyją, przechodzą przemiany i ukształcają się na takich, jak ich rodzice.

Węże i żmię należą do płazów.

Płazy mają także szkielet, krew zimną, czerwoną. składają jaja, nie opiekują się swemi małemi, które z jaj wychodzą odrazu takie, jak ich rodzice, tylko z początku maleńkie.

Raki stanowią oddzielną grupę zwierząt, ślimaki także.

II.

Zwierzęta, które mają głowę, tułów, ogon, skórę pokrytą łuską, kończyny zamienione w pletwy, służące im do pływania, i żyją w wodzie, to ryby.

Ryby mają szkielet, krew zimną, czerwoną. Kości ich są kruche, jakby chrząstki jakie, i nazywamy je ości. Jaja, które ryby składają, nazywamy ikrą.

Ptaki mają skórę pokrytą piórami, przednie kończyny zamienione w skrzydła, na głowie dziób, tułów

zakończony ogonem z piór. Krew ptaków jest czerwona i gorąca. Składają jaja, które ogrzewają ciepłem swojego ciała, siedząc na nich tak długo, dopóki małeńkie nie wyklują się. Działwą swą opiekują się troskliwie, karmią ją owadami lub tem, czem się żywią same.

Najbardziej zbliżone do człowieka budową swego ciała są zwierzęta czworonożne ssące.

Nazywają je ssakami, gdyż małe ssą mleko matki swej, dopóki nie nauczą się zdobywać sobie pożywienia, tak jak człowiek, mają kości, stanowiące szkielet, krew czerwona, gorącą, jaj nie składają — dzieci ich rodzą się żywe. Ze ssaków najlepiej wam znane są zwierzęta domowe, które człowiek z dawnych czasów oswoił i opiekuje się niemi, jak: krowy, woły, konie, owce, świnie, psy, koty i t. d., i te, które blisko człowieka trzymają się, jak: myszy, szczury, tchórze, łasice i wiele innych.

Nauka, która zajmuje się życiem zwierząt i poznanie ich, nazywa się: zoologia.

Życie i zwyczaje różnych zwierząt są niezmiernie ciekawe. Szczęśliwy kto o tem może się uczyć.

St. Okołowiczówna.



ROZDZIAŁ VII.

Bajki, opowieści treści obyczajowej.

254. Chciwy pies.

Pies przechodził przez rzekę i trzymał w pysku kawał mięsa. Wtem spostrzegł w przezroczystej wodzie jakby drugiego psa także z kawałkiem mięsa w pysku — nie zrozumiał, że to była własna jego postać odbita w wodzie.

Chciwy pies złakomił się na mięso i chciał je wydrzeć tamtemu psu, a swoje upuścił. Jego mięso popłynęło z wodą, a tamto zniknęło.

255. Wilk i baranek.

Bajka.

Raz w letni ranek

Chciał się z rzeczutki napić baranek,

A wtem się zbliża wilk bury zgłodniały,

I tak przemówi: „Ej, mały!

Mącisz mi wodę, mącisz od chwil kilku!”

A baranek: „Panie wilku,

Mylne są wyrzuty twoje,

Toć niżej od ciebie stoję!”

„Niżej? ha, może, ale nic nie szkodzi,

Rok temu ze mnie śmiałeś się dobrodziej!”

„Rok temu?” — rzeknie biedne jagnię drżące,

„Mam dopiero dwa miesiące!”

„Czy ty, czy inny” — wrzaśnie wilk zły srodze,

„Zawsze wasz ród barani staje mi na drodze!

„Ukarzę ciebie dla innych nauki!”

Hop! i baranka rozerwał na sztuki.

Or.-Ot.

256. Nos i ręka.

Był na twarzy nos potężny. Pół twarzy zasłaniał swym cieniem, pół funta tabaki na dzień wyżywał. Lecz niestety, któż na świecie żyje bez nieprzyjaciół?

— Żeby to jeszcze komu innemu służyć, ale takiemu nosowi! — odezwie się ręka. — Co chwila sięgaj do kieszeni, nieś mu tabakę, strzeż od guza... a ileż to razy ucierać go trzeba. Poczekaj, ty nieznośny nosie, zapłacę ja tobie!

I ręka, zamiast tabaki, tłuczonego pieprzu dała nosowi...

Jak zacznie nos kichać, sapać — aż oczy płakały nad nim z litości, a gęba krzyczała przeraźliwie. Tymczasem ręka śmiała się cichaczem z jego nieszczęścia.

Po długim kichaniu, hukaniu uciszył się nos przecie, lecz spuchł i zachorował. Człowiek, żałując go szczerze, kazał, żeby ręka pielęgnowała go, muchy spędzała, służyła mu troskliwie.

Próżne wtedy były jej narzekania, próżne na los skargi — musiała służyć choremu nosowi.

* * *

Kto pod kim dolki kopie, sam w nie wpada.

257. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

Pewien gospodarz miał siedmiu synów, ale martwiło go, że ciągle swarzyli się między sobą. Korzystali z ich niezgody źli ludzie, więc troskliwy ojciec, chcąc ich przekonać jak zgoda jest pożyteczną, wezwał ich do siebie, a wyniosłszy z komory siedm prętów, związanych w jeden pęczek, rzekł im:

— Próbuje każdy swej siły, a który złamie tę wiązkę, ten ode mnie dostanie sutą nagrodę.

Synowie silili się jeden nad drugiego, ale żaden nie mógł złamać wiązki prętów. Wtedy ojciec rozwiązał pręty i rozdzieliwszy je, dał każdemu synowi z osobna po jednym i kazał je złamać. Synowie połamali teraz kijki z największą łatwością.

— Dzieci moje, bierzcie stąd przykład, — rzekł im na to ojciec, — co się stało z tą wiązką, to stanie się z wami; dopóki będziecie zgodni, dopóki razem trzymać się będziecie, dopóty będziecie silni jak ta wiązka prętów, gdy była w jedności, i nikt was nie pokona, lecz, skoro będziecie z sobą niezgodni, zginiecie marnie i będziecie jak te pręty, które połamane z osobna leżą na ziemi. Kochane dzieci, żyjcie z sobą zawsze w zgodzie i pamiętajcie, iż spólna moc tylko zdoła was ocalić!

258. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
Był dyskurs, jaki przymiot w zwierzu doskonały?
Słoń roztropność zachwalał, żubr mienił powagę,
Wielbłądy wstrzemięźliwość, lamparty odwagę,
Niedźwiedź moc znamienitą, koń ozdobną postać.
Wilk staranie przemyślne jak zdobyczy dostać,
Sarna kształtną subtelność, jeleni piękne rogi,
Ryś odzienie wytworne, zając rączne nogi,
Pies wierność, liszka umysł w fortele obfity,
Baran łagodność, osieł żywot pracowity.
Rzekł lew, gdy się go wszyscy o zdanie pytali:
Według mnie ten najlepszy, co się najmniej chwali.
Ignacy Krasicki.

259. Lew i mysz.

Drzemał sobie lew spokojnie pod palmą, gdy oto mysz z pustoty czy też przypadkiem go obudziła, biegnąc po jego ciele. Zbudził się lew i ryknął potężnie, rozniewany, że mu ktoś śmiał we śnie przeszkadzać. Utrąwszy myszkę, pochwycił ją w łapy.

— Jakżeś śmiała mi sen mój przerywać? — odezwał się do złęcznionej myszy, — przypłacisz to życiem!

— Ach panie i królu, — odezwała się myszka, — daruj mi to przewinienie, już więcej coś podobnego nie uczynię. Cóż ci przyjdzie z mej śmierci? Może i ja ci będę mogła kiedy dopomóc; bądź wspaniałomyślnym, królu!

— Ty mi chcesz dopomóc? — zawołał lew ze śmiechem, — ale mniejsza o to, daruję ci życie, bo i coś mi przyjdzie z twej śmierci. Idź sobie do swej dziury.

Po tych słowach puścił mysz. Ta, dziękując, poszła do swego mieszkania.

Niedługo potem schwytał się lew w zastawione sieci. Mimo największych wyteżeń nie mógł się uwolnić, owszem płatał się coraz więcej. Już sądził lew, że po nim, gdy oto nadbiegła wdzięczna mysz, a przegryzłszy sieci, uwolniła króla zwierząt.

Ta bajka uczy nas, że nie należy nikogo lekceważyć. I najbiedniejszy może nam być pożytecznym!

260. Osieł w lwiej skórze.

Osieł uciekł młynarzowi. W lesie znalazł lwią skórę.

— Nic nad to lepszego, — pomyślał sobie, — skoro tę skórę wciągnę na się, to zwierzęta i ludzie pomyślą, że jestem lwem.

I aż zaryczało sobie oślisko *ya ya* z wielkiej radości.

Bierze tedy osieł na się lwią skórę i idzie do zwierząt. Płochliwy zając, piękna sarna i jeleni, nawet wilk i niedźwiedź, widząc zdala lwa, zaraz uciekać zaczęły. Cieszył się wielce osieł z ich przestachu.

— A co to będzie, — mówił do siebie, — skoro zaryczę.

Jakoż ryknął przeraźliwie, tylko że nie jak lew, ale jak zwykły osiel, powtarzając *ya ya*.

Skoro zwierzęta głos ten usłyszały, przestały uciekać, a z osła szydzić zaczęły. Właśnie też szedł parobek, szukając osła. Sądząc po lwiej skórze, myślał z daleka, że to lew, ale gdy głos osli usłyszał, postąpił śmiało naprzód, a złapawszy pana osła za uszy, zaczął go kijem okładać, a potem rzekł:

— Jeżeliś osłem, to bądź osłem, głupcze, bo powierzchowność lwa nie stanowi.

Potem zaprowadził osła do młyna, gdzie go znowu do roboty zaprzężono.

Stąd płynie nauka, abyśmy się nie łudzili powierzchownością i nie sądzili, że ubiór stanowi wartość człowieka. I najpiękniejszy ubiór i największe bogactwa nic nie znaczą, jeżeli posiadający je jest głupim i nieoświeconym.

261. Próżność ukarana.

Jeleń, wysmukły syn puszczy, przybył w dniu skwar-nym do strumyka, aby tu swe pragnienie ugasić. Zdzi-wił się niepomalu, gdy w przezroczystej wodzie ujrzał swój obraz. Zaczął mu się przypatrywać z upodobaniem, a potem nawet dziwić nad swą budową.

— Jak kształtna ta moja głowa, jak wspaniałe te rogi! — mówił do siebie. — Szkoda tylko, że cienkie nogi nie odpowiadają proporcji całego ciała.

Wtem zaszeleściło w gęstwinie, a jeleń ujrzał tuz za sobą kilka psów myśliwskich. W nogi tedy. I byłby ocalał, gdyby nie był wbiegł do lasu, gdzie rosochatemi rogami uwiązał w gęstwinie. Wnet go psy obkoczyły do koła, a ostry dzi ryt myśliwca przeszył jego piersi. Konając, zawołał:

— Mógłżem się spodziewać, że to, w czym najwięcej miałem upodobania, o zgubę mnie przyprawi?!

Kto kocha w rzeczach piękność, pożytku się wstydzi,
Częstokroć się takimi pięknościami gubi,
Jak ten jeleń, co swemi nogami się brzydzi,
A szkodną ozdobę lubi.

262. Kruk i lis.

(Przekład z La Fontaine'a).

Kruk, na drzewie, siedząc sobie,
Kawał serca trzymał w dziobie.
Lis, zapachem przynęcony,
Zrobił niskie trzy ukłony
I do kruka rzekł: „O! dziwy . . .
Jakżeś panie urodziwy!
Wysiliła się natura;
Co za postać, co za pióra!
Jeśli tylko, choć o włos
Masz piękniejszy od piór głosek,
Wtedy ręczę ci honorem,
Że jak bór ten stoi borem,
Z twą postacią i oczyma
Piękniejszego ptaka niema!
Kruk, nie myśląc, że to zdrada,
Z radości się nie posiada:
Chce zachwycić lisa śpiewem,
Lis, który siadł pod drzewem,
I szeroko dziób roztwiera . . .
Wtem wypada kawał sera.
Lis natychmiast za ser chwytł.
„Mości panie, z nami kwita!
Rzecz chyttry lis do kruka:
„To dla ciebie jest nauka,
Byś na przyszłość nie był próżny,
Z pochlebcami był ostrożny,
Ta nauczka moja szczerą
Warta przecież kawał sera!“

T. Nowosielski.

263. Lew przy zgonie.

Stary lew, niegdyś okrutny i napastliwy, leżał przed jaskinią, oczekując śmierci. Zwierzęta, dawniej drżące na jego widok, dziś stały przed nim bez bojaźni, ale też bez litości — cieszyły się raczej, że go się wkrótce pozbędą.

Niektóre z nich, nie mogąc zapomnieć krzywd doznanych, chciały mu teraz przynajmniej swój gniew i zemstę okazać. Chytry lis dopiekał mu uszczypliwemi wyrazami; wilk miotał na niego obelgi; wół bódł go rogami; dzik kłami go ranił; nawet leniwy osieł uderzył go kopytem. Jedynie szlachetny koń stał spokojnie, nie czyniąc mu nic złego, chociaż lew matkę jego był rozszarpał.

Zgorszony tem osieł, rzekł do niego:

— Czy ten okrutnik żadnej tobie nie wyrządził krzywdy, że stoisz spokojnie? Czyliż nie najlepszą masz porę, aby się na nim pomścić?

Ale koń odpowiedział z powagą:

— Byłoby podłością, mścić się na nieprzyjacielu który jest bezbronny i szkodzić mi już nie może.

264. Chory wilk.

Wilk udawał chorego, chcąc uwieść zwierzęta,
I udała się sztuka, zjadał niebożęta.

Lis z daleka przystanął i pyta o zdrowie?

— Oj! bardzo źle kochanku, wilk z jękiem odpowie,

Ale czemu się bliżej nie przysuniesz śmiało?

— Bo widzę wielu weszło, ale wyszło mało.

We wszystkim postępować należy z ostrożną,

Głupca zawsze się zwiedzie, mądrego nie można.

265. Pustelnik i niedźwiedź.

Żyjąc na puszczy pustelnik siwy,

Jadał korzonki i był szczęśliwy.

W sąsiedztwie starca, trochę za blisko,
 Niedźwiedź niezgrabny miał legowisko.
 Oba w najlepszej żyli przyjaźni,
 Żyć we dwóch razem jakoś to raźniej!
 Obadwa pomoc przyrzekli sobie
 W każdej przygodzie i w każdej dobie.
 Gdy zwierz spoczywał, to starzec czuwał,
 Niebezpieczeństwa wszelkie usuwał.
 Nawzajem niedźwiedź, gdy spać miał stary,
 Przyrzekł odpędzać muchy, komary,
 Co podczas skwaru trapiły
 I przerywały spoczynek miły.
 Trwało dość długo takie przymierze;
 Lecz wszystko koniec na świecie bierze!
 Raz, gdy starcowi, wśród słońca spieki,
 Sen słodki zwolna skleił powieki,
 Ni stąd ni zowąd przylata mucha,
 I nużę brzęczeć mu koło ucha.
 Niedźwiedź to widząc, na sojusz pomny,
 Podniósłszy z ziemi kamień ogromny,
 Rzucił na muchę; ale cóż z tego?
 Miś, zamiast muchę — zabił śpiącego.

Takie bywają skutki przymierza,
 Gdy kto niezręcznym nazbyt dowierzał...

T. Nowosielski.

266. Trzej przyjaciele.

Pewien człowiek miał trzech przyjaciół; dwóch bardzo kochał, dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten najwięcej mu sprzyjał. Raz zawezwany był do sądu, gdzie niewinnie, ale ciężko był oskarżonym.

— Który z was — mówił — pójdzie, by za mną świadczył, bo ciężko jestem obwiniony.

Pierwszy przyjaciel wymówił się zaraz, że pójść nie może, bo ma pilne zatrudnienie. Drugi odprowadził go do drzwi sądowych, tu się odwrócił i odszedł, bał się bowiem sędziego. Trzeci, na którego najmniej liczył

poszedł i dowiódł jego niewinności tak, że sędzia nie tylko go od kary uwolnił, ale nawet wynagrodził.

Trzech przyjaciół ma człowiek na tym świecie. Jakże oni się zachowują w godzinę śmierci, kiedy go Bóg na sąd powoła? Pieniądz, jego najlepszy przyjaciel, opuści go najprzód i nie pójdzie za nim do grobu. Przyjaciele i krewni odprowadzą go do bramy cmentarza i powrócą do swych domów. Trzecim przyjacielem, o którym najmniej w życiu pamiętał, są jego dobre czyny; one tylko pójdą za nim przed tron Sędziego, one mówić będą za nim, wyproszą mu litość i łaskę.

Podług K. Brodzińskiego.

Nie gardź przyjaźnią i najbiedniejszego,
Bo w nim wybawcę możesz znaleźć swego.

267. Dwaj przyjaciele i niedźwiedź.

Dwóch przyjaciół idąc drogą
Niedźwiedzia spotkali,
Serca ich zabiły trwogą,
Bo się obaj bali;
Jeden z nich na drzewo skoczy,
Po gałęziach bieży,
Drugi zaś zamruży oczy,
Jak nieżywy leży.
Niedźwiedź podszedł do człowieka,
Co trupa udaje;
Podszedł — przystanął z daleka,
Namyślać się zdaje.
Zwolna obszedł go wokoło,
Sapi, mruży, wzdycha,
Wącha oczy, nos i czoło,
Coś mamrocze z cicha,
Wkońcu pójdzie sobie przecie
Niedźwiedź w drogę swoją.
Bo niedźwiedzie, jak to wiecie,
Umarłych się boją.

Ten, co uciekł, teraz zucha
Udaje wielkiego:
„Cóż ci niedźwiedź tam do ucha
Szeptał tajemnego?”
Drugi powie, on mi szczerze
Rzekł: „kto w drogę idzie,
Niech przyjaciół tych nie bierze,
Co opuszczą w biedzie“.

L. Niemojowski.

268. Kogut i perła.

Grzebiąc kogut wśród śmieci, znalazł perłę drogą.
Zrazu się był ucieszył, potem kopnął nogą.
„Gdzie w niej, pytam, przymioty owe drogocenne?
Nie szacowniejszeż stokroć ziarneczko jęczmienne?”
Tak zwykle każdy nieuk w zdaniu swoim błądzi,
Gdy o wartości rzeczy, której nie zna, sądzi.

Z bajek Kryłowa.

269. Dąb i świnia.

Rzecz wyborna! świnia rzekła,
Zjadła żołędź i uciekła.
A dąb na to: hej, Mosani!
Smakowała żołędź pani?
A jeżeli smakowała,
Sama grzeczność wymagała,
Żeby chociaż kiwnąć głową;
Coś wprowadzasz modę nową.
Świni każdy to przebaczy,
Kto grzeczny, czyni inaczej.

St. Jachowicz.

270. Żółw i zając.

Chyży, wysmukły i zwrotny zając
Napotkał żółwia, jakoś przebiegając.

„Jak się masz, moja ty skorupo?” — rzecze —
„Gdzie to się waszmość tak pomału wlecze?
Mój Boże! cóż to za układ natury!
Mnie w biegu i sam wiatr nie upędzi,

Żółw na godzinę w swym chodzie ponury
Ledwie upełźnie trzy piędzie“.

— „Hola!“ — odpowie — „mój ty wiatronogi!
Umiem ja chodzić i odbywam drogi;
Mogę i ciebie ubiec do celu“.

Rozśmiał się zając: „Ha! mój przyjacielu,
Jeśli jest wola, ot cel tej ochocie

Niech będzie przy owym płocie!“

To rzekł i rączę posunąwszy skoki,

Staął w pół drogi, obejrzy się, a tam

Żółw ledwo ruszył trzy kroki.

„I nacóż“ — rzecze — „ja wiatry zamiatam?

Nim on dopełźnie, tak sobie suwając,

Sto razy wyśpi się zając“.

Tu swoje słuchy przymusnął,

Legnie pod miedzą, i usnął.

Żółw, gdy powoli krok za krokiem niesie,

Stawa nakoniec w zamierzonym kresie.

Ocknie się zając, — w czas właśnie!

Darmo się rzucił do prędkiego lotu,

Bo ten, co idąc, w pół drogi nie zaśnie:

„A kto z nas — mówi — pierwszy u płotu?“

Fr. Kniaźnin.

271. Skala i kropła.

„Jakież zamiary zuchwałe!

Ty, miękka kropło wody chcesz wydrążyć skalę?“

Rzekła twarda opoka i dumnie spojrzała

Na kropelkę, co spływała.

Kropła nic nie odpowiada,

Ale jak pada, tak pada,

I stałością dokazała,

Że ulegała kropli skala.

St. Jachowicz.

272. Dwa garnki.

Stary garnek, żelazny, na kuchennym trzonie

Najspokojniej stał sobie, w myślach zadumany.

A wtem do garnka tego w hardym, butnym tonie,

Ozwie się garnek inny, nowy, lecz gliniany:

„Usunąć się z swego miejsca, wynosić się na mary;
Bo do miejsca mam prawo, będąc jeszcze młody —
Wszak młodemu ustąpić powinien dziad stary:
Wymaga tego zwykły porządek przyrody“.
„Oddawna jestem panem mego stanowiska;“
Odparł żelazny garnek ze swego ogniska.
„Jeżeli moje miejsce podoba się tobie,
To spróbuj wpierw je zdobyć, nim ja legnę w grobie!“
Nowy garnek gliniany, słysząc te wyrazy,
Uderzył na żelazny — jak to czynią śmiałki;
Lecz zaledwie ponowił atak parę razy,
Rozbił się i rozsypał na drobne kawałki.

T. Nowosielski.

273. Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła,
Rzekła rybom: „Wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie!“
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.

„Wczora
Z wieczora

Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką lub wieńczerzem,
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem;
Nie będą miały otuchy,
Skoro staw będzie suchy“.
Ryby w płacz, a czapla na to:
„Boleję nad waszą stratą,
Lecz można złemu zaradzić
I gdzie indziej was osadzić.
Jest tu drugi staw blisko:
Tam obierzcie siedlisko.
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą“.

„Więc nas przenieś!” — rzekły ryby.
Wzdrygała się czapla niby,
Dała się na koniec użyć
Zaczęła służyć:

Brała jedną po drugiej w pysk, niby nieść mając,

I tak pomału zjadając.

Zachciało się na koniec skosztować i raki.

Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,

Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił;

Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.

Padła nieżywa;

Tak zdrajcom bywa.

Ign. Krasicki.

274. Przygody Tomcia Paluszka.

Kraj laleczek.

Za morzami głębokimi, za górami wysokimi był kraiczek maluteczki, a w nim ludzie, jak lalecзки.

W tym kraiczku niegdyś żyli staruszkowie siwi, bieli i syneczka oni mieli. Tomuś zwał się ów syneczek, a był mały jako świeczek.

Choć rodzice biedni byli, czarnym chlebem się żywili, przecież Tomciu żył szczęśliwie, czemu ja się nie dziwię, bo był dobry i serdeczny, zawsze miły, zawsze grzeczny.

Wszyscy za nim przepadali — swoi, obcy, starzy, mali; a rodzicom, każdy powie, był najpierwszem oczkiem w głowie.

Tomuś wybiera się w podróż.

Raz ten Tomuś myśli sobie: u nas cicho jakby w grobie, a za morzem są gdzieś cudy, różne dziwy, wielkcludy. Ciekawość mnie wielka bierze poznać takie dziwne zwierzę, co ma trąbę zamiast nosa, a na skórze niema włosa. Chcę zobaczyć wieloryba, co to zwierzę jest a nie ryba: a w powietrzu nad chmurami, chcę po-

latać z jaskółkami. A więc łódkę wybuduję i w świat sobie powędruję.

Płacze ojciec, matka szlocha, że już Tomuś ich nie kocha, że odjeżdża w świat daleki, że porzuca ich na wieki. Tomuś ściska i całuje, prędko wrócić obiecuje. Wróć mówi »zdrowy, cały i przywiozę dar wspaniały, a wy w zdrowiu zostawajcie, o swym Tomciu wspominajcie«.

Wyjazd.

Żegna Tomuś ojca, matkę i sąsiadów i swą chatkę na okręcik biegnie mały i żagiel rozpina biały, wiosłem uderza po fali i płynie dalej i dalej, aby się poznać z krajami, co leżą hen! za morzami.

I po morzu, po głębinie, długo, długo Tomuś płynie, aż przepłynął oceany i zobaczył kraj nieznany.

Ledwie stąpił na brzeg nogą, a tu widzi nade drogą zamek wielki i wysoki, że aż sięga pod obłoki. A tam dalej koło wieży, jakiś straszny potwór leży, niby zwierzę, niby ryba — Tomcio poznał wieloryba.

Przyjazd.

Dziwów było tam nie mało, ale Tomek idzie śmiało; idzie, oczy wypatruje i tym słoniom się dziwuje, co są wielkie jako góry, zamiast nosów mają rury. Te zwierzęta same orzą, same żną i same wożą, nikt nad nimi się nie znęca, nikt do pracy nie zachęca. Psy tam wielkie jak niedźwiedzie, a na każdym małpka jedzie. Słowem, pełno dziwów, cudów, a był to kraj wielkoludów.

Dalej Tomcio spotkał pana, wysokiego jak stóg siana. Choć nasz chłopiec był bez trwogi, lecz na taki widok srogi, zadrżał biedak w głębi duszy, ale śmiało naprzód ruszy, olbrzymowi ukłon składa i te słowa mu powiada: Królu wielki i wspaniały, obróć na mnie

wzrok łaskawy, jestem podróżny ubogi, z dalekiej przybywam drogi, pozwól mi na swoim brzegu zażyć spoczynku, noclegu.

Wielkolud.

Olbrzym stanął zadziwiony, z tej i z owej patrzy strony, jakby ujrzał dziw nielada — do oczu szkiełka przykłada, dla lepszego obejrzenia tak dziwnego stworzenia. Klasnął w ręce raz i drugi na swych dworzan, na swe sługi. »Patrzcie«, woła, »człek malutki, bardzo zgrabny i miutki, a leciuchny jako puszek — niechże zowie się Paluszek. Zaraz go do zamku weźcie i w pokojach mych umieśćcie«.

U króla.

U olbrzymów raj prawdziwy — każdy wesół i szczęśliwy, wciąż wesele, wciąż zabawy. Król na Tomcia tak łaskawy — złotem, srebrem obsypuje, a w dwójnasób obiecuje. Tomuś chodzi w cudnych szatach, w aksamitach i szkarłatach, na krzeselkach miękkich siada, same łakotki zajada.

Ale smutne jego oczy, po jagodach łza się toczy, chyli głowę, ciężko wzdycha, jako ścięty kwiat usycha. Tomuś tęskni za swą chatką, za tatusiem i za matką, tęskni, płacze za swobodą, za czolenkiem i za wodą.

Prośba Tomusia.

Król powiada: »Mój Paluszkule, powiedz co masz na serduszkule, czemu smutne twoje oczy, czemu łezka z nich się toczy? Bądź wesół, bardzo proszę, bo łez, smutków ja nie znoszę.« Tomuś upadł na kolana i tak błaga swego pana: »Chociaż żyję tu, jak w raju, lecz do mego tęsknię kraju — pozwól niech siędę do łodzi, niech mnie morski wiatr ochłodzi, niech mnie niesie przez głębiny, do mej ziemi, do rodziny.«

Ta Paluszka proźba szczerą, choć obrazy nie zawiera, wielkoluda obraziła i gniew jego obudziła. »A ty niewdzięczniku mały, w mych łaskach opływasz cały i chcesz uciec z państwa mego? Nie dopuszczę ja do tego; jam król wielki i bogaty, mam łańcuchy, mury, kraty — lecz dla ciebie, mój karliku, dosyć klatki na stoliku«.

W klatce.

Tam, gdzie drzewa najpiękniejsze, tam, gdzie kwiaty najwonnejsze, szczerozłota klatka stoi; przy niej stróżów aż się roi, patrzą z bliska i z daleka, czy im Tomuś nie ucieka.

A Paluszek ledwie żyje, już nic nie je i nie pije, tylko płacze, tylko wzdycha, jako ścięty kwiat usycha. Tęskni biedak za swą chatką, za tatusiem i za matką, tęskni, płacze za swobodą, za czoténkiem i za wodą.

Aż do Tomcia raz zajrzała jedna myszka, jak śnieg biała: »Czego płaczesz?« mówi myszka, »ja cię kocham jak braciszka, ja żałuję bardzo ciebie i dopomóc chcę w potrzebie«. »Myszko dobra, myszko biała, żebyś ty mi powiedziała, w jaki sposób wyjść z tej klatki i powrócić do mej chatki, do tatusia i do matki.«

Myszka nic nie odpowiada, tylko przy klatce zasiada, zębami gryzie ostreimi od pępapu aż do ziemi. Gdy wygryzła otwór duży: »Teraz«, rzekła, »do podróży; siadaj na mnie, jak na konia, pobiegniemy przez te błonia, popłyniemy przez te wody do rodzinnej twej zagrody.«

Ucieczka.

Na niebiosach księżyc świeci, a nasz Tomuś wichrem teci; myszka, jakby skrzydła miała, ledwie ziemi dotykała.

W koło trawa, gęsta, duża, w niej Paluszek aż się nurza, jakby w jakim gęstym lesie. Wtem wiatr stra-

szny głos przyniesie. Spojrzy Tomuś, a tu w ślady pędzą za nim dwa kociska, tak ogromne jak wilczyska; swe pazury wysunęły, straszne łapy wyciągnęły. Ten już myszkę zębem rani, ten do Tomcia z pazurami. Już zamarła w Tomciu dusza, ale myszka naprzód rusza, potem raz gwizdnęła i o ziemię się cisnęła... I wnet myszka i Paluszek, wpadli w przepaść jak kłębuszek. Był to kreta dom podziemny, dobrze skryty, wązki, ciemny; w nim Paluszek z myszką swoją już niczego się nie boją. Korytarzem w kreciej norze dostali się aż nad morze. »Tu cię żegnam«, mówi myszka. »Choć mi serce żał uciska, wrócić muszę do mych dziełek; a ty Tomciu, siadź na statek i szczęśliwie przez te wody do rodzinnej płyń zagrody«.

P o d r ó ż.

Ale czołna już nie było, o skały się gdzieś rozbilo i łupinka tylko mała na fali się kołysała. Nasz Paluszek do niej siada i do siebie tak powiada: »Niech mnie same niosą wody do rodzinnej mej zagrody.« Po niezmiernej wód głębiny prędko, lekko Tomuś płynie, wieńczyk naprzód go popycha, unosi go fala cicha. Lecz na morzu bywa burza, ot i teraz się zachmurza — wichry, wiatry się zleciały, zawyły i zahuczały; woda wznosi się w bałwany, ryczy wściekle, toczy piany, jak zwierz rzuca się na brzegi, na wyniosłe skał szeregi. »Teraz śmierć już mnie nie minie«, myśli Tomuś w swej łupinie, którą fale podrzucają, kręcily i zalewały.

J a s k ó ł k a.

Gdy na morzu straszna burza, Tomciu w wodzie już się nurza — wtem przybyła jaskółeczka, co wracała do gniazdeczka i do Tomcia się zbliżyła i w te słowa przemówiła: »Nadleciałam w samą porę — na skrzy-

«delka cię zabiorę, poniosę cię przez morze, a nim ranne
błyszczą zorze, ujrzysz ojca, matkę drogą i chałupkę twą
ubogą.»

Do jaskółki przytulony leci Tomuś w swoje strony.
Leci, leci nad morzami, nad chmurami, obłokami, tą nie-
bieską jasną drogą, gdzie jest zawsze cicho, błogo. Aż
zawoła jaskółeczka: »Patrz, rodziców twych chateczka,
już obniżam lot ku ziemi, przywitasz się wkrótce z nimi!«

P o w r ó t.

»Kto tam puka w okieneczko? Może to ty, jaskó-
łeczko? Cóż tam, coż tam, za nowina, czyś spotkała
mego syna?« Otworzyła drzwi mateczka i poznała wnet
syneczka, i przypadła i krzyknęła i do serca przycisnęła.
Ojciec woła: »Moje dziecię, mój Tomeczku, jesteś prze-
cie! Więc wróciłeś do swej ziemi, zatęskniłeś za swoimi!«

Ile było tam radości, ile szczęścia i miłości, tego
nikt już w ludzkiej mowie, nie opisze, nie opowie.

275. Krasnoludki.

Zobaczyły dwa karzełki,
Coś białego okrągłego,
I we dwójkę rozmyślają
Co to może być takiego?
Takie białe, takie twarde,
A wygląda dosyć ładnie;
Ej, doprawdy, tej zagadki
Nikt na świecie nie odgadnie!
A więc sznurem grubym wielce,
Takim grubym jak niteczka,
Obwiązały przedmiot owy,
Co ma całkiem kształt jajeczka,
I nuż ciągnąć do gajku,
Do ukrytej w liściach budki,
W swych czapeczkach purpurowych,
Dwa brodate krasnoludki.

Ten popycha, drugi ciągnie,
Ciężar srogi nad ich siły,
Namęczyły się biedactwa
I siarczyście się spocili.
Potem każdy młotek bierze
I w skorupkę krzepko grzmota:
Łupu! cupu! cupu! łupu!
Pół dnia trwała ta robota...
W tem skorupka z hukiem pęka,
I o dziwy! straszne dziwy!
Ze skorupki rozwalonej,
Wyszedł jakiś potwór żywy:
Od karzełków dwakroć większy,
Dziób ma, oczy, żółte pierze.
Dalej w nogi! panie bracie,
Bo się do nas smok zabierze!
Spadły czapki krasnoludkom,
W biegu trzęsą im się brody,
Jeden huknął o pierś łebkiem,
Drugi po pas wpadł do wody.
A tymczasem małe kurczę
Bo to ono wyszło z jajka,
Ładnie malcom się skłoniło...
I, skończona cała bajka.

276. Wyrwidąb i Waligóra.

B a ś ń.

1. Uboga chora kobieta szła przez las i niosła dwóch maleńkich chłopców. Były to jej dzieci. Szła, szła, dopóki mogła, wreszcie przysiadła pod drzewem, usnęła i nie obudziła się więcej. Dzieci zostały same. Długo płakały głośno, aż z gęstwiny wysunęła się wilczyca z wilczętami. Wilczycy zrobiło się żal biednych sierót, pomyślała:

— Wezmę jedno, wychowam ze swoimi.

Niedługo przyszła niedźwiedzica z niedźwiadkami, zabrała drugiego chłopca.

Rośli chłopcy, chowali się zdrowo. Kiedy już do-
rośli, pożegnali wilczycę i niedźwiedzicę i zamieszkali
razem. Bracia kochali się bardzo i kochali wszyst-
kich, nawet najmniejszego robaczka. Dla wielkiej siły,
jaką mieli, jednego nazwali „Wyrwidąb“, drugiego
„Waligóra“.

2. Byłoby im bardzo dobrze w lesie, gdyby nie
to, że tęsknili. Do czego, sami nie wiedzieli. Pewnie
do ludzi. Chcieli koniecznie wyjść z lasu, a nie mogli,
bo droga nie była im znana. Siedzą raz, biedują, aż
tu z poza drzew wychodzi mały, stary człowiek, w rękę
jakieś zawiniątko niesie. Podskoczyli Wyrwidąb i
Waligóra:

— Może wam pomóc, staruszkule? Może was
podnieść? Nie bójcie się, siłę mamy, pomożemy!

A staruszek uśmiechnął się tylko.

— Dobrzy jesteście. Dziękuję wam. Ale ja po-
mocy nie potrzebuję. Sam wam pomogę. Prawda, że
chcecie wyjść z lasu? Wyprowadzę was, świat wam
pokażę. Chodźmy.

Wyrwidąb i Waligóra ucieszyli się bardzo i po-
wiadają:

— Jakże my z tobą pójdziemy? Nie zdążysz
z nami.

— Zdam. Mam czarodziejskie buty. Co krok
w nich stąpię, to milę zrobię.

I rozwinął staruszek zawiniątko. Był tam śliczny
dywan.

— Siadajcie, — rzekł do braci.

Usiedli; on cmoknął, dywan podniósł się w po-
wietrzu. Lecieli nad miastami, wsiami i polami. Sta-
ruszek pokazywał im wszystko, a oni dziwowali się,
że świat taki piękny.

3. Przylecieli do pięknego kraju. W kraju tym wielki był smutek. Ogromny smok siedział na górze i ludzi zjadał. Więc król ogłosił:

— Kto zabije smoka, temu odstąpię pół królestwa i dam mu swą starszą córkę za żonę.

Usłyszeli to Wyrwidąb i Waligóra, pomyśleli:

— Spróbujmy zabić tego złego smoka.

Poradzili się staruszka; on rzekł:

— Spróbujcie. Ino niech każdy choć po jednym moim bucie włoży; kto wie, co się zdarzyć może.

Usłuchali dobrej rady.

Wyrwidąb wyrwał ogromny dąb z korzeniami. Waligóra kawał skały pochwycił i wyruszyli na smoka.

A on jak się nie rzuci! Żeby nie owe buty, byłby ich zabił. Ale każdy odskoczył na milę i nic złego mu się nie stało. Natarli raz, drugi, machnęli jeden skałą, drugi dębem i zabili smoka.

Radość była wielka w kraju, a król dwie swoje córki oddał za żony dzielnym obrońcom. — I było wesele, a ja też na nim byłem, miód i wino pilem . . .

277. Roztropny sędzia.

Pewnego razu bogaty jakiś człowiek zgubił wielką sumę pieniędzy, które miał zaszyte w woreczku. Ogłosił więc swą zgubę przez gazety, obiecując dać w nagrodę 100 talarów temu, ktoby pieniądze jego znalazł i jemu takowe oddał.

Po kilku dniach przychodzi do niego pewien człowiek i mówi:

— Znalazłem oto jakieś pieniądze; sądzą, iż to są twoje. Cieszę się bardzo, iż mogłem ci dopomóc w odzyskaniu straty.

A tamten ucieszył się także, ale że był chciwy, więc myśli tylko o tem, jakby się tu wykpić od dania przyobiecanej nagrody.

Rozpruwa więc woreczek, przelicza owe pieniądze, a potem mówi:

— Dobry człowiecze. Widzę, żeście już sobie sami wzięli nagrodę, bo ja zgubiłem 800 talarów, a tu ich jest tylko 700. No, ale ja się o to nie gniewam, choć samowolnie rozpruliście woreczek; dziękuję wam, żeście mi choć resztę rzetelnie oddali. Idźcie z Bogiem!

Strapił się ów, co pieniądze znalazł. Nie wziął on z nich ani grosza i nie chodziło mu też o nagrodę, ale bolało go posądzenie, jakoby ukradł był pieniądze.

Zaprzysięga się więc przed owym bogaczem, że woreczek oddał tak, jak go znalazł, ale ten nie słuchał wcale, tylko powtarzał wciąż swoje posądzenia.

Sprawa przyszła przed sąd, gdyż temu, co znalazł pieniądze, chodziło o obronę swej dobrej sprawy.

Sędzia wysłuchał obydwóch, pomyślał potem długo, a że znał chciwość jednego, a szlachetność drugiego, więc w końcu wydał taki wyrok:

— Ponieważ ty twierdzisz, żeś zgubił 800 talarów, a tamten znalazł tylko 700, przeto nie mogą to być te same pieniądze. Ty więc, coś pieniądze znalazł, weźmiesz je z powrotem i przechowasz je u siebie tak długo, aż się po nie zgłosi ten, co zgubił 700 talarów. Gdyby zaś w ciągu roku nikt się po te pieniądze nie zgłosił, staną się one twoją własnością. Ty zaś, co powiadasz, żeś zgubił 800 talarów, musisz czekać cierpliwie, aż się zgłosi ten, coby taką sumę znalazł.

Tak to ukaraną została chciwość i nierzetelność, bo człowiek rzetelny zawsze dotrzymuje swych obietnic.

278. Królowa Jadwiga.

Dawno to było. Więcej niż pięćset lat temu. Wesoło świeciło słońce nad ziemią naszą, złościło pola malowane zbożem rozmaitem, i strzechy chat i mury miejskie.

Gościńcem jechał król Władysław Jagiełło i żona jego królowa Jadwiga, ukochanie narodu całego. Radowali się ziemi swojej i gwarzyli o jej przyszłości.

Wtem płacz z jednej chaty słychać i gniewne głosy. Królowa kazała konie wstrzymać i dowiaduje się, co się stało?

Smutną dostała odpowiedź: oto kmieciowi zabierali urzędnicy woły, bo nie zapłacił na czas podatku.

W chacie była bieda, bo choroba zagościła w niej, siły do pracy odejmując. Król Jagiełło na prośbę Jadwigi uwolnił ubogiego kmiecia od podatku i woły kazał mu zwrócić.

— Cóż, czy zadowolona jesteś? — pytał Jadwigi. — Wrócono wieśniakom krzywdę.

-- Łez im nikt nie powróci — odparła królowa.

H. O.

279. O strasznym smoku i o Krak-u-bohaterze, baśń nie baśń...

I.

Nad rzeką, nad Wisłą góra wawelska stoi. Zamek na niej królewski zbudowano przed czasy dawnemi. Płynie u stóp jego Wisła i co wiosna szumi tajemniczo, niby powieści opowiada o tem, co się niegdyś działo na wawelskiej górze.

Na podwórku zamkowym jest loch tajemniczy, jaskinia ciemna. Baśni o niej powtarzają sobie ludzie, a Wisła, gdy spotężnieje od topniejących lodów i roz-

lewa się szeroko a groźnie, zda się tym baśniom wtórować swym głosem.

.

Za niepamiętnych czasów, tak dawno, że żadnej innej wieści z tamtych dni nie masz, żył w jaskini wawelskiej straszny potwór: smok.

Niebezpiecznie było podejść do rzeki, wody zaczerpnąć, chusty plukać, bydło poić. Smok czatował na ludzi i zwierzęta domowe, dusił i pożerał chciwie. W całej okolicy matki oplakiwały dzieci najmilsze, dzieci tęskniły do matek zaginionych, dzielna młodzież przepadała marnie: okrutny smok porywał do swej jaskini coraz to nowe ofiary. Placz i narzekanie słychać było w podwawelskiej pięknej krainie, zamiast śpiewów wesołych i śmiechów radosnych.

Ale znalazł się taki zuch, co smoka zabić postanowił, uwolnić braci od potwora-ciemięczy.

Krak-bohater, słysząc płacz matek nieszczęsnych, przemyśliwał, jakby zgładzić smoka. Od twardej skóry zwierza, niby od tarczy, odbijały się wszystkie pociski: kamienie z procy i strzały z łuków puszczane. Więc Krak w inny sposób musiał zwalczyć wroga. Wziął skórę barania, wypchał ją siarką, zaszył i odważnie podszedł z tłustym, pięknym baranem do jaskini i tu podrzucił przysmak, przez smoka ulubiony. Smok połknął barana — i poczuł straszne pragnienie od siarki, co mu wewnątrz paliła. Przyczołgał się do Wisły i pić począł chciwie wodę chłodną. Pił, pił długo — aż pękł!

Toż to radość zapanowała w podwawelskich wioskach. Śpiewy zabrzmiały wesoło, sławiono w nich Kraka rozgłośnie. A kiedy trzeba było wodza wybrać Kraka wodzem wykrzyknęto. Krak na górze wawelskiej

zamek postawił, u stóp góry chaty pobudowano i nazwano na jego cześć i pamiątkę to miejsce Krakowem, a lud, co wokoło mieszka, Krakowiakami. Krak żył długo i przewodził ludowi mądrze. A kiedy umarł, własnymi rękami usypali mu Krakowiacy mogiłę wysoką.

II.

Słyszeliście tę baśń, dzieci. Prawda? Słyszeliście i inne baśni o strasznym smoku i o Kraku. Ci co na Kujawach mieszkają, powiedzą pewno, że nie Krak zabił smoka, ale szewczyk, Skuba. A inni może dowodzić będą, że to syn Kraka na rozkaz ojca uwolnił lud od potwora. A może znajdzie się między wami i taki niedowiarek, co powie, że ani Krak, ani szewczyk Skuba smoka nie zabijał, bo, smoka wcale nie było, że to wszystko baśń, jak wiele innych baśni, o Waligórze i Wyrwidębie, o wilkołakach i kraśniętach...

Baśń! nie baśń? Tyle setek lat ją powtarzają, tyle milionów dzieci polskich śniło o strasznym smoku i o Kraku-bohaterze!

Chodźmy w wędrowkę po górze wawelskiej, po krakowem państwie.

Był kiedyś Krak — mówi o tem nazwa Kraków — która znaczy tyle, co Kraków, t. j. Kraka dom, czy Kraków zamek, czy Kraków gród, podobnie jak nazwa Sulejów świadczy, że kiedyś żył tam Sulej, a Dalechów o Dalechu przechowuje wiadomość.

Był Krak dawno, przed wiekami, a że imieniem jego nazwano gród potężny, musiał być znakomity między swoimi, zasłużyć się czemś, odznaczyć.

Czem? Tego nie wiemy. Pewno od wroga jakiegoś obronił swoje plemię. Imię jego powtarzano

w pieśniach i w podaniach o dawnych bohaterach. A jak to bywa z podaniami, które — nie zapisane — z pamięci tylko opowiadał stary dziad wnuczętom, a te znowu swoim dzieciom i wnukom, poplątano wiele opowiadań w jedno, każdy coś dodał, opuścił — tak rosły baśni rozmaite.

Na tem miejscu, gdzie Krak zamek pobudował, na górze wawelskiej jest jaskinia. Wiele podobnych jaskiń nad rzekami naszymi znaleźć można. Zwierz dziki się w nich gnieździł, a był czas, że ludzie w nich zamieszkiwali. Może w jaskini pod Wawelem nieprzyjaciół jaki się ukrywał?

A że niedźwiedzie i wilki dziś jeszcze ludzi rozszarpują, więc cóż dziwnego, że wyobrażono sobie w jaskini, w której pewno znaleziono jakieś kości dziwnego kształtu, smoka, potwora.

.....
Baśń, nie baśń... A jest w niej jedno prawdziwe, najważniejsze: pamięć o Kraku-bohaterze, co się nie uląkł strasznego potwora, o zuchu, co swój lud uwolnił od niebezpieczeństwa.

Pamięć o Kraku to chwała dzielności, to zachęta do czynów dla szczęścia współbraci.

H. O

280. Bolek-zuch.

Burza szaleje, grzmoty rozlegają się co chwila a strumienie deszczu, z szumem i łoskotem spływając po pochyłym plancie kolei, zalewają sąsiednie pola. Rzeka, tuż przy plancie płynąca, wezbrała i z hukiem toczy spienione wody.

W domku dróżnika przy kominie siedzi chłopiec czternastoletni i skrobie kartofle. Co go tam burza obchodzi? Widział już taką niejedną.

Chłopiec ten jest synem dróżnika. Ojciec z chorą matką pojechał do doktora, a on ma za ojca pilnować plantu i dawać sygnały. Robił to już nieraz, więc się nic a nic nie boi.

— Ależ to dopiero ulewa! — myśli chłopiec i w tej chwili przypomina sobie, że o jakieś pół wiorsty od domku nasyp biegnie nad samą rzeką. Ej, czy go woda nie zniszczyła? Dobrzeby było zobaczyć!

Wstał i wyjrzał przez okno.

— Tak, wartoby pójść — pomyślał, ale za tą myślą wnet przyszła druga: — Na taką burzę? Nie chcę!

Usiadł na dawnym miejscu, lecz jakoś mu niemiło, coś jakby woła: „Idź, idź!”

— Jeśli nasyp woda podmyła, a szyny osunęły się, to pociąg wykolei się, wpadnie do rzeki, i tylu ludzi, zginąć może.

Na tę myśl Bolek zadrżał, już nie namyślając się, zapalił latarkę i wyszedł.

Ciemno było zupełnie, deszcz padał ciągle.

Bolek szedł, ślizgając się po rozmięklej ziemi. Woda z początku sięgała mu do kostek, potem do kolan, strumienie deszczu smagały po twarzy, ubranie przemokło, on jednak nie zatrzymał się ani na chwilę. Widział, co za zniszczenie uczyniła woda dokoła, był prawie pewien, że nasyp uszkodzony. Doszedł наконец i potknął się o szynę. Tak... stało się to, co przewidywał. Nasyp był podmyty, szyny skrzywione.

Bolek zawrócił ku domowi. Biegł teraz, ile mu sił starczyło. Za pół godziny pociąg osobowy nadejdzie, czy zdąży dać sygnał ostrzegający? Nogi mu już ustają. Ręka boli od niesienia ciężkiej latarki; potknął się parę razy i o mało nie upadł, ale nakoniec doszedł do celu. W tej samej prawie chwili usłyszał,

że pociąg się zbliża, podniósł więc wysoko czerwoną latarkę.

Już go dostrzeżono, bo oto słyszy gwizd lokomotywy. Pociąg stanął.

Chłopczyna, cały ociekający wodą, opowiedział maszyniście, co się stało. Dygocąc z zimna, chciał zawrócić do domu, gdy uczuł na ramieniu czyjąś rękę.

Obejrzał się, to ojciec jego stał, patrząc na syna z oczami łez pełnemi. Przytulił chłopca do swej piersi, mówiąc:

— Zuch z ciebie, mój synu!

Bolek mówić nic nie mógł, rzucił się tylko do ręki ojcu, potem w objęcia matki. Drżał już nie z zimna, lecz z przerażenia na myśl, że, gdyby nie spełnił swego obowiązku, byłby w tej chwili sierotą. I tyle innych dzieci także!

M. Kor.

281. Piszczalka.

Miałem lat siedm opowiada Benjamin Franklin, gdy w imieniny moje dali mi krewni garść miedzianych pieniędzy. Czempředzej wybrałem się tedy do składu zabawek, lecz już na drodze spotkałem chłopca z piszczalką, której głos tak mi się spodobał, że mu za nią oddałem wszystkie miedziaki. Ucieszony wróciłem do domu i chodziłem, gwiżdżąc, po wszystkich izbach. Dla mnie było to wielką uciechą, mojemu rodzeństwu zaś sprawiało przykrość niemалą. Zacząłem rozmyślać, ileto pięknych rzeczy mógłbym być kupić za moje pieniądze, a kiedym spostrzegł, że się ze mnie śmieją, bo za piszczalkę dałem cztery razy więcej niż była warta, rozplakałem się, ze zmartwienia. Żal teraz był większy niż przedtem radość.

Z tego miałem jednak naukę na całe życie. Ile razy mnie chętka wzięła kupienia czegoś niepotrze-

bnego, zawsze mawiałem do siebie: nie przepłacaj piszczalki! i schowałem pieniądze do kieszeni.

Kiedym wzrósł, rozpatrzywszy się po świecie, widziałem wielu ludzi, którzy bez zastanowienia się kupowali przedmioty, których wartości ocenić nie umieli i dlatego przychodzili do nędzy i upadku.

Wpierw się zastanów, czy rzecz, którą zamierzasz kupić, jest ci potrzebna, i nie kupuj, na czem się nie znasz.

282. Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Dobrze wiedzieć, słyszeć wiele,
Ale mówić, przyjaciele,
Lepiej mało, zawsze z miarą,
Na zasadę bacząc starą:
Jest to cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami.

Chesz powiedzieć jakąś plotkę,
Myśl, że masz na ustach kłódkę,
Zamilcz lepiej, plotki szkodzą,
W dobre imię bliźnich godzą:
Jest to cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami.

Dwoje oczu do widzenia,
Dwoje uszu do słyszenia,
Jedne usta niebo dało,
A więc lepiej mówić mało,
Boć: Jest cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami.

Józef Chmielewski.

283. Przysłowia.

1. Bez Boga ani do proga.
2. Bóg się takim brzydzi, kto się ojca wstydzi.
3. Kto się prędko wznosi, nie długo świeci.

4. Co tobie nie miło, tego drugim nie czyń.
5. Czego się zrazu skorupka napije, to się z niej nigdy nie wymyje.
6. Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal.
7. Daj Boże! wszystko umieć, a nie wszystkiego używać.
8. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie.
9. Gdzie zgoda, tam Bóg mieszka.
10. Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki.
11. I w Paryżu nie robią z owsa ryżu.
12. Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.
13. Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami.
14. Kocioł garnkowi przygania, a oba smolą.
15. Kto z urodzenia głupi, i w Paryżu sobie rozum nie kupi.
16. Kto pod kim dolki kopie, sam w nie wpada.
17. Kto dobrze robi, śmierci się nie boi.
18. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
19. Kto słucha pochlebce, mądrym być nie chce.
20. Kto we żniwa patrzy chłodu, nacierpi się w zimę głodu.
21. Każdego zdanie przyjmij, a swego rozumu się trzymaj.
22. Kto za młodu chodzi jak stary, na starość skacze jak młody.
23. Kto po kładkach mądrze stąpa, ten się rzadko w błocie kąpa.
24. Kiedy kogo Bóg chce karać, tedy mu rozum odejmie.
25. Komu szczęście dogadza, tego w głupstwa prowadzi.
26. Kiedy trwoga, to do Boga.
27. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i ony.
28. Kruk krukowi oka nie wykole.

29. Kijem tego, co nie pilnuje swego.
30. Łacno o przyczynę, kto chce bić chudzinę.
31. Łakomy tak tego używa co ma, jako i tego czego nie ma.
32. Lepiej nie grzeszyć, niż pokutować.
33. Lepsza cnota w błocie, niżli niecnota w złocie.
34. Mądrej głowie dość dwie słowie (dwa słowa).
35. Myszy tańczują, gdy kota w domu nie czują.
36. Na pochyłe drzewo i kozy skaczą.
37. Nie w jeden dzień Kraków zbudowano.
38. Nie kupuj kota w miechu.
39. Oko pańskie konia tuczy.
40. Pośleszli do Paryża osielka głupiego, jeśli tu był osłem, tam nie koń z niego.
41. Przez niezgodę tracą ludzie swobodę.
42. Prawda w oczy kole.
43. Rozum bez cnoty, miecz w ręku szalonego.
44. Ręka rękę myje, noga nogę wspiera.
45. Szydło wyjdzie z worka.
46. Trzeba się zmaczać, kto chce ryby łowić.
47. Tak krawiec kraje, jak materji staje.
48. Trafiła kosa na kamień.
49. Ukrzywdzonemu szkoda może się nagrodzić, ale lży nigdy.
50. Uderz w stół, a nożyce się odezwą.
51. W tem się polu dobrze rodzi, po którem gospodarz chodzi.
52. Źle nabyte, nie bywa dobrze użyte.
53. Z wielkiej chmury mały deszcz.
54. Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie.
55. Znalazł się między młotem i kowadłem.
56. Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka.

ROZDZIAŁ VIII.

Bóg, święta, opowiadania treści religijnej.

284. Pieśń poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,	Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Tobie ziemia, Tobie morze,	Już do mego Boga wołam,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:	Do mego Boga na niebie
Bądź pochwalon, Boże wielki.	I szukam Go koło siebie.
A człowiek, który bez miary	Wielu snem śmierci popadli,
Obsypany Twemi dary;	Co się wczoraj spać pokładli;
Coś go stworzył i ocalił,	My się jeszcze obudzili,
A czemużby Cię nie chwalił?	Byśmy Cię, Boże, chwalili.

285. Objasnienie do pieśni porannej.

Gdy słońce poranne wschodzi, ziemia, woda, powietrze i światło — czyli żywioły przyrody, jak również rośliny, zwierzęta i wszelkie stworzenia Boże uroczystą mają postać. Wszystko budzi się do życia wesoło i wspaniale, jakby mówiło: — Chwała, chwała! Bogu Najwyższemu!

A my, czy nie powinniśmy stokroć więcej chwalić Boga Stwórcy? Nas Pan Bóg nie tylko stworzył, jak wszystko inne, ale dał nam jeszcze duszę nieśmiertelną, dał nam mowę, rozum, uczucie, wolę, sumienie — i tyle, tyle innych darów. Jezus Chrystus wybawił nas od grzechu pierworodnego, bo cierpiał za nas na krzyżu. Czyż nie powinniśmy stokroć więcej, niż bezrozumne istoty, chwalić Stwórcy?

Skoro się obudzę, skoro tylko oczy otworzę, zaraz modłę się do Boga, którego wielkość i potęga we wszystkim się okazuje.

Wiele ludzi tej nocy poumierało. My wstaliśmy
zdrowi: chwalmy Boga, bo wszystko mamy z jego łaski.

286. Paciorek.

Do Ciebie, Boże rączki podnoszę,
O zdrowie ojca i mamy proszę;
I proszę także, niech mnie od złego
Na każdym kroku aniołki strzegą.

Stanisław Jachowicz.

287. Opieka Boska.

Nad Wisłą, nad rzeką
Dziecię się bawiło,
Ziemia się urwała,
Dziecię się stoczyło.

Lecz opieka Boska
Zdarzyła krzaczynę,
I ta jakby cudem
Wstrzymała dziecinę.

Stanisław Jachowicz.

288. Pacierz dzieci.

Gdy się modlą drobne dzieci,	Z traw zroszonych łza obsycha.
Jasno robi się na ziemi,	Brzmia piosenki skowronkowe
Słońko cudnie wtedy świeci	Cała wioska stoi cicha,
Nad polami, nad naszemi.	Skryta w wierzby przez połowę.
Gaje biorą zieleni młodą,	Gdy się modlą dzieci małe,
Roztula róża swe pąki,	To na obcym gdzieś kurhanie
A poranną się pogodą	Wyrastają lilje białe,
Śmieją zboża, śmieją łąki.	I anielskie słyszać granie,
Gdy się modlą drobne dzieci,	To się krzyże po rozłogach
Milkną echa burz i gromu,	Odziewają w blaski zorzy,
Białem skrzydłem spokój leci	To po miedzach i po drogach
Na miłego strzechę domu.	Chodzi jasny Anioł Boży.

I niejedna pustka głucha
W sercu ludzkim się zakwieci —
I sam Bóg tej ziemi słucha,
Gdy się modlą małe dzieci.

M. Konopnicka.

289. Modlitwa.

O! Boże wielki, Ojciec nasz w niebie,
 Pokorne modły wznosimy do Ciebie;
 Miej nas w swej pieczy i w każdej dnia porze
 Strzeż nas od złego, wszechmogący Boże.

Helena Bojarśka.

290. Bóg.

Niebo, słońce, gwiazdy, księżyc i ziemia, wszystko,
 co widzimy, i czego dojrzeć nie możemy, jest dziełem
 Boga. Życie nasze i wszystko, co mamy, winniśmy
 Bogu. Tu kwitną prześliczne kwiatki, tam płynie stru-
 myk, tu rośnie drzewo, owdzie potok spada ze skały;
 w gaju powiewa chłodny wietrzyk, a nad gajem, da-
 leko, wysoko, przyświeca słońeczko. To wszystko Bóg
 stworzył. Bóg jest przy mnie, gdziekolwiek się obrócę,
 w każdej chwili może mi przyjść z pomocą. On jest
 wszędzie; na ziemi i w niebie. On wie wszystko co
 robię i co myślę, przed Nim nic ukryć się nie daje.
 On wszystko może.

Jakże wielkim jesteś o Boże!

291. Do Boga.

Niech się pieśń do Boga wznosi,
 On ojcem, my dzieci;
 On nam deszczem ziemię rosi
 On nam słońcem świeci.

On nam liściem zdobi drzewa,
 A kwiatami łąki,
 Z jego woli słowik śpiewa,
 Kósy i skowronki.

On pełnemi zbóż kłosami
 Okrywa zagony,
 On sad stroi owocami,
 On nam daje plony.

On gwiazdami niebo złoci
I zapala zorze.
Ach, za tyle Twej dobroci
Dzięki Ci o Boże!

Jan Kochanowski.

292. Od kogo mamy wszystko?

Kto dał to dzienne światło,	Kto deszcz dał nam ożywczy,
Co nas ze snu budzi?	Kto dał na chleb zboże?
Kto dał kwiatki i drzewa,	Bóg, co go człowiek widzieć
Zwierzęta dla ludzi?	Ni pojąć nie może.

Wszystko to masz od Niego,
O dziecino droga!
Módlże się więc pobożnie
I kochajże Boga.

293. Kto prawdziwie kocha Boga?

Wiecie już dzieci, z ust waszych matek i z nauki religji, że należy Boga miłować nadewszystko, a bliźniego swego, jak siebie samego; ale czy zastanowiliście się kiedy, co znaczy „kochać Boga?” Pomyślcie o tem choć chwilę.

Kochać Boga, to znaczy pełnić Jego wolę we wszystkim, bo Bóg chce całego naszego serca. Kochać Boga, to słuchać rodziców, opiekunów i nauczycieli, bo Bóg rzekł: „Czcij ojca twego i matkę swoją!”

Kochać Boga, to znaczy nie ruszyć najmniejszej drobnostki, która do nas nie należy, bo Bóg powiedział: „Nie kradnij!”

Kochać Boga, to nikomu nie wyrządzić krzywdy, bo Bóg mówi: „Nie zabijaj!”

Kochać Boga, to zawsze mówić prawdę, nie kłamać, nawet żartem, i nikogo nie obmawiać.

Kochać Boga, to nie czynić drugiemu tego, czego nie chcemy, aby nam czyniono.

Kochać Boga, to pomagać biednym, karmić zgłodniałych, ubierać nagich, i być dobrym dla wszystkich.

Niedość jest mówić, że kochamy Boga, powinniśmy tę miłość okazać przez dobre czyny.

294. Jak trzeba być wdzięcznym Bogu.

Ile ziarenek piasku w morzu,
Ile gwiazdek jest w przestworzu;
Ile kwiatów w wiosny porze,
W kwietniu, w maju kwitnąć może,
Ile zwierząt w całym świecie,
Ile ptasząt śpiewa w lecie,
Ile piórek w skrzydłach ptaszyc,
Ile kłosów wśród pól naszych,
Ile drzew i listków w lesie,
Ile rybka ikry zniesie,
Ile rybek w rzekach pływa,
Ile zboża w czasie żniwa.
Ile kruszców w ziemi łonie,
Ile światła w słońcu płonie,
Ile śniegu jest na górach,
Ile kropel deszczu w chmurach,
Ile muszli w oceanie,
Ile dzieci w każdym stanie:
— Tyle wdzięcznych łez potrzeba
Złożyć Stwórcy ziemi, nieba,
Że opiekę ma nad nami,
Że obdarza nas łaskami.

295. Dobroć i wesołość.

Kto jest dobry, ten wesoły,
Temu każda chwila błoga
Tego troski nie przemogą:
Bo kto dobry, ten wesoły.

Kto jest dobry, ten wesoły,
Temu dobrze i w siermiędze
Cnota słodzi nawet nędze:
Kto cnotliwy, ten wesoły.

Kto jest dobry i wesoły,
Temu miłą jest nauka,
Ten i w pracy szczęścia szuka:
Kto pracuje, ten wesoły.

Człowiek dobry a wesoły
Słodko śni i rad się budzi,
Bo kto kocha Boga, ludzi —
Ten jest dobry i wesoły!

296. Chrystus i dziecię.

Szedł w szczerem polu Chrystus Pan,
A przy nim orszak bosy:
Dziateczki, co na żęty łan
Szły z miasta zbierać kłosy.

Cisną się usta do nóg mu
Drobniuchnej tej czeladzi,
A Chrystus spuścił jasną dłoń
I główki dziatwy gładzi.

„Rośnijcie“ rzecze „ojcom swym
I matkom na pociechę!
I jako słońce chaty swej
Wyłóćcie niską strzechę.“

Lecz pośród dzieci była tam
Sierotka jedna mała,
I słysząc to, co Chrystus rzekł,
W te słowa się ozwała:

„A ja nie będę, Panie, rość,
Bo na co to i komu?
Ojca i Matki nie mam już
I także nie mam domu.“

Lecz Chrystus rzekł: „Zaprawdę wam
Powiadam moje dziatki,
Nie jest sierotą żadne z was,
Choć nie ma ojca, matki.

Bo ojcem mu jest niebios Pan,
A matką ziemia miła,
Co go zbożami swoich pól
Jak mlekiem wykarmiła.

A domem jest mu cały świat
Bez granic i bez końca,
Gdzie tylko sięgnie jego myśl,
Jak złota strzała słońca.“

Marja Konopnicka.

297. Kto wszystko stworzył.

„Powiedz mi też mateczko,
Moja złota, kochana,
Kto na niebie słoneczko
Zapala nam od rana?“

„Pan Bóg, drogi Janeczku,
Każę świecić słoneczku.“

„A owoców tak wiele:
Wiśnie, agrest tak słodziutki,
Jabłka, gruszki, morele
I te smaczne jagódki?“

„Co tylko jest na świecie,
To od Boga masz dziecię.“

„A kto kwiatków dał tyle,
Piękne lilje, róż pęki,
I kto stroi motyle
W takie śliczne sukienki?“

„Pan Bóg moje kochanie
Daje kwiatkom ubranie.“

„Więc to wszystko tak samo
Dobry Pan Bóg nam daje?
Ale za cóż to, mamo,
Człowiek tyle dostaje?“

„Za cóż ja ci, mój Janku,
Wszystko daję, kochanku?“

„Bóg nas kocha, więc żywi,
Za to tylko chce tego,

Byśmy byli szczęśliwi

I kochali bliźniego.“ *Wł. Anczyz.*

298. Kościół.

Piękne i wysokie bywają domy w mieście, mile choć skromne mogą być chaty i dworki wiejskie; lecz zarówno na wsi, jak w mieście najwspanialszy gmach przeznaczony jest na chwałę Boga, najpiękniejszym domem jest kościół. Tutaj bogaty i ubogi, stary i młody klęczą w pokorze, jak dzieci jednego Ojca, i zanoszą gorące modły do Stwórcy. Przed ołtarzem odprawia kapłan Mszę świętą, na chórze wygrywa organista na organach nabożne pieśni, lud cały zanosí w śpiewie swe prośby do Ojca w niebiesiech.

Każda rzecz w świątyni przejmuje cię uszanowaniem; gdziekolwiek rzucisz okiem, wszędzie panuje uroczysta powaga, godna wszechmocnego Boga, ku czci którego gmach cały wzniesiono. Piękne obrazy Świętych Pańskich, złożone ołtarze, kolorowe okna, ogromne sklepienia, woń kadzidel — to wszystko ci

przypomina, [że jesteś w Świątyni Pańskiej, że masz się zachować z pokorą i przyzwoitością. Gdy wejdziesz w jej progi, skłoń się, przeżegnaj, uklęknij, wydobądź książeczkę do nabożeństwa i chwal Stwórcę modlitwą.

Modląc się myśl o słowach, które wymawiasz i przeniknij się uczuciem, w nich wyrażonem. Myśl, że Pan Bóg na ciebie patrzy, że nie tylko słyszy, co mówisz, lecz nawet żadna myśl twoja nie jest mu tajną, a niczem go bardziej obrazić nie można, aniżeli modlitwą, odmawianą tylko usty, nie sercem. Jeżeli gniewasz się, złościsz, dokuczasz swym braciom, siostrom i kolegom, jeżeli masz serce nieczułe na nędzę jeżeli najdrobniejszej urazy nie chcesz bliźnim swym przebaczyć, jakimże czołem mówisz słowa modlitwy: »Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom?!«

Jeśli szczerze pragniesz chwały Bożej, powinienes najprzód wzbudzić w sobie żal serdeczny za swe winy, pojednać się z braćmi swymi i kolegami; potem dopiero uklęknij do pacierza, a Bóg szczerą modlitwę wysłucha, bo najwspanialszą jego świątynią — jest czyste i niewinne serce dziecka.

299. Kościółek wiejski.

Kościół za wioską
Z czerwonej cegły,
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły,
A na kościele
Bocian gniazdo ściele.
A w tej świątynicy,
Cudnej roboty,
Bogarodzicy

Jest obraz złoty,
Co tak łaskawie
Patrzy na czleka,
Że jeno prawie
Słoneczka czeka,
Żeby nędznemu
Pomóc w niedoli,
W chorobie temu,
Temu na roli.

300. Kościółek otwarty.

Kościółek otwarty, wstąpcie lubie dziatki,
Poproście o zdrowie dla mamy i tatki;

Pomódlcie się trochę, westchnijcie do nieba,
Bo pomocy Bożej każdemu potrzeba.

Gdy dzieci pobożne, aniołek ich strzeże,
Nigdy ich do złego ochota nie bierze;

Bóg im błogosławi, w łasce Jego rosną,
Miłe jak kwiateczki, co przychodzą z wiosną.

301. Droga do nieba.

„Czy to daleko, matko, do nieba,
Toć pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?“
„Bogać tam miesiąc! o, moje dziecię,
Iść tam potrzeba przez całe życie:
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Strzegąc się złego, modląc w kościele,
Kochając ludzi, jak braci własnych,
To w końcu dojdiesz do niebios jasnych.“

302. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił!

Dzieci rady mej słuchajcie: Dziś bez przestanku pracuję
Ojców zwyczaj zachowajcie! I dniom świętym nie folguję,
Święto niechaj świętem będzie! Więc też tylko zarabiamy,
Tak bywało przedtem wszędzie. Ale przecie nic nie mamy.

Święta przedtem ludzie czcili, Albo nas grady porażą,
A przecież wszystko zrobili! Albo zbyt ciepła karzą:
I ziemia hojnie rodziła, Co rok słabsze urodzaje,
Bo pobożność Bogu miła. A z tą drogość zatem wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy:
Próżno bez Pańskiej pomocy.
Boga, dzieci, Boga trzeba
Kto chce syt być swego chleba!

Jan Kochanowski.

303. Boże Narodzenie.

Boże Narodzenie przypada 25-go Grudnia. Ostatni dzień przed Bożem Narodzeniem, czyli wigilja, jest u nas także dniem uroczystym. Wtedy cały dom jest od rana w ruchu. Matka z kucharką przyrządzają ryby, strucle i różne przysmaki na wieczerzę. Wszędzie robi się porządek, każdy kącik się wymiata, aby w uroczystym spokoju przepędzić święta. My, dzieci, bawimy się cichutko i cierpliwie czekamy wieczora. Obiadu nam nie dali, ale zato, gdy tylko pierwsza gwiazda błysnie na niebie, wszyscy zasiądziemy do wieczerzy, którą zowią wilją, przy stole zastawionym różnemi potrawami postnemi. Nim jeść rozpoczniemy, ojciec i matka złamią się opłatkiem ze wszystkimi, z rodziną i ze sługami; a przytem będą życzyć każdemu szczęścia i zdrowia. Po wieczerzy czeka nas, dzieci, wielka uciecha. W ciemnym pokoju zapalą mnóstwo świeczek na malej jodelce; my wbiegniemy tam z radosną wrzawą, a tu na jodelce jabłuszka, złożone orzechy, pierniczki, cukierki i inne podarunki! Z jakąż uciechą rzucimy się wtedy w objęcia rodziców i podziękujemy im za tyle dobroci! Zdejmujemy ostrożnie piękne podarki i patrzymy na jodelkę ślicznie płonącą. Nacieszywszy się podarkami i nabawiwszy się, śpiewamy z rodzicami kolędy, t. j. wesole pieśni na cześć narodzenia Pana Jezusa.

Od Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku i Trzech Króli chodzą po domach ubodzy chłopcy z szopką i gwiazdą świecącą. W szopce pokazują różne figurki ruchome, przyśpiewując równocześnie rozmaite śpiewki, lub kręcą gwiazdą i śpiewają przy tem kolędy. Dobry to uczynek opatrzyć darami tych biednych, ażeby i oni wesoło spędzili te dni poświęcone.

304. Wigilja.

Pamiętacie Wigilję w miłych braci kole?
Na samo jej wspomnienie skakało pacholę.
Z jakąż niecierpliwością wyglądały dzieci,
Rychło na modrem niebie gwiazdeczka zaświeci!

Ileż to w owe czasy sprawiały uciechy:
Choinka ze świeczkami, z złotemi orzechy,
Pełne rumianych jabłek cynowe półmiski.
Oplatki, z których siostry kleiły kołyski!
Jakośmy się cieszyli, ujrzawszy przed świecą
Na oplatku Jezusa z Przeczystą Dziewicą!

Pamiętacie to wonne na ziemi posłanie,
Gdzie się dzieci swobodnie tarzały po sianie,
A rodzice wróżyli z pszenicznego snopka
O przyszłym urodzaju pocziwego chłopka?
A potem ledwie kogut, co z swego poddasza
Donośnem pianiem północ w chałupach ogłasza,
Uderzył się po bokach złotemi skrzydłami.
Jak niesłychana radość podrzucała nami!

Biegliśmy na pasterkę, gdzie na wiejskim chórze
Śpiewaliśmy kolędy, jak skowronki w górze,
Spoglądając z okienka, rychło anioł Boży
Wiecznej jasności wrota gwiaździste otworzy,
I w blasku, co go oko wytrzymać nie zdoła
Ukaże patryarchów i aniołów koła.

Pomnicie, jak wróciwszy z kościoła nad ranem,
Paśliśmy bydło zdjętem z pod obrusa sianem,
Które tej jednej nocy po oborach gwarzy
O losach swych pocziwych starych gospodarzy

O, jakże nas cieszyła owa z gwiazdką szopka
I wesół kolęda wiejskiego parobka,
Co przebrany za tura wtaczał się przez progi,
Konopną kiwał brodą i nadstawiał rogi;
I póty mruczał niby od wielkiego głodu,
Póki mu nie wynieśli kołaczy i miodu.

305. Kolęda.

Idzie stary wiarus do ludzi w kolędzie,
Witać nowe latko i śpiewać wam będzie:

 Słuchajcie ludkowie,
 Co wam wiarus powie
 Na kolędę, kolędę.

Małe dziecię Jezus w stajence się rodzi,
Wszystkich wyswobodził i nas wyswobodzi,

 Jezus przybądź mały,
 Woła naród cały
 Na kolędę, kolędę.

Oj, przybędzie do nas niebieska dziecina,
Odetchnie wolnością Litwa, Ukraina,

 Tylko z nim trzymajmy,
 Jemu chwałę dajmy
 Na kolędę, kolędę.

Żyje Ojciec wielki, żyje Ojciec w niebie,
Wie, że naród polski w ostatniej potrzebie,

 Ześle nam ratunek,
 Na ciężki frasunek,
 Na kolędę, kolędę.

Wtedy to dopiero przyjdzie wiarus stary,
Powinszować wszystkim wolności i wiary.

 Wykrzykniemy społem,
 Z podniesionem czołem,
 Hej, kolęda, kolęda!

Król migdałowy.

Było to dnia 6-go Stycznia, t. j. w dzień Trzech Króli. Wandzia wraz z rodzicami była na obiedzie u dziadków. Zebrało się tam jedenaścioro dzieci: Wandzia i jej dwie młodsze siostrzyczki, czterech jej braci ciotecznych, troje dzieci z sąsiedztwa i mała Leosia, wychowanka jednej z dobrych znajomych babuni. Cała

ta wesoła gromadka oczekiwała niecierpliwie końca obiadu, gdyż według dawnego zwyczaju, na wety miał być podany placek z migdałami; komu się migdał dostanie, będzie dziś królem lub królową.

Jeszcze dwie lub trzy minuty i ciekawość małców będzie zaspokojona. Babunia pokrajała placek i częstowała nim wszystkich obecnych. Nagle z końca stołu, zajmowanego przez dzieci, rozległ się okrzyk radości.

— Wandzia ma migdał! Wandzia jest królową! Starsi ucieszyli się również, bo wszyscy kochali Wandeczkę za jej złote serduszko.

Mama poleciła jej wybrać króla migdałowego. Wandzia obejrzała się naokoło siebie, pomyślała chwilę i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła, prowadząc za rękę kulawego chłopczyka. Było to biedne dziecko z suteryny, które Wandzia widywała na podwórzu, przychodząc do dziadków. Dziewczynka posadziła nowego gościa koło siebie i ogłosiła go królem.

Wszystkim podobał się wybór dziewczeczki, pragnącej sprawić przyjemność nieszczęśliwemu kalece. Dziesięć głosów dziecinnych zawołało jednocześnie: Niech żyje król! Niech żyje królowa!

Mały król ośmielił się wobec tego braterskiego przyjęcia i można sobie wyobrazić, jaka to pyszna była zabawa, gdy zebrał się cały tuzin dzieci wesołych, dobrych i zgodnych!

307. Wielkanoc.

Święta wielkanocne poprzedza post czterdziestodniowy. Ostatni tydzień w tym poście nazywamy Wielkim Tygodniem. W Wielki Tydzień gospodynie lepia ściany chat zewnątrz i wewnątrz gliną, potem je

bielą, myją okna, ławy i stoły; wszędzie robią porządkę. Od Wielkiego Czwartku począwszy, milkną dzwony kościelne, na znak smutku z powodu pamiętki męki Chrystusa Pana. Zamiast dzwonów odzywają się tylko kołatki. W Wielki Piątek urządzają w kościołach »Boże groby«, przedstawiające grób Zbawiciela. Dokoła figury, krzyża lub wizerunku Zbawiciela, złożonego w grobie, pali się wiele świateł, a ludzie klęczą i modlą się gorąco.

W Wielkim Tygodniu gospodynie pieką kołaczę i przyrządzają »święcone«. Starsze dziewczęta znaczą roztopionym woskiem piękne wzory na jajach, potem w farbie gotują. Jaja tak pomalowane nazywają się pisanekami.

Nareszcie nadchodzi Wielka Niedziela, dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Wszystkie dzwony kościelne odzywają się o świcie i wzywają pobożnych na rezurekcję, czyli nabożeństwo odprawiane na pamiętkę Zmartwychwstania Pana Jezusa. Kościół napienia się pobożnym ludem. Gdy ksiądz zaśpiewa »Alleluja«, wyrusza procesja z chorągwiami, światłem i figurą, przedstawiającą Chrystusa zmartwychwstałego i obchodzi trzy razy kościół dokoła, śpiewając:

Wesoły nam dzień dziś nastał,
Którego z nas każdy żądał:
Tego dnia Chrystus zmartwychwstał.
Alleluja! Alleluja!

W czasie rezurekcji dzwonią we wszystkie dzwony kościelne; czasami i strzały z moździerzy towarzyszą temu nabożeństwu.

Po rezurekcji wszyscy spieszą do domu i, dzieląc się święconem jajkiem, składają sobie wzajemne życzenia.

W miastach odbywa się uroczyste nabożeństwo rezurekcyjne zwykle już w Wielką Sobotę wieczorem.

308. Wielkanoc.

Zadzwoniły już dzwony,
Dzień nam nastał wesoły.
Pod święconem pieczywem
Uginają się stoły.

A więc ojciec i matka,
Oni pierwsi najpewniej;
Potem bracia i siostry
I sąsiedzi i krewni.

Lecz jajko święcone,
Malowane farbami;
Kto też dzisiaj tem jajkiem
Będzie dzielił się z nami?

Potem nie wiem kto dalej.
Bo odgadnąć to sztuka.
Może jaki gość z drogi
Do drzwi chaty zapuka;

Może dziaduś zgrzybiały,
Co się modli w kościele;
To się także tem jajkiem
Z biednym dziadkiem podzielę.

309. Boże Ciało.

Było to święto Bożego Ciała. Lud z całej wioski, odświętnie ubrany, spieszył gromadami do drewnianego kościółka, otoczonego staremi lipami. Kościółek prędko napelnił się pobożnemi, a ci, którzy później przychodzili, stawali przed drzwiami kościoła. Uderzono trzy razy w dzwonek, znajdujący się przy zakrystji i rozpoczęło się nabożeństwo. Na cmentarzu kościelnym ustawiono cztery ołtarze i ubrano je w zieleń i kwiaty. Nareszcie odezwały się wszystkie dzwony i dzwonki i procesja wyruszyła z kościoła. Przodem szedł siwy dziadek z krzyżem a za nim postępował tłum ludu z chorągwiami. Dziewczęta w bieli niosły obraz Matki Boskiej, drugi podobny niosły kobiety. Następnie wychylił się z drzwi kościelnych złocisty baldachim, pod którym szedł ksiądz proboszcz, niosąc Przenajświętszy Sakrament. Z jednej strony prowadził ksiądz pod

rękę dziedzic, a z drugiej stary wójt. Małe dziewczęta szły naprzód i sypały kwiaty pod nogi księdza. Obok szli chłopcy z dzwonkami, a między nimi kroczył kościelny z kadzielnicą. Wszyscy śpiewali:

„U drzwi Twoich, stoję Panie!
Czekam na Twe zmiłowanie,
Który, pod postacią chleba,
Prawdziwy Bóg jesteś z nieba“.

Przed każdym ołtarzem zatrzymała się procesja, ksiądz odczytał głośno Ewangelię świętą, pobłogosławił lud, i procesja ruszyła do następnego ołtarza. Gdy już wszystkie ołtarze obeszli, weszli do kościoła, gdzie zakończyła się ta wspaniała uroczystość. Powracając do domu, ludzie łamali gałązki z drzew, które zdobiły ołtarze, i zatykali je potem w mieszkaniach za obrazami.

310. Z Bogiem.

„Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa!“
Tak mawiali starzy;
Gdy pomocy Boskiej wezwiesz,
Wszystko ci się darzy.

Masz się uczyć, to pamiętaj
Z Bogiem zacząć, dziatwo!
On to sprawia, że nauka
Pójdzie w głowę łatwo.

Idziesz w pole, masz siał zboże,
Z Bogiem zacznij pracę!
Bóg powiedział: „Ręk dokładaj,
A ja cię zbogacę“.

Idziesz w drogę, chociaż blisko,
Z Bogiem wychodź z progu!
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie,
To podziękuj Bogu!

„Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa,
Tak mawiali starzy;
Gdy pomocy Boskiej wezwiesz
Wszystko ci się darzy.

311. Powrót Taty.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękniście obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

Tata nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze“.

Słyszac to, dziatki biegną wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciorek.

„Całują ziemię, potem: w Imię Ojca,
Syna i Ducha Świętego,
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potem: Ojcze nasz, i Zdrowaś i Wierze,
Dziesięcioro i Koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczki z kieszonki.

I litanję do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem,
„Najświętsza Matko“ — przyśpiewują dziatki,
„Zmiłuj się zmiłuj nad tatem!“

Wtem słyhać turkot. Wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie:
„Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
„Tato, ach, tato nasz jedzie!“

Obaczył kupiec, lży radości leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha! jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do taty?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot, rodzynki w koszyku“.
Ten sobie mówi, i ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie!“ kupiec na sługi zawoła
„Ja z dziećmi pójdę ku miastu!“
Idzie... aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława...

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły
Tulą się pod płaszcz na łonie,
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniosł dłoń:

„Ach! bierzcie wozy, ach! bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziątek
I młodej małżonki wdową!“

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi:

„Pieniędzy“! krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: „Stójcie, stójcie!“ krzyknie starszy zbójca
I spędma bandę precz z drogi;

A wypuściwszy i dzieci i ojca:

„Idźcie“ rzekł „dalej bez trwogi...“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:

„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziątek pacierze.

Diatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem,
Im więc podziękuj, za to co się stało,
A jak się stało — opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupa,
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę, między chrósty,
Modlą się diatki do Boga:
Słucham — z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga . . .

Słucham — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława wypadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki . . .

Kupcze, jedź w miasto, ja do lasu muszę.
Wy, diatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciorek“.

A. Mickiewicz.

312. Oko Boskie.

Rodzice wyjechali z domu, słudzy się rozbiegli,
i tylko Karolek został z Marylką na gospodarstwie.
Karolek opatrzywszy się, że pusto w domu, rzekł do
siostry:

— Słuchaj Marylko, teraz mamy porę najeść się
dobrych rzeczy.

Na to rozumniejsza Marylka odpowiedziała:

— Poszukaj jakiego miejsca, żeby nas nikt nie wi-
dział, to pójdę z tobą.

— Nie bój się — mówił Karolek — chodźmy do
mleczarni, tam najemy się śmietany, i nikt nie zobaczy.
Na to Marylka:

— Przed mleczarnią stróż rąbie drzewo i będzie nas widział.

— Więc wleźmy na strych — mówił Karolek — tam pełno jabłek i gruszek rozesłanych na słomie.

— Cóż sobie myślisz, braciszku! — rzekła Marylka — a zapomniałeś to, że na dachu siedzi człowiek i gonty przybija?

— Więc pójdziemy do piwnicy, tam różne soki stoją w butelkach, jest tam i słodkie wino i inne przysmaczki, a do tego w piwnicy ciemno i nikt nas zobaczyć nie może.

Na to Marylka:

— Ach braciszku! i ty myślisz, że nas nikt nie może widzieć w piwnicy? Czyś zapomniał, że w niebiesiech jest oko, które widzi w najgrubszych ciemnościach, przed którym i najszerszy mur nie zasłoni?

Karolek przerażony temi słowy siostry, rzekł:

— Prawdę mówisz siostrzyczko: zapomniałem o tem oku boskiem, które jest na każdym miejscu i widzi wszystko, tak iż żaden zły uczynek przed niem się nie utai.

Ucieszyło to bardzo Marylkę, że brata odciągnęła od grzechu, i darowała mu obrazek, gdzie było wymalowane Oko Opatrzności, otoczone złotemi promieniami, z temi wierszami pod spodem:

Bóg wszystko widzi, w każdym miejscu jest obecny:

Przed nim się nie ukryje postępek twój niecny.

Z grzechem się nie uchowasz ni w wodzie, ni w ziemi,

I zapisany będziesz z grzeszniki innemi.

313. Siódme: nie kradnij.

»Co nie twoje, tego nie rusz, bo się sparzysz«, zwykł był mawiać stary Jakób do swoich dzieci. I w sa-

mej rzeczy sprawdziło się to na psotnym chłopaku, który porywał wszystko, co mógł, choć wiedział, że to grzech wielki, za który w niektórych krajach surowo karzą, bo rozpalonem żelazem wypalają znamię na plecach, czyli piętnują, aby po obnażeniu łatwo było poznać złodzieja. Tym razem woda zastąpiła miejsce żelaza i napiętnowała złodzieja, jakto następne zdarzenie pokaże.

Niepoczciwy chłopak porwał gdzieś kilka kawalków niegaszonego wapna i schował je pod ubranie. Wkrótce potem spotkał się ze swoim towarzyszem, wiodącym parę koni do pławienia. W mgnieniu oka siedzi już nasz chłopak na koniu i pędzi do wody. Wjechał szczęśliwie we wodę, ale na samym środku stawu zrzucił koń swawolnego jeźdźcę ze siebie. Umiał pływać więc puścił konia i dalej wpław ku brzegowi. Naraz krzyknął przeraźliwie:

— Ratujcie, ratujcie, bo się spalę!

Ludzie, widząc go pływającego, rozumieli, że sobie z nich żartuje, i mówili:

— Oczywiście szyderstwo! bo jakżeby zimna woda mogła palić?

Po kilka razy zanurzył się chłopak jeszcze, to głową, to nogami, przeraźliwie krzycząc, ale ciągle pływał; na koniec wypłynął, ale już nieżywy.

Przyczyną tego było wapno, które, rozpuściwszy się we wodzie, rozpałiło się i ciało chłopakowi aż do wnętrzości przeżarło. Tak pan Bóg karze niekiedy występki.

314. Muchy i pająki.

Młody pewien królewicz zwykł był mawiać: Na co też Pan Bóg stworzył muchy i pająki? Stworzenia

te żadnego pożytku nie przynoszą człowiekowi. Żeby miał na to sposób, wszystkie bym wytępił.

Zdarzyło się, że sąsiedni król wpadł z dużym wojskiem, pobił żołnierzy, którym królewicz hetmanił, i jego samego zmusił do ucieczki. Nieszczęśliwy królewicz, tulając się po lasach, gdy bardzo był zmordowany, rzucił się pod drzewo i usnął. Jeden z żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy go ścigali, odkrył go, a poznawszy w nim królewicza, dobył szabli i zamierzył się, aby go zabić. Wtem mucha usiadła na twarzy królewicza i tak mocno ukłóła, że się natychmiast zbudził, a spostrzegłszy niebezpieczeństwo, dobył oręża i uderzył na żołnierza, którego do ucieczki zmusił.

Nie widząc się bezpiecznym w lesie, wynalazł ciemną jaskinię z ciasnym otworem i w niej znalazł na noc spoczynek. Tymczasem w nocy przyszedł pająk i wnijsie do jaskini zasnuł swoją cieniutką siecią. Nad rankiem dwóch żołnierzy nieprzyjacielskich zatrzymało się przed jaskinią, taką między sobą mając rozmowę, którą królewicz słyszał:

— Założyłbym się — mówił jeden, wskazując na jaskinię — że tu się schował.

— Niepodobna — odpowiedział drugi — bo wchodząc, byłby popsuł tę sieć pajęczą.

I obydwaj żołnierze precz poszli, królewicz zaś padając na kolana i wznosząc ręce do nieba, zawołał:

— Dzięki ci, wszechmocny Boże! wczoraj zachowałeś mi życie za pomocą muchy, a dziś siecią pajęczą zasłoniłeś mnie od nieprzyjaciół!

Widzicie dziatki, że Pan Bóg nic na próżno nie stworzył; wszystko, co uczynił, służy ku dobru naszemu.

315. Słoneczko.

Żył sobie raz człowiek biedny. Wszyscy go odumarli, — został sam jeden. Raz zapukała do niego sierota. Przygarnął, odział, dał kawałek chleba. Chowalo się to, rosło, żywiło jak ptaszę.

„Co nie sieje ani orze,
Lecz je karmią moce Boże“.

A ojcu staremu służyła, a dogadzała, jak mogła. Aż i urosła w dziewczoję. Czy miała krasę, nikt jej nie pytał. W twarzy świeciły jej oczy, jak słońca; na głowie świeciło złoto w warkoczu; na ustach świecił uśmiech.

To też nazwano ją »Słoneczkiem«.

I pojaśniało z nią w chacie, i bieda uciekła. Powrócił spokój, dostatek.

Jak ta dziewczyna drobna dawała sobie radę, nikt nie wiedział, dość że dawała. I drugim pomogła i za nich robotę zrobiła. Gdzie tylko był smutek, gdzie bieda, tam pewnie spieszyło Słoneczko.

Kochano ją też i znano na całą okolicę. Aż przyszły na ludzi klęski, głód i choroby, — tylko chatę Słoneczka i jej przybranego ojca miały.

Więc też oni dzielili się wszystkim, co mieli; nawet ostatnią krowinę zabili i ludziom rozdali.

W końcu zabrakło im także; nie było ani okruszka w dzieży, ani zbywającej szmatki w komorze.

Siedzi Słoneczko przy starym ojcu i cieszy go piosenką, aby zapomniał o głodzie, aż tu ktoś puka do chaty. Otworzyli, patrzą... starzec taki biedny, taki zgarbiony, jakby sto lat dźwigał na grzbiecie.

Zapłakała dziewczyna.

— Nie mam ci co dać, staruszk.

A on drży i prosi:

— Daj choć szmat odzieży.

Okryła go swą chustką i pozostała tylko w płótnian-
ce. Lecz staruszek wciąż swoje:

— Koszula spada mi z grzbietu... daj jaką.

— Nie mam, staruszk.

Tedy on jej powiada:

— Masz swój warkocz złocisty, ... podaruj mi go: utkam z niego koszulę... nagość okryję...

Lzy jeszcze rzewniej polały się z oczu Słoneczka, bo lubiła swój warkocz złoty.

Ale nie zawahała się; ucięła włosy i, dając staruszkowi to złoto żywe, rzekła:

— Weście i niech wam służy.

Wziął staruszek włosy złote, poszedł do komory gdzie stały krosna tkackie, i zaczął tkąć. A dziewczyna przygląda się i dziwi, bo z pod palców snuje mu się tkanina tak błyszcząca, że aż oczy mrużyć trzeba. Skończył staruszek swą pracę, podziękował, otulił się w szatę świeżo utkaną i odszedł.

Dziewczyna patrzy, patrzy jej ojciec i widzą jak złota szata rozwija się, opływa stopy staruszka i, niby obłok, unosi go wysoko... wysoko...

Zrozumieli ojciec i córka, że ten staruszek to był anioł, i popadali na kolana, a on ich błogosławił z góry.

Podniosła się dziewczyna, patrzy, aż tu jej warkocz znowu piękny, długi, opada do ziemi, patrzy, aż koń rzy u żłobu i krówka szczypie trawę u płota, a stado gołębi białych, jak śnieg, spuszcza się i obsiada dach chaty.

Długo, długo potem żyła jeszcze dziewczyna, »Słonko«, na świecie, a ludzie coraz więcej ją kochali, bo, jak od słońca, biło od niej ciepło braterskiej miłości i szły światła promienie.

I dał to Pan Bóg, że kiedy jaka dziewczyna ma w sereu takie wielkie kochanie dla ludzi, iż wszystkoby im oddała, to promień łaski Bożej ciągle w niej gości i na zewnątrz wygląda jej oczyma, śmieje się ustami i ogrzewa, raduje ludzi wokoło słoneczko.

316. Róże świętej Elźbiety.

W dalekim od nas kraju niemieckim żył książę, który miał żonę bardzo dobrą i miłosierną, imieniem Elźbietę. Choć i sama z książęcego rodu, nie gardziła biednymi, nie brzydziła się chorymi i sama ich odwiedzała i nosiła im pożywienie. Książę gniewał się o to bardzo, bo strasznie był dumny i uważał, że to nie wypada, aby księżna po biednych chatach chodziła i sama dźwigała żywność i lekarstwa.

Razu pewnego wracał książę z polowania i zobaczył księżnę, skręcającą do chaty ubogiego górala.

Książę zaszedł jej drogę i rzekł gniewnie:

— Gdzie idziesz i co niesiesz?

A gdy księżna nic nie odpowiadała, uchylił poły jej płaszcza i ujrzał, ze zdumieniem, że w płaszczu były róże wielkie, świeże, pachnące.

Róże wśród zimy, gdy cała ziemia śniegiem się pokryła! i to wśród gór wysokich!

Poczuł książę, że stał się cud, że Bóg w róże przemienił żywność, którą księżna niosła dla biedaka.

Zawstydził się bardzo, prosił swą małżonkę o przebaczenie i odtąd już jej nie bronił odwiedzać biednych.

— I ta księżna Elźbieta została świętą i jest moją patronką? — zapytała Elżunia.

— Tak ta sama. Była jeszcze inna święta Elźbieta, matka świętego Jana Chrzciciela, ale twoją patronkę jest księżna Elźbieta.

317. Obecność Boga.

(Z Hofmanowej.)

Bóg jest wszędzie.

— Powiedz mi, synu kochany, skąd wracasz? co dziś widziałeś? gdzie byłeś?

— Chodziłem po łąkach wśród gęstej trawy, bydło i trzody koło mnie się pasły lub spoczywały pod drzew cieniem. Zboże rosło na zagonach, bławatki wyglądały z pomiędzy kłosów, pola, bogactwami lata okryte, jaśniały pięknnością.

— I nic-żeś nie spostrzegł więcej? Wróc tam dziecię moje, większe tam były rzeczy do widzenia! W pośrodku tych pól był Bóg, a tyś Go nie spostrzegł, piękność Jego zdobiła łąki, uśmiech umilał pola.

— Szedłem jeszcze przez las gęsty, wiatr szumiał między drzewami, strumyki nauczały przyjemnie, wie-
wiórka skakała z gałęzi na gałąź, ptaki śpiewały wdzię-
cznie.

— I nic-żeś nie słyszał więcej prócz szumu wiatru, strumyków mruczenia i ptasząt śpiewu? Wróc tam, dziecię moje, większe tam były rzeczy do słyszenia. Wśród tego lasu był Bóg; Jego to głos w szumie drzew przemawiał, a tyś Go nie poznał.

— Widziałem jeszcze księżyc wschodzący. Podobny był naprzód do kuli ognistej, wzniósł się i zwolna barwę srebrzystą przybrał; — gwiazdy jedna po drugiej iskrzyły się na niebios sklepieniu. Ale nie za długo od południa czarne chmury powstały, znikł księżyc i gwiazdy. Błyskawice rozogniły całe niebo; grzmoty rozległy się zdaleka, potem nadeszły bliżej i piorun uderzył w drzewo, opodał stojące.

— I nic-że tam świetniejszego od błyskawic, groźniejszego od piorunów nie było? O! wróc tam, dziecię moje, większe rzeczy ta burza kryła. W łonie tego

piorunu był Bóg, a tyś Go nie widział. Bóg jest wszędzie, przemawia w tem, na co patrzymy. Jak cała przyroda zawsze oczom twym obecna, tak Bóg niech zawsze myślom twoim obecnym będzie.

O dziełach Boga.

Weź garść piasku, spróbuj policzyć ziarnka, spróbuj zliczyć trawę tej łąki, albo liście tego drzewa; nie możesz ich zrachować, są niezliczone. Trudniejsze jeszcze do zliczenia inne dzieła Boże. Każdy listek ma kształt inny, na każdej roślinie inny owad mieszka. Patrz na to cierpie, ubielone kwiatami, patrz na te zioła, które depcesz, nie uprawiał ich człowiek, ani ręka jego tych ziarn nie posiała. — Jeszcze rośliny rosną na urwiskach, do których stopa ludzka dojść nie może, drugie wśród trzęsawisk, inne w głębi lasów lub na bezludnych wypach. — Ale któż wszędzie życie im daje? Kto je zasiewa, kto je deszczem i rosą orzeźwia. Kto je wiatru powiewem ochładza, kto wonią i barwą bogaci? Jakim sposobem małe ziarno w duży krzak się zamienia? Wszystkie są rozłożone porządkiem, każda wie swoją godzinę i wstaje z kolei. — Kto w roślinach przechowuje życie podczas zimy, kiedy śnieg pola okrywa, a od mrozu ziemia kostnieje? Drzewa wtedy огоłocone, smutne i suche, jak kości na cmentarzu. Kto w nie nowe tchnie życie? Czyje tchnienie konary liściem i kwiatem odziewa?

Wszystko to jest dziełem Boga, Stwórcy naszego przedwiecznego. Wszystko o Nim przemawia. Każda łąka jest jakby księgą otwartą; na każdym kwiatku wypisana o Nim nauka. Każdy strumyk, każdy wiatru powiew przemawia do nas, wszystko mówi o Bogu, który wszystko stworzył; wszystko dobroć Jego głosi. Nie możemy widzieć Boga, bo jest niewidzialny.

ale możemy przypatrzeć się Jemu w dziełach Jego i w nich Go wielbić.

Bóg czuwa nad uśpionym światem.

Wspaniałe słońce zaszło: wieczorna rosa kropkami ziemię okrywa, a gorące powietrze ochłodziło. Kwiaty kulą różnobarwne listki, pochylają zamknięte główki na lekkich łodygach. Małe kurczątko zebrały się pod skrzydła matki. Ptaszki śpiewać przestały; śpią na gałęziach, każdy główkę pod skrzydełko schował. Już pszczoły nie brzęczą koło ulów, ani po kwiatkach nie szukają miodu, skończyły dzienną pracę i odpoczywają. Baranki leżą na miękkich runach, już ich głosu nie słychać w pagórkach. Już ustał gwar rozlicznych głosów i hałas igrających dzieci i stąpanie pracujących ludzi. Już młot kowala nie bije w kowadło, już w ręku cieśli piła nie rżnie. Wszyscy ludzie legli i usypiają, — i małe dziecię na łonie matki usypia. Ciemność ogarnęła niebiosy, ciemność okryła ziemię; wszystkie oczy zamknięte, wszystkie ramiona spoczywają.

I któż czuwa nad tym uśpionym światem, kiedy nikt o obronie nie myśli, nikt przed niebezpieczeństwem nie ostrzega? — Jest oko, które zarówno widzi w ciemnościach nocy jak i w świetle słońca. — Kiedy niema już jasności ani od słońca, ani od księżyca, kiedy nawet z za chmur ciemnych żadna nie wyrzy gwiazda; to oko czuwa nad wszystkimi rodzinami świata. To oko Boga, opieka Jego zawsze nad nami.

318. Chrzest Polski.

Na polskiej ziemi,
W knieziowej stolicy,
Kołodziej Piast rządy stanowi;

A po nim Piastowie,
Rolnika wnukowie,
Przewodzą polskiemu ludowi.

Za króla dobrego,
Za Mieszka pierwszego,
Narody dokoła chrześcijańskie,
A tylko Polacy,
A tylko rodacy,
Wciąż wierzą w swe gusta pogańskie.

Lecz Mieszko zaradzi
Tej swojej czeladzi,
Żywota ją zdrojem obdarzy:
Po wiary więc słowo
W dziedzinę Czechową
Wysłał on swoich włodarzy.

I prośby śle rzewne,
By czeską królową,
Dąbrowkę za żonę mu dano.
Królowa cnotliwa
Do Polski przybywa
Skarb wiary przywozi za wiano.

I odtąd królowi
I jego ludowi
Dąbrowka zbawienie wciąż głosi —
Aż znikną bałwany,
I krzyż po nad łany
Ochrzczonej ojczyzny się wznosi.

319. Wieczorny pacierz.

Zaszło już słońko wśród złotych zórz,
Klękniź dziecino i rączki złoż.
I pod blaskami tych jasnych gwiazd
Módl się o spokój dla naszych gniazd.
Módl się za kwiaty rodzinnych pól,
Za tych, co płaczą i cierpią ból.

Módl się, byś urósł i nabrał sił,
I braciom ludziom byś miłym był!
Módl się, by dom ten wziął Bóg pod straż
I za matkę zmów: „Ojcze nasz“.

320. Pieśń wieczorna.

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka.

Odwracaj nocne przygody
Od wszelakiej broń nas szkody,
Miej nas wiecznie w Swojej pieczy
Stróżu i sędzio człowieczy.



SPIS RZECZY.

ROZDZIAŁ I.

Szkoła, praca i t. p.

	Str.		Str.
1. Do szkoły. W. Ż.	1	25. Pilna Terenia i leniwa Julcia	18
2. Modlitwa przed nauką	1	26. Psy. Wiersz, Rodziszewski .	18
3. Modlitwa po nauce	1	27. Najpewniejszy majątek. —	
4. Krakowiaczek	2	Wiersz, Wyp. Kędzierskiego	19
5. Co kto lubi. „Wiecz. Rodz.”	2	28. Troje dzieci. R. M. Brze-	
6. Śpiewka. Chrzęszczewska- Warnkówna, Moja pierwsza książeczka	2	zińska, Snopek	19
7. Oczy. A. Szycówna	2	29. Ucz się, dziecko. Or-Ot. .	19
8. Uszy. A. Szycówna	3	30. Najmilsza mowa. Wiersz, Thomas, Druga ks. do czyt.	20
9. Złamana gałąź	4	31. Książka	21
10. Nie wstydz się pracy. Wiersz z Thomasa, Druga książka do czytania	5	32. O życiu języka. I. Korczak	23
11. Prawdziwe bogactwo. — J. Tworzymir, Nauka życia i dobrych obyczajów	5	33. Niepiśmienny. L. Kondratow.	25
12. Co jeszcze posiada człowiek? M. B.	6	34. Na co się przyda czytanie? Wiersz	26
13. Z księgi przysł. Wiersz, Lach	7	35. Jak ludzie nauczyli się pisać? Chrz.-Warnk., Rok czytania	27
14. Dwie prawdziwe historyjki. Chrzęszcz.-Warnk. 1-sza ks.	7	36. Na co się przyda pisanie? .	29
15. Nauka. Wiersz, W. Nowicki, Książka do czytania	8	37. Chłopczyk i kotek. Wiersz, J. Chęciński	29
16. Piosnka dzieci. R. M.	9	38. Skrzypce	30
17. Jutro. Wiersz, St. Thomas, Druga książka do czytania .	9	39. Zamiary chłopca. Wiersz .	31
18. Dwie rozmowy. Warnk. . . .	10	40. Praca odkładana	31
19. Dobre rady. Wiersz, W. Pol	11	41. Polewka. Tworzymir	32
20. Nagroda grzeczności i pil- ności	11	42. Orzech. Thomas, Druga ks. do czytania	33
21. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje	13	43. Dziecię i ojciec. Wierszyk .	33
22. Przy pracy. Wiersz, R. M. .	14	44. Plama. Wierszyk	34
23. Kto najlepszy? Sycz., Czyt.	15	45. Pasek. Tworzymir	34
24. Podkowa. Tworzymir, Nau- ka życia	17	46. Dwa wróbelki i kogut. — Wiersz, Tworzymir	34
		47. Nasionko. Wiersz, Chrzęsz- czewska-Warnk., Druga ks. .	35
		48. Pracowita pszczołka. Wiersz, Thomas, Druga ks. do czyt.	36
		49. Marzenie chłopca. Wiersz .	36
		50. Nowy rok szkolny. Wiersz .	37
		51. Jałmużna myśli. Wiersz . .	37

ROZDZIAŁ II.

Dom, rodzina, zwierzęta domowe.

	Str.		Str.
52. Domek. Krakowiak . . .	39	74. Dobry syn. Nowicki . . .	53
53. Chata. Snopek . . .	39	75. Dzwony. Wiersz . . .	54
54. Domek rodzinny. Wierszyk, R. M.	40	76. Dwa szcury . . .	55
55. Mój domek rodzinny, — Chrzęszczewska-Warnkówna	40	77. Wilk i koźle. Wiersz . . .	56
56. W wieśniaczej chacie Wiersz, Thomas, Druga książka . . .	41	78. Dzbamuszek łez. Czytania postępowe aut. Wieczorów pod lipą . . .	56
57. Dworek wiejski . . .	42	79. Dobre dziecię. G. W. Ż. . .	58
58. Dom. Żarecki, Czyt. szk. . .	42	80. Snopki. Z Przypowieści . .	58
59. Dawne mieszkania. Chrz.- Warnk., Rok czytania . . .	43	81. Jakże mamy zwierzęta? — Wiersz, A. Szycówna . . .	60
60. Podwórze wiejskie. Żarecki	45	82. Gniazdo rodzinne. Wiersz, M. Konopnicka . . .	60
61. Piesek leniuszek. Wiersz . .	45	83. Jaskółki. Wiersz . . .	60
62. Dwa pieski. Wiersz . . .	46	84. Jaskółka, Wiersz, M. Bojarska	61
63. Gościnność. Wiersz . . .	46	85. Jaskółka Wiersz, M. Kono- pnicka . . .	62
64. Lis i kurka. Wiersz . . .	47	86. Gołębie. Wiersz . . .	62
65. Nasza dziewczyna. Wierszyk, Lenart . . .	48	87. Koń Chrz.-Warnk., 1-sza ks.	63
66. Porządek w chacie. Piosnka	48	88. Konik Wierszyk, Bogacka . .	64
67. Pranie Wiersz . . .	49	89. Spotkali się . . .	64
68. O mydle . . .	49	90. Krówka. Wiersz . . .	68
69. Do zdrowia. Wiersz . . .	50	91. Głosy zwierząt. Wiersz . .	68
70. Matka Wiersz . . .	51	92. Bociany . . .	69
71. Dla mamy. Wierszyk . . .	51	93. O bocianie. Nowicki . . .	70
72. Wzrok matki. Okołowicz- Orsza, Nasze czytanki . . .	51	94. Miłość macierzyńska u bo- cianów, Snopek . . .	71
73. Piękny przykład czci dla ro- dziców. Rymarkiewicz . . .	52	95. Bocian. Chrzęszcz.-Warnk., Rok czytania . . .	71

ROZDZIAŁ III.

Wieś i miasto, mieszkańcy i ich zajęcia.

	Str.		Str.
96. Nasza wioska. Wiersz . . .	73	108. Uczciwy stolarz. M. B., Strzecha . . .	82
97. Wieś rodzinna. Estkowski	74	109. Warsztat szewski, Snopek	83
98. Pożegnanie wioski. Wiersz	75	110. Pleśń kominiarza. Jachow.	83
99. Powrót do rodzinnej chaty. Wierszyk . . .	76	111. Wierszyk o młyńce . . .	84
100. Co dzieci widziały w dro- dze? . . .	76	112. Batołki Kościuszki. Pien.	84
101. Pory roku. Jesień. Wiersz, Z Wernica . . .	76	113. Przy pracy. R. M. . . .	85
102. Pory roku na wsi i w mieście. Żarecki . . .	77	114. Olina. M. Brzeziński . . .	86
103. Jesień na wsi. Wiersz, Lenartowicz . . .	79	115. Z czego jest odzież? — Chrzęszcz.-Warnk. . . .	91
104. W zimie Wernic . . .	80	116. Zapalki. Żarecki . . .	92
105. Podział pracy. M. Brze- ziński . . .	80	117. Co na opał służy . . .	93
106. Piosnka rolnika . . .	81	118. Targ . . .	94
107. Rzemiosła. Wiersz, Chrzę- szczewska-Warnk. . . .	82	119. Pożar. Tworzymir . . .	97
		120. Pszczółka i gołąbek . . .	98
		121. Sądzi. Ks. Szmidt . . .	99
		122. Kochajmy się. Wiersz, Ja- chowicz . . .	99
		123. Do dzieci. Wiersz . . .	100

ROZDZIAŁ IV.

Ogród, pole, łąka.

	Str.		Str.
124. Na wiosnę. Wiersz . . .	101	159. Ślimak. Chrząszcz.-Warnk.	
125. Wschód słońca. Wiersz . . .	101	Druga książka	132
126. Poranek na wsi. Chrząszczewska-Warnkówna . . .	102	160. Zajęci żaby. Thomas, Ks. do czytania	133
127. Historia jednego nasionka . . .	102	161. Zając. Thomas, Trzecia książka do czytania . . .	133
128. W sadzie. Wiersz . . .	103	162. O czym ptaszek śpiewa? Wiersz	133
129. Ogród. Wiersz, Mickiewicz . . .	103	163. Zwiastuny wiosny. Szyc. . .	134
130. Ogród warzywny. R. M. . . .	104	164. Poranek wiosenny. Wiersz . . .	135
131. Buraki. Chrząszcz.-Warnk. . . .	105	165. Śpiewak majowy. Chrząszczewska-Warnk., 1-sza ks. . .	135
132. Drzewa owocowe. Strzecha . . .	105	166. Podanie o słowiku. Chrz.-Warnk.	136
133. Użytek z roślin. M. Heilp. . . .	107	167. Skowronek. Wodzicki . . .	136
134. W małym ogródeczku. — Wiersz, Chrz.-Warnk.	109	168. Podanie o skowronku — Chrząszcz.-Warnk.	138
135. Co możesz robić w swoim ogródku? Chrz.-Warnk.	109	169. Podanie o kukułce. Chrz.-Warnk.	139
136. Z dziejów kartofla. Około-wiczów.-Orsza, Nasze czyt. . .	110	170. Do sikorki. Piosenka . . .	140
137. Nasze kwiaty. Wiersz . . .	111	171. Do wróbelka. Wiersz . . .	141
138. Róża. Chrząszcz.-Warnk. . . .	111	172. Wróbel. Chrz.-Warnków. 1-sza ks.	141
139. Pasieka. Wiersz . . .	112	173. Kruk	142
140. Pszczoły. Chrząszczewska-Warnk.	113	174. Sowa. Chrz.-Warnkówna 1-sza ks.	144
141. Pszczółka. R. M. . . .	114	175. Żórawie	145
142. Pszczółka. Wiersz, Szyc. . . .	115	176. Żórawie. Wiersz	145
143. Trzy motylki. H. Wernic	116	177. Uprawa roli. Chrząszcz.-Warnk. Rok. czyt.	147
144. Motyle i gasienice	117	178. Żniwa. Chrz.-Warnkówna 1-sza ks.	148
145. Nie goń motyla. Wiersz . . .	119	179. Żniwo. Wiersz. Marja Konopnicka	149
146. Mrówki	119	180. Okrężne. Szyc. Czyt.	149
147. Pole i łąka. Żarecki	121	181. Pieśń o chlebie. Wiersz. Chrząszcz.-Warnk.	153
148. Dalej w pole. Wiersz	122	182. Kłosa. Czyt. postępowe autora. Wiersz, pod lipą, L. Siemieńskiego	153
149. Na polu. Wierszyk, Kle-mens Junosza	122	183. Len	154
150. Wierzba na pustkowiu	122	184. Ziarno zboża	155
151. Do wierzyby. Wiersz	125	185. Pasteczka. Wiersz	159
152. Łąka. Bogacka	126	186. W jesieni. Wiersz	159
153. Na łące. Wiersz, R. M.	126		
154. Woda. H. Wernic	127		
155. Kropla deszczu. Wiersz, Szcówna, Czyt.	128		
156. Rosa i szron. Szcówna, Czyt.	128		
157. Ryby. Rostafiński	129		
158. Szczupak. Okołowiczówna-Orsza, Czyt.	131		

ROZDZIAŁ V.

Las i jego mieszkańcy.

	Str.		Str.
187. Las. Szcówna. Czyt.	160	192. O Drewnie	166
188. W lesie. Wiersz	161	193. Użytek z lasów. Snopek . . .	167
189. Brzoza	161	194. Mech i jego koleje. — Heilpern	169
190. Sosna. Chrząszcz.-Warnk. pierwsza książka	164	195. Lis. Thomas, 3-cia książ. do czytania	170
191. Dąb. J. T.	165		

	Str.		Str.
196. Sarny i jelenie. Chrzęszcz- Warnkówna, 1-sza książka	171	201. Bobry	175
197. Wilk. Thomas, Trzecia książka	172	202. Żubr	177
198. Skrzypek i wilk. Thomas, trzecia książka	173	203. Ptaki leśne. Snopek	178
199. Jakóbek wilk, z franc. Żar.	173	204. Jastrząb	179
200. Niedźwiedź	174	205. Armja nocna	182
		206. Żmija	183
		207. Orzeszki. Wiersz	188
		208. Wiewiórka. Snopek	188

ROZDZIAŁ VI.

Ojczyzna, świat, pory roku, przyroda.

	Str.		Str.
209. Ojczyzna. Wiersz	190	232. Cztery pory roku. Wiersz, z Thomasa 2-ga książka	204
210. Ojczyzna	190	233. Wiosna. Thomas, 2-ga ks.	205
211. O co się modlić potrzeba? Wiersz	191	234. Na wiosnę. Wiersz, Chrz- Warnkówna	206
212. Gdzie ja znajdę? Wiersz	191	235. Wiosna. Wiersz	206
213. Wisła. Wiersz	192	236. Lato. Thomas	206
214. Z tamtej strony Wisły. Pio- senka	193	237. Jesień. Thomas	207
215. Wisła	193	238. Jesień. Wiersz	207
216. Przed pomnikiem Mickie- wicza H. O.	193	239. Piosnka o jesieni. Wiersz, Thomasa	207
217. Tadeusz Kościuszko. — Wiersz	194	240. Zima. Thomas, 2-ga ks.	208
218. Krakowiak	195	241. Zima. Wiersz	208
219. Baśń o Wiśle. Okołow- Orsza, Nasze czyt.	195	242. Śnieżycyca. Wiersz	209
220. Na flisa. Wiersz	196	243. Na lodzie. Wiersz	209
221. Flis. Wiersz	196	244. Kropla wody. Thomas, druga książka	210
222. Nasze rzeki. Wiersz	197	245. Historia brytyjczy. Chrz- Warnkówna, 2-ga książka	211
223. Tatry	197	246. Węgiel kamienny. Okołow- Orsza, Nasze czyt.	212
224. Twoja ojczyzna. Wiersz	199	247. Kopalnie węgla. Okołow- Orsza, Nasze czyt.	212
225. Jak kochać ojczyznę? — Wiersz	200	248. Żelazo Chrz.-Warnkówna, druga książka	213
226. Jak wygląda świat? Wiersz	200	249. Złoto i srebro. Chrzęszcz- Warnkówna, 2-ga książka	214
227. Doba. Żarecki, Pierwsza książka	201	250. Natta	215
228. Jedna doba. Chrz.-Warnk., pierwsza książka	201	251. Słów kilka o soli. Chrz- Warnkówna, 2-ga książka	216
229. Tydzień. Wiersz	203	252. Ryż. Chrz.-Warnk., 2-ga ks.	217
230. Tydzień. Żarecki, 1-sza ks.	203	253. Jakie są zwierzęta?	218
231. Miesiące. Wiersz. Chrz- Warnkówna	204		

ROZDZIAŁ VII.

Bajki, opowieści treści obyczajowej.

	Str.		Str.
254. Chciwy pies. Nowicki	221	260. Osieł w lwiej skórze. Two- rzymir	224
255. Wilk i baranek. Wiersz	221	261. Próżność ukarana. Tworz.	225
256. Nos i ręka. Snopek	222	262. Kruk i lis. Wiersz	226
257. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Tworzymir	222	263. Lew przy zgonie. Tworz.	227
258. Lew i zwierzęta. Wiersz	223	264. Chory wilk. Tworzymir, Wiersz	227
259. Lew i mysz. Tworzymir	223		

	Str.
265. Pustelnik i niedźwiedź. —	
Wiersz	227
266. Trzej przyjaciele	228
267. Dwaj przyjaciele i niedź-	
wiedź	229
268. Kogut i perła. Wiersz	230
269. Dąb i świnią. Wiersz	230
270. Żółw i zając. Wiersz	230
271. Skała i kropla. Wiersz	231
272. Dwa garnki. Wiersz	231
273. Czapla, ryby i rak. Wiersz	232
274. Przygody Tomcia Paluszka.	
Wiersz, R. M.	233

	Str.
275. Krasnoludki. Wiersz, przez	
Or.-Ot	238
276. Wyrwidąb i Waligóra. Kę-	
dzierskiego	239
277. Roztropny sędzia. Praca	241
278. Królowa Jadwiga	243
279. O strasznym smoku i o	
Kraku	243
280. Bolek-zuch	246
281. Piszczątka. Tworzymir	248
282. Jest to cnota nad cnotami.	
Wiersz	249
283. Przysłowia	249

ROZDZIAŁ VIII.

Bóg, święta, opowiadania treści religijnej.

	Str.
284. Pieśń Poranna. F. Kar-	
piński	252
285. Objaśnienie do pieśni po-	
rannej. Nowicki	252
286. Paciorek. Wierszyk	253
287. Opieka Boska. Wierszyk	253
288. Pacierz dzieci. Wiersz	253
289. Modlitwa. Wierszyk	254
290. Bóg. Żarecki, 1-sza książ.	254
291. Do Boga. Wiersz	254
292. Od kogo mamy wszystko?	
Wiersz, Nowickiego	255
293. Kto prawdziwie kocha Bo-	
ga? Żarecki	255
294. Jak trzeba być wdzięcznym	
Bogu? Wiersz, Żarecki	256
295. Dobroć i wesołość. Wiersz,	
Szycówny	256
296. Chrystus i dziecię. Wiersz	257
297. Kto wszystko stworzył?	
Wiersz	258
298. Kościół. Szyców, Czytanki	258
299. Kościółek wiejski. Wiersz,	
Snopek	259
300. Kościółek otwarty. Wiersz,	
Nowickiego	260
301. Droga do nieba. Wiersz,	
Snopek	260
302. Pamiętaj, abyś dzień święty	
święcił. Wiersz	260

	Str.
303. Boże Narodzenie. Szyców.	
Czytanki	261
304. Wigilja. Wiersz	262
305. Kolęda. Wiersz	263
306. Król migdałowy. Szyców.	
Czytanki	263
307. Wielkanoc. Szyców, Czyt.	264
308. Wielkanoc. Wiersz, Win-	
centy Pol	266
309. Boże Ciało. Szyc., Czyt.	266
310. Z Bogiem. Wiersz, Win-	
centy Pol	267
311. Powrót taty. Wiersz A.	
Mickiewicz	268
312. Oko Boskie. (Wiecz. pod	
lipą) Siemieńskiego. Czyt.	
postępowe	270
313. Siódme: Nie kradnij!	271
314. Muchy i pająki. Autora	
Wiecz. pod lipą. Czytan.	
postępowe	272
315. Słoneczko. Chrz.-Warnk.	274
316. Różę św. Elżbiety	276
317. Obecność Boga. Hofma-	
nowej	277
318. Chrzest Polski. Wiersz,	
R. M.	279
319. Wieczorny pacierz. Wiersz	280
320. Pieśń wieczorna. Wiersz,	
Fr. Karpiński	281





Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

1889 S



001-001889-00-0